

Dc II 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 139.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Wrzesień.

TOM III. — ZESZYT IX.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 30 sierpnia 1875 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. PODRÓŻE. Wycieczka do Mongolii. Przez Ludwika Niemojowskiego.	333
II. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Tom drugi).	348
III. HISTORIA. Społeczność Warszawy w początkach naszego stolecia. (1800—1830). Przez K. Wl. Wójcickiego.	382
IV. BIOGRAFIA. Filip Kallimach. Przez H. Zeissberga, Z niemieckiego przełożył K. P.	398
V. LITERATURA. Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Narbuttównę. (Dalszy ciąg).	420
VI. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Kongres geograficzny w Paryżu.— Wystawa geograficzna w odbudowanej części pałacu Tuilleryjskiego: charakter jój międzynarodowy:— Cesarstwo Rosyjskie—Szwecya i Dania—Holandya—Belgia—Anglia i Indye Wschodnie—Niemcy—Austria i Węgry—Włochy—Szwajcarya—Hiszpania—Brazylia—Turcya—Rumunia—Egipt—Japonia—Stany-Zjednoczone—Chili i Argentyna—dział francuzki. Missye naukowe: sekcyja szkoły języków wchodnich.—Wyprawa do Sahary.—Publikacye geograficzne—Dziela współczesnych podróżników—Monografia miast i miasteczek. Wystawa archeologiczna w pałacu Biblioteki Narodowej.—Wspomnienia mego życia artystycznego, przez Karolinę Bauer.—Poezye Juliusza Bretona.—Felicyano Castelho, uczony Portugalczyk.—Szkoła archeologiczna w Atenach, inaugurowana przez Niemców w rocznicę śmierci Winkelmana.—Dramat muzyczny, przez p. Schoré.—Opery Ryszarda Wagnera.—Les convoitises: powieść Tony Revillon; Voyage au pays des chimères, Antoniego Rondelet.	437
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Historia powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań, nakładem księgarni I. K. Żupańskiego. 1874 rok, trzy tomy. Przez D-ra Zygmunta Rościszewskiego.	465
Ajas. Tragedya Sofoklesa, przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875. Przez F. J.	491
Pieśni Ossyana, przekład nowy z angielskiego. W Krakowie. Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1875, (w 12 str. 723).—Przez R. Z podróży Oswiecima: Turcya—Francya—Niemcy—Włochy. Wydał z rękopismu Klemens Kantecki. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875. (W 12 str. XI, 203).	498
VIII. WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	502
IX. NEKROLOGIA.	508



De II 1

WYCIECZKA DO MONGOLII.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Ze wszystkich prowincyi, obszerne państwo niebieskie składających, Mongolia najmniej jest znana. Pomimo traktatu zawartego w roku 1860 z rządem rossyjskim, a otwierającego granice Chin dla poddanych imperium: nader mała liczba podróżnych udaje się w te dzikie i niegościnne strony. Dwa są tego główne powody: najprzód brak wszelkich dróg do komunikacyi służących, a powtórnie niedostateczny rozwój handlowy. Co do pierwszego, kraj ów górzysty, zarosły nieprzebytymi tajgami czyli pustyniami leśnemi, poprzerzynany tysiącem mniejszych lub większych rzek, utrudnia niesłychanie przenoszenie się z miejsca na miejsce; co zaś do drugiego Sajańcy, Uranchajcy i Uranchuty zamieszkujący tę prowincyą, są plemionami wyłącznie koczującemi, trudniącemi się pasterstwem, polowaniem i rybołówstwem; handel więc z niemi ogranicza się na wymianie surowych produktów, które oddają za najniezbędniejsze w życiu codziennem przedmioty. Religia panująca jest budyjska, chociaż napływowa ludność mandzurskiego pochodzenia, zamieszkująca nieliczne miasteczka, wyznaje wiarę Konfucjusza.

W roku 186... zwiedziłem część północną Mongolii w towarzystwie księcia A., który miał polecenie zbadać dokładnie miejscowość, ażeby przy zaprojektowanem otworzeniu nowego punktu granicznego w Tasztypie, zapewnić komunikacyę handlową z Pekinem w prostej linii; dotychczasowy bowiem dowóz herbaty, idąc na Kiachtę, drogą niezmiernie długą, przyczynia się znacznie do powiększenia kosztów transportu. Trzydzięści kilka osób, wraz z wojskową eskortą składało nasze grono; minawszy Tasztyp, osadę położoną na granicy geograficznej z Chinami, podróż nasza z każdym dniem stawała się uciążliwszą. Żaden opis nie jest w stanie dać wyobrażenia o rozmaitego rodzaju trudnościach, z jakimi na każdym kroku przychodziło nam walczyć, ażeby mózdz dostać się w głąb tych dzikich obszarów. Od samego Tasztypu, góry Sajańskie jeżąc się w niezliczonych załomkach olbrzymich skał, stanowią naturalną a napozór nieprzebytą zaporę. Nie ma tam ani dróg ani téż drożyn, są tylko ścieżki przez stada dzikich kóz wydeptane, a stanowiące labirynt niepodobny bez pomocy dobrego przewodnika do przebycia. Ścieżki te raz wieszają się nad przepaściami, drugi raz znowu zapuszczają w wąwozy i doliny. Konie mongolskie przyzwyczajone do stąpania po tych zawieszonych na kilka tysięcy stóp nad poziomem, środkach komunikacyi, idą wolno,



ostrożnie, ze schylonemi ku ziemi łbami, jak gdyby szukały bezpiecznych miejsc na postawienie nóg; jeźdźcy znowu przeciwnie, wznoszą głowy do góry, niby goniąc wśród wyżyn niebieskich za natchnieniem, a rzeczywistość w celu odwrócenia wzroku od niezgłębionych przepaści, mogących sprowadzić zawrót głowy a z nim i nieuchronny upadek. Podróż podobna ma w sobie coś uroczystego, poważnego; jeźdźcy puściwszy wolno lejce rumakom i powierzając swe życie instynktowi zmysłnego zwierzęcia, suną długim szeregiem jeden za drugim, w najgłębszym milczeniu. Najbardziej towarzyskiego usposobienia człowiek traci wtedy ochotę do rozmowy, do wymienienia z drugimi swych myśli; najweselszego charakteru wędrowiec staje się ponurym, posepnym, skupiającym swe wrażenia w sobie. Groźące ciągle niebezpieczeństwo życia i obawa strasznej śmierci, zagładającej co chwila w oczy, jest tego powodem. Jedne osunięcie się żwiru lub kamiennego łomu, jedno fałszywe stąpienie konia, ot i wszystko skończone! Człowiek wraz z niosącym go na swym grzbiecie wierzchowcem staczają się w niezgłębioną przepaść; słychać tylko krzyk przeraźliwy, powtórzony przez echa gór, huk osuwających się w głębiny głazów ze spadającymi ciałami ofiar i znowu cicho dokoła... a ludzie składający karawanę, którzy bez narażenia na oczywistą zgubę, nie mogą ani na chwilę wstrzymać się w pochodzie, jadą dalej westchnąwszy tylko za duszę nieszcześliwego towarzysza.

Przebywanie dolin naraża podróżnych na innego znowu rodzaju niebezpieczeństwa; wszystkie one bowiem poprzerzynane są mnóstwem rzek nader bystrych i głębokich. Do dostania się z jednego brzegu na drugi, służą małe łódki nie kierowane wiosłami ani też sterem, lecz poprzywiązane do ogonów końskich. Podobnych łódek znajduje się zwykle po kilkanaście wraz z końmi do tej usługi przeznaczonemi, w pobliżu rzek które wypada przebywać; każda zaś z nich może pomieścić w sobie najwięcej dwóch lub trzech ludzi. Koń ciągnący wątki statek spełnia zazwyczaj swoje zadanie nader akurrotnie. Zmysłność zwierzęcia połączona z jego niezwykłą siłą, sprawiają, iż przeprawa nie pociąga najczęściej za sobą smutnego wypadku; trafia się jednak, iż zbyt silny prąd wody, uniósłszy biędne stworzenie, pogrąża je wraz z łódką i tymi, którzy się na niej znajdują w zdradliwych nurtach wody.

Minąwszy pasmo gór Sajańskich, ujrzelśmy przed sobą niezmierny step bujną zarosły trawą, zdający się nie mieć granic ni końca. Roślinność tu jest nader bujna: łądygi ziół sięgające wyżej głów końskich wstrzymują pochód; koryta zaś wijących się w różnych kierunkach rzek, które wyżej opisanym sposobem przebywać trzeba, są powodem ciągłego powtarzania się wspomnianych niebezpieczeństw. Od czasu do czasu spotkać można koczujące bandy Mongołów, otoczonych licznymi stadami koni, wielbłądów, bydła i owiec. Rysy twarzy członków tego plemienia są odrażającą brzydotą, ubiór ich zbliżony do stroju chińskiego, składa się z długiej opończy opatrzonej stanem niżej bioder, obu-

wia z zakrzywionemi do góry końcami i szerokich kapeluszy z podniesionemi skrzydłami. Głowy wszyscy mężczyźni gołą bez wyjątku, zostawiając tylko na środku czaszki kosmyk włosów, stanowiący rodzaj warkocza. Kobiety są jeszcze brudniejsze i jeszcze bardziej odrażającoj powierzchowności. Zatrzymując się kilka razy na dobę w pobliżu ich autów dla odpoczynku i powzięcia języka, zdziwieni byliśmy pokorą i usługowością, jakie ci ludzie nam okazywali; znając z opisów ich niegościnnosć, nienawiść do Europejczyków, jako też zakorzenioną z dawnych czasów chęć do rozboju i rabunku, nie mogliśmy z razu pojąć owych przyjaznych objawów. Przed kilkoma zaledwie miesiącami przebywająca rzeczona stepy, karawana minusińskiego kupca Wasiłkowa, napadniętą i wymordowaną została, a Wasiłkow straciwszy cały swój zapas towarów, cudem zaledwie zdołał uratować życie; z jakiej więc przyczyny okazywali się oni teraz względem nas tyle potulnymi i dobrodusznymi? Zastanawiając się jednak nad różnemi postronnemi okolicznościami, odgadliśmy powód tej zmiany: jedynie liczna i dobrze uzbrojona eskorta, trzymała na wodzy zbójceckie skłonności tych ludzi i nadawała im pozory zyczliwości, która w gruncie rzeczy była im zupełnie nieznaną. Kupiec Wasiłkow miasto wzięść dla osłony transportu oddział wojska, otoczył się uzbrojonymi krajowcami, a ci w chwili napadu opuścili go nikczemnie. Wiedząc o tém wszystkiem, okazywali się nader ostrożnymi w stosunkach z koczującemi plemionami Mongolii, nieprzyjmując grzeczności ofiarowanej w jurtach i nieodłączając się ani na chwilę od naszych obrońców.

Wspomniałem powyżej, iż Uranchajcy trudnią się wyłącznie pasterstwem, myśliwstwem lub też rybołówstwem. Rolnictwo zajmuje ich mało, nie dlatego ażeby ta bogata w roślinną rodzajność ziemia nie była w stanie dać odpowiednich plonów, ale z powodu wyobrażeń jakie ów naród dawniej wojowniczy a dziś łupieżki zachowuje o najważniejszej gałęzi rozwoju pomyślności krajowej. Rolnictwo mają oni za trud ubliżający godności człowieka i stawający w sprzeczności z legendami, jakie o bohaterskich czynach swych przodków wtedy, gdy Mongolia stanowiła jeszcze potężne haństwo, w swój pamięci zachowali. Tu i owdzie widzieć można niewielkie łany zasiane jęczmieniem i prosem i to stanowi jedyny objaw ich prac agronomicznych. Zyta i pszenicy nie sieją wcale; gdy zaś jarzyny dojrzeją nie zrzynają ich nigdy sierpami ani też kosą, ale wyrwawszy razem z korzeniem suszą na słońcu, poczem używają kopyt końskich do odłączenia ziarna od słomy. W ogóle jednak, mało używają oni roślinnych pokarmów; żywią się wyłącznie mięsem, a pokarm podobny przyczynia się zapewne do rozwinięcia ich zwierzęcych skłonności i wrodzonego okrucieństwa. Konie stepowe są niewielkie, krępe lecz szybkie w biegu i nader wytrzymałe; owce dwustrzyżne z grubą wełną, podobne zupełnie do ostatnich gatunków europejskich, ale było za to odznacza się niezmiernym wzrostem, muskularną siłą i potężnymi rogami. Olbrzymie kształty wołu mongolskiego, każą mniemać, iż rassa ta jakkol-

wick przerodzona, pochodzi od zaginionego zupełnie gatunku wołu pierwotnego (*bos primigenius*), tém bardziej iż szczątki tego nieistniejącego już dziś okazu, bywają od czasu do czasu wykopywane w północnych stronach Mongolii.

Po przebyciu stepów rozpostartych za pasmem gór Sajańskich, spotyka się znowu jako nieprzebytą zaporę tajgę czyli pustynię leśną. Jest to część tej samej olbrzymich rozmiarów tajgnej przestrzeni, która bierze początek we wschodniej Syberii poza Minusińskiem, a dosięga dwiema odnogami Persyi, Tybetu, a nawet podobno i Indyi Wschodnich. Całą zachodnią stronę mongolskiej prowincyi pokrywają owe lesiste obszary, do których wnętrza żaden człowiek dostać się nie zdołał, odnoga zaś tamująca nasz pochód, stanowiła nader małą stosunkowo, bo zaledwie paręset wiorst rozmiarów wynoszącą częśćkę tych puszczych niezmiernych. Pomimo tego jednakże, należało ją okrążyć w kierunku wschodnim, cedry bowiem które tam rosną od wieków, nieknięte siekierą ani toporem, tworzą niewzruszoną ścianę, niby mur olbrzymi ręką przyrody zbudowany, z widniejącymi tu i owdzie wązkiemi szczelinami, dającymi przechód dzikim zwierzętom, jakie się w tych niedostępnych tajnikach ukrywają.

Zbacząc pomimowoli z wytkniętego kierunku, przedłużyliśmy czas trwania naszej podróży o jakie kilka tygodni. Skutki tej przymusowej zmiany dały nam się wkrótce we znaki: po kilku dniach zabrakło zupełnie zapasów żywności. Głód w połączeniu z trudnym do opisanie skwarem, osłabił już i tak wycieńczone siły; jurt Urunchajców nigdzie w tych pustyniach spotkać niebyło można, a krzemienisty nierówny grunt tamował pochód naszych wierzchowców. Wtedy mieliśmy sposobność podziwiać przemyślność i zręczność składających naszą eskortę kozaków: ludzie ci sprytni z natury umieją sobie dać radę w każdej okoliczności. Wyprówszy, w chwilach odpoczynku karawany, grube nici z płócien do objuczania koni poprzednio służących, potworzyli z nich naprędce rodzaje sieci, w które łowili w napotkanych rzekach nalimy, sterlety i okonie. Złowione ryby wraz z ubitą od czasu do czasu zwierzyną stanowiły całe nasze pożywienie, ale szczupły zapas soli i zupełny brak masła sprawiły, iż pokarm ów napół surowy nie odznaczał się wybrednym smakiem; dla łaknących jednak był on prawdziwem dobrodziejstwem. Kiedy już mowa o nader prostych środkach rybołowczych, przytoczę jedną okoliczność, o jakiej później dopiero dowiedziałem się, a która dowodzi niezmierniej obfitości ryb w jeziorach i rzekach Mongolii. Uranchajcy przekładając mięso końskie nad wszelkie inne pokarmy, bardzo rzadko i to tylko, gdy ich głód do tego przymusi, zajmują się połowami na swoją wyłączną potrzebę: czynią oni to więcej w widokach handlowej zamiany z Europejczykami, niżeli dla własnego użytku. Sposób jednak jakiego te samorodne dzieci pustyni do dokonania rzeczonych czynności używają, zadziwia swoją prostotą. Wkładają oni na gwóźdź zakrzywiony i przytwierdzony do długiej żerdzi, kawałek mięsa; zagłębiają ów kij

w wodę a po chwili wyciągają na brzeg olbrzymiego nalima lub sążnisz tego tajmenia. W kilka miesięcy potem, gdyśmy już powracali z Mongolii, próbowałem kilkakrotnie tego środka, i zawsze połów szczęśliwym uwieńczony został skutkiem.

Okrążywszy tajgę, dostaliśmy się znowu w kraje górzyste, krzemieniste, najeżone mnóstwem skał spiczastych: tu i owdzie widzieć było można ślady wygasłych przed wiekami wulkanów. Na szczęście jałowa ta przestrzeń poprzedzielaną jest pokrytymi bujną roślinnością dolinami, dającymi obfity karm koniom, i wydzielającymi z łona ziemi źródła wody dla spragnionych podróżnych. W takich dolinach najwięcej spotkać można Obon, czyli starożytnych ementarzy przedhistorycznych, i swastików (talizmanów kamiennych); dawne te pamiątki opisane już obszernie i szczegółowo przezemnie, są coraz liczniejsze, obfitsze i ciekawsze, w miarę posuwania się ku południowi. W wnętrzu niektórych Obon znajdowaliśmy całe uzbrojenia misternie ze stali wykute przedwiekowych mongolskich wojowników; pomimo jednak najszczerzej chęci posiadania takowych, niepodobna było ich zabrać ze sobą, czyn bowiem podobnego przywłaszczenia, uważany przez miejscowe plemiona za świętokradztwo, mógłby nader smutne następstwa za sobą pociągnąć.

Kilkakrotnie, w czasie trwania wycieczki mojej po Mongolii, miałem sposobność przekonać się, ile wszystkie nasze mapy były niedokładnymi. Naczelnik wyprawy posiadał w tece swojej nader szczegółową kartę tej prowincyi i podług niej wycieczką kierował; tymczasem nietylko odnoga tajgi tamującej nasz pochód nie była na niej oznaczoną, ale następnie dostawszy się w nowe pasmo gór spotkaliśmy nader obszerne, bo 3 do 4 wiorst obwodu mające, jezioro, którego nawet śladu na mapie geograficznej nie było. Jezioro to położone pomiędzy stromymi granitami skał, prawie na dnie przepaści, a przez to samo zasłonięte ze wszystkich stron kamiennymi ścianami od panujących w tych krajach wichrów, odznacza się zupełnym i bezwarunkowym spokojem wód. Powierzchnia jego, niby gładka zwierciadlana tafla, nigdy najmniejszym powiewem wietrzyka nie zmarszczona, pozwala najdokładniej widzieć co się w głębinach dzieje, a głębiny te roją się nieprzeliczonemi myriadami ryb. Szczupaki i tajmenie dochodzą tam obudzającej podziw rozmiarami swymi wielkości. Niezwykła czystość i przejrzystość wody, zasilanej bezprzestannie podziemnymi źródłami przyczynia się do zbadania jednym rzutem oka tych tajników. Od pasterzy pasących stada kóz nad brzegami jeziora, dowiedzieliśmy się, że ono nosi nazwę Dzenataj-Kul. Tymczasem podług geograficznych wskazówek, tego nazwiska jezioro powinno znajdować się o jakie kilkaset wiorst niżej na południe, daleko za punktem połączenia dwóch Jenisejów. Punkt ten na którym zbudowano pierwszą stałą osadę północnej Mongolii, jest zarazem najpierwszą miejscowością, w której pojawia się jakiś cień władzy sprawowanej przez Uranchajskiego Noina (patryarchę). Formalności towarzyszące przeglądaniu paszportów,

zazwyczaj bywają nader długie i nużące dla podróżnych; Noin bowiem, człowiek prosty, nieumiejący nawet dobrze czytać, nietylko długo syllabizuje przedstawione sobie dokumenta ¹⁾, ale w dodatku, ażeby pokazać swoją czynność, obarcza każdego drobiazgowemi a częstokroć nader dziwnymi zapytaniami, na które nieraz trudno stosowną znaleźć odpowiedź. Przymusowe zatrzymanie się w osadzie Li-fa-li, przy połączeniu dwóch Jenisejów położonej, wynagrodzone zostaje przez wspaniałą widok gór otaczających wspomnianą miejscowość. Strome ich kształty mają w sobie coś przerażającego, budzącego niezwykle wrażenie podziwu i zachwytu. Wszystkie góry są olbrzymiej wysokości, wysokie, spiczaste, a skały zawieszane na ich szczytach zdają się w każdej chwili grozić oderwaniem i zarazem przytłoczeniem swym ciężarem drobną osadzie. Karawana nasza zostawiwszy poza sobą wspomnianą miejscowość, posunęła się dalej w kierunku południowym. Podróż z Li-fa-li do Dżyndżyliku, pierwszego miasteczka mongolskiego od granic Syberyi, jeszcze większe jak dotąd przedstawia trudności do przebycia. Jedyne źródło komunikacyjny, ścieżka zwieszona nad niezgłębioną przepaścią, jest w wielu miejscach przerwana szerokimi szczelinami, przez które konie są zmuszone przeskakiwać.

Trudno opisać grozę i mimowolny przestach, jakie są udziałem najmniej nawet wrażliwego na niebezpieczeństwa podróżnego, w czasie dokonywania tych napowietrznych skoków przez wdrożone do podobnych ćwiczeń wierzchowce. Zmyślnie nawet zwierzęta, pomimo nabytej wprawy, czując że życie ich zależy od mniej lub więcej pewnego rzutu, gdy staną nad brzegiem owiej szczeliny, dwa lub trzy łokcie czasami szerokości mającej, strzygą uszami i drżą na całym ciele z przestachu. Nigdy jednak nie należy przynaglać ich użyciem ostrogi do przebycia przeszkody. Podobny postępek odejmujący koniowi własną jego energię, pociągnąłby za sobą oczywistą zgubę nieostrożnego jeźdźca.

Po dwóch tygodniach podobnej podróży, a raczej ciągłych ekwilibrystycznych ćwiczeń, góry jakie przebywać trzeba są mniej strome; potem stopniowo ustępują miejsca porośniętemu cedrowym lasem pagórkom; nareszcie w rozkosznej dolinie widnieje miasteczko Dżyndżylik.

Miasteczko to na sposób chiński zbudowane, z zakrzywionymi u góry dachami domów, z wybiegającymi wysoko spiczastymi iglicami pagód budyjskich ²⁾, po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży naszej przypominało mi zewnętrznymi swemi kształtami, iż znajdujemy się w prowincyi stanowiącej część państwa niebieskiego; dotąd bowiem

¹⁾ Paspordy do Mongolii wydawano bywają przez nadgraniczne władze Syberyi, w języku mongolskim.

²⁾ Wieżycy pagód budyjskich ozdobione są ostro zakończonymi iglicami: symbol ten ma oznaczać modlitwę wiernych, wznoszącą się w prostym kierunku do nieba.
(przyp. aut.)

przebywając puste lub zrzadka zaludnione koczującymi plemionami Uranchajców obszary, nie dostrzeżliśmy oprócz ubiorów niektórych Mongołów, przejmujących powoli obyczaje chińskie, żadnego łącznika wiążącego myśl naszą z wyobrażeniem, jakie utworzyliśmy sobie o krajach mandżurskich. Dżyndżylik posiada przeszło cztery tysiące mieszkańców; wszyscy oprócz osób do składu administracji rządowej należących, lekarza i kilku kupców, są pochodzenia mongolskiego. Władzami administracyjnymi, sądowymi i policyjnymi zawiaduje mandaryn mianowany przez rząd mandżurski; pomocnikiem zaś jego jest Mongoł, ustanowiony na lat trzy przez wybory ogółu i niepobierający żadnej stałej pensyi. Dwie pagody budyjskie, szkoła elementarna, w której uczą czytać i pisać po mongolsku i plac targowy, ot i wszystko. Miasteczko niechlujne, uliczki wązkie, nieczyste, pełne brudu i śmieci, nie dają zbyt wysokiego wyobrażenia o porządku wewnętrznym téj pierwszej nawpół chińskiej osady, w północnych częściach mongolskiej prowincyi położonej. Jaskrawe farby, jakimi pomalowane są niektóre domy, przez urzędników i kupców mandżurskich zamieszkane, wyróżniają się wybitnie na tle ogólnego opuszczenia, jeszcze więcej kontrastem.

W Dżyndżyliku miała się zakończyć nasza wycieczka, lecz ponieważ mandaryn zawiadujący tą częścią okręgu, zależny jest we wszystkich swych urzędowych czynnościach od Uliasutajskiego Chian-Tschung'a, rządzącego całym okręgiem, zmuszeni byliśmy po kilku dniach przebytych na próżnych reklamacyach i zdających się nie mieć końca tłumaczeniach, udać się dalej na południe do stolicy prowincyi, miasta Uliasutaju. Nieznający Chińczyków, przybliżonego nawet wyobrażenia powziąć nie może, jak oni, szczególnie gdy piastują jakąkolwiek władzę, są nieznośnymi we wszelkich urzędowych stosunkach. Nie objawiają nigdy wręcz swojej myśli, nie dają najmniejszego objaśnienia; lecz starają się za pomocą jakiegś dziwnéj a przez nich tylko praktykowanej retoryki, zagmatwać najprostszą w świecie kwestyę. Mandaryn Dżyndżyliku zamiast wprost powiedzieć naczelnikowi naszéj wyprawy, iż to czego żądano przechodzi jego atrybucye, płatał niemającymi żadnego związku z istotą rzeczy wywodami sprawę, i dopiero po dwóch czy trzech dniach bezpożytecznych gawęd, można było z wszystkiego co powiedział, ten wyciągnąć wniosek, iż chcąc zamierzony cel osiągnąć, należało udać się do stolicy okręgu. Grzeczność także owego mandaryna okazała się nader interesowaną. Nie chciał on na żaden sposób zezwolić, ażebyśmy stosownie do powziętego poprzednio zamiaru zakwaterowali w mieszkaniu rossyjskiego kupca Piotra Afanasiewa, lecz przymusem prawie umieścić wszystkich w swoim domu, a pomimo tego iż przysmaki jakie nam dawano zupełnie wstrętne dla podniebienia europejskiego schodziły nietknięte ze stołu, i jedyném naszym pożywieniem były szaszłyki (rodzaj pieczeni), przyrządzane przez biegłego w sztuce kucharskiej kozaka z eskorty, chciwy mandaryn wylikwido-

wał przy odjeździe znaczne koszta, poniesione przez niego na utrzymanie karawany.

Ponieważ dalsza nasza podróż z Dżyndżyliku do Uliasutaju, nie przedstawiała nic tak dalece zajmującego, a kraj jaki przebywaliśmy stanowił stepową płaszczynę zarosłą bujną trawą, wśród której natknąć było można od czasu do czasu aury koczujących Uranchajców; przystąpię odrazu do opisu wrażenia, jakie wywarł na mnie widok drugiego z rzędu, co do rozmiarów i ilości mieszkańców, miasta mongolskiego. Pierwszém z nich bowiem jest Ugri, stolica Mongolii, gdzie się koncentruje cała administracya prowincyi. Uliasutaj zaś jest naczelnym grodem okręgu, a co więcéj ma wielkie znaczenie jako główna chińska forteca w tych stronach. Smutne zaiste wyobrażenie o potędze wojennej państwa niebieskiego daje widok owéj fortecy. Na wpół zasypane rowy, palisady utworzone z ostrokołu i wały z ziemi usypane, na których stoją ciężkie, z trudnością dające się poruszać armaty, stanowią jedyne środki jéj obrony. Jedna połowa baterya, a w ostatnim nawet razie atak na bagnety wyćwiczonego w sztuce wojennej wojska, dałyby w krótkim przeciągu czasu radę tym słabym zaporom. Natomiast ceremonie odbywające się przy wpuszczaniu przybysza do obronnej miejscowości, są w stanie zniecierpliwic każdego podróżnego, nieprzywykłego do drobiazgowych czynności urzędników chińskich. Formy owe nie mają innego celu, jak pokazanie barbarzyńcom (to bowiem miano nadają mandżury wszystkim bez wyjątku Europejczykom) potęgi swéj władzy. Przy jedyném wejściu do fortecy stał posterunek złożony z kilkunastu żołnierzy i jednego oficera. Pierwszy raz w życiu miałem sposobność oglądać regularne wojsko chińskie: wszyscy żołnierze, składający ów oddział, przybrani byli w różnokolorowe opończe; szerokie słomiane kapelusze, z pod których wyglądały spadające ku ziemi warkocze, chroniły ich głowy od promieni słonecznych. Uzbrojenie ich składało się z ciężkich skałkowych karabinów, i krótkich zakrzywionych pałaszy; ładownice w kształcie woreczków skórzanych wisiąły na szyjach. Piersi oficera który nimi dowodził, pomimo iż tenże nader niską zajmował rangę w hierarchii wojskowej, pokryte były najdziwaczniejszymi orderami, powiększénj części wyrobionemi ze stali a przedstawiające głowy smoków, słonie i różne allegoryczne godła. Oficer ów objaśnił nas za pomocą tłumacza, iż wpuścić karawany do miasta nie może bez poprzedniego odwołania się do swego naczelnika; ten znów przybywszy, po długim oczekiwaniu powtórzył mińéj więcéj to samo i odesłał pod eskortą do wyższego od siebie mandaryna, który osądził za stosowne znieść się z komendantem placu. Jedném słowem wodzono nas przez kilka godzin po różnych dekasteryach, nim narzeczcie wydano pozwolenie na piśmie, ogromną opatrzone pieczęcią, pobytu w fortecy. Nauczeni nabytém w Dżyndżyliku doświadczeniem, nie przyjeśliśmy ofiarowanej przez mandarynów gościnności, lecz zakwaterowaliśmy u prawosławnego duchownego ojca Aleksego, na-

der uprzejmego starca, który podejmował podróży z prostą i niewyszukaną grzecznością ¹⁾).

Ponieważ z powodu zupełnej nieznamomości mojej języka chińskiego, dotychczasowe czynności, jakie przy wyprawie wypełniałem okazały się niepotrzebnymi; użyłem, mając wolny czas, kilku dni pobytu naszego w Uliasutaju na obejrzenie miasta i obznajmienie się, o ile tylko ograniczone chwile przebywania tamże karawany na to pozwoliły, z obyczajami miejscowymi. Ludność tego grodu dochodziła wówczas do 20,000 dusz, tak Mongołów jak i Mandżurów; wszyscy bez wyjątku mandaryni, znaczniejsi kupcy i bogatsi obywatele są rodowitymi Chińczykami, niższej zaś hierarchii urzędnicy, pomniejsi kramarze, wyrobnicy, pochodzą z miejscowych plemion. Język chiński używany przez pierwszych i mongolski będący mową drugich, mieszając się ze sobą tworzą istny chaos, tak że skutkiem tego zespolenia dwóch narodowości, utworzyło się tam pewne zupełnie odrębne narzecze. Znając język mongolski nie mogłem częstokroć w rozmowie z prostym ludem dojść wątku gawędy, z powodu mnóstwa mandżurskich zwrotów i wyrazów, jakie się do ich mowy wkradły. Samo miasto, posiadające kilka pagod budyjskich, dwie świątynie dla wyznawców Konfucjusza i jeden dom do praktyk szamańskich służący, przedstawia się lepiej aniżeli Dzyndzylík, chociaż domy są po większej części budowane z cedrowego drzewa, a tak zwany pałac Chian-Tschung'a ma pozór ogromnych wojskowych koszar. Jedynym szczegółem ujawniającym władzę tego potentata (zależnego znowu od naczelnego mandaryna prowincyi, zamieszkałego w Ugri) jest niezliczona liczba służby, żołnierzy i drobnych urzędników, snujących się ciągle około jego rezydencyi. Mówiono mi nawet, iż ten ciągły ruch nie wypływa bynajmniej z rozgałęzionych czynności administracyjnych, ale jest po prostu wynikiem woli Chian-Tschung'a, który pragnąc okazać tym sposobem swoją potęgę, rozkazał ażeby ile można najwięcej osób kręciło się ciągle około jego mieszkania. Owego dygnitarza zdarzyło mi się spotkać niesionego w odkrytej lektyce przez yetasów (niewolników). Wszyscy mieszkańcy, nawet wyższej hierarchii mandaryni z zawieszonymi na szyi orderami, padali plackiem na ziemię, na widok tyle znakomitej osobistości; oprócz tego, niektórzy celem okazania wielkiej pokory i czolobitności, posypywali leżąc po bokach ulicy ogolone swe głowy piaskiem, a wszyscy bez wyjątku drżeli z przerażenia i strachu. Uliasutajski Chian-Tschung jest niezmiernie otyły, rysów twarzy grubych i pospolitych, wzrok

¹⁾ Ojciec Aleksy w pół roku potem zginął okrutną śmiercią, po wzięciu fortecy Uliasutaju przez wojska Tajpingów. Cała mandżurska załoga i trzecia część ludności w czasie szturmowania została, Tajpingi zdobywszy miasto, nałożyli haracz na mieszkańców i uprowadzili dobytek i inwentarze. Gdy opuścili Mongolię, została po nich ruina i pożoga. Szczegóły tej katastrofy opisane potem w dziennikach rosyjskich, przyniesli uciekający przed nią do Syberyi, kupcy rosyjscy, zamieszkali przedtem w Uliasutaju. (przyp. aut.)

ma przygasty, głowę kiwającą się od nadmiernego używania opiatycznych substancji.

Obrzydliwy ów nałóg, którego waleczne dawniej pokolenia mongolskie nie znały wcale, napłynął powoli z Mandżuryi od czasu podbicia haństwa przez Chińczyków. Wyznać jednak należy, iż tylko wyższe klasy mieszkańców Uliasutajskich, mandżurskiego pochodzenia, poddają się tyle szkodliwej dla zdrowia namiętności. Prosty lud bowiem poprzestaje dotąd na przykrym w smaku, lecz również odurzającym zmysły arianie, czyli rodzaju wódki z kobylego mleka wyrabianej.

Będąc wraz z innemi osobami, do otoczenia księcia A. należącem, zaproszonym do kilku znaczniejszych domów, miałem sposobność rozpatrzeć się bliżej w obyczajach i sposobie życia mieszkańców Uliasutaju. Wszędzie w sposobie przyjęcia widnieje zbytek połączony z najzupełniejszym brakiem komfortu europejskiego. Nie mówię już o kosztownych i wyszukanych potrawach, które dla każdego z nas stawały się wstrętnymi, ale o niedostatku tego wszystkiego co jest zwykłe w Europie uważanem za niezbędnie potrzebne w codziennym życiu. I tak np. do stołu nie podają ani nożów ani też widelców, ale kawałki mięsa rozrywać należy palcami, a co najwięcej, pożywać je, włożywszy poprzednio na rodzaj drewnianych patyczków. Gospodarz pragnąc uczcić gościa, wybiera sam z półmiska najwybredniejszy kąsek, i ująwszy takowy w palce, pakuje do ust konsumenta. Zadaniem licznój służby, krążącej bezprzestannie około stołów, jest oprócz ciągłego poruszania powietrza olbrzymiemi wachlarzami, bezprzestanne zachęcanie gości do jedzenia: każdy z zaproszonych ma za sobą podobnego egzekutora, który natrętnie przymusza biesiadników do wypełnienia przyjętych na siebie obowiązków, to jest do spożycia jak największej ilości pokarmów. Co chwila zdaje się, iż ów nieubłagany reprezentant chińskiej gościnności schwyli za gardło, i na wzór pana domu, pocznie własnymi rękami kłaść do ust znajdujące się na półmiskach jadło; szczęściem jednak kończy się wszystko na powtarzającym się bezustanku wykrzykniku: tshi! tshi! tshi! (jédz! jédz! jédz!). Ponieważ zaś każdy z usługujących (a ich liczba odpowiada ilości zaproszonych osób) wykrzykuje, bez przerwy donośnym głosem, wspomniony wyraz, ztąd powstaje trudny do opisanja wrzask i hałas, trwający od samego początku aż do końca uczy. Gwar ów zastępuje rozmowę, która nigdy w czasie przyjmowania posiłku pomiędzy zaproszonymi a gospodarzem nie ma miejsca. Kobiety, zwłaszcza młodsze wiekiem, nie są przypuszczane do grona biesiadników. Mają one oddzielne pomieszkanie, odrębną niewieścią służbę, osobną zupełnie a regulaminem zasad Konfucjusza uprawnioną normę życia. Stosowanie się do przepisów nieśmiertelnego prawodawcy i filozofa, bywa częstokroć tak drobiazgowém, tak literalnie pojmowaném, iż wyradza pewne zwyczaje nierozumiałe z razu dla nieprzyzwyczajonego do podobnych objawów Europejczyka. W jednym z rozdziałów księgi Li, przez Konfucjusza napisanej, a stanowiącej przepisy dla zachowania się pći zeńskich, powiedzianém jest po-

między innymi, że „drzwi pokoju sypialnego młodej dziewczycy, powinny być ukryte przed okiem mężczyzny.“ Otoż Chińczycy biorąc tę przenośnią w czysto zmysłowym znaczeniu, maskują w budowie domów wchód do komnat swych córek tak dokładnie, iż najwprawniejszy wzrok nie jest nigdy w stanie rozróżnić ukrytego pomiędzy sztukateriami i makatami wejścia do mieszkania dziewic. Wyjawszy jednak chwil na przyjęcie posiłku przeznaczonych, kobiety chińskie mogą znajdować się w towarzystwie mężczyzn, choćby ci byli nawet cudzoziemcami; o ile przecież z ogólnych oznak osądzić mogłem, wykształcenie ich na niższym daleko stoi stopniu, niżeli wykształcenie męskiej ludności kraju. Mówią mało, nie dla braku śmiałości, lecz z powodu niemożności utrzymania rozmowy o jakimkolwiek bądź przedmiocie, a na zadane zapytania odpowiadają najczęściej bezmyślnym śmiechem, stanowiącym u nich stereotypowy środek omijania szkopułów z prowadzenia towarzyskiej pogawędki wynikać mogących. Chód ich jest ciężki, niezgrabny; nadzwyczajnie zaś ciasne i niewygodne ubranie, za pomocą którego miejscowa moda kaleczy od niemowięcych lat życia drobne ich nóżki, sprawia iż przy każdym stąpięciu maluje się na twarzach mieszkanek państwa niebieskiego wyraz cierpienia i boleści; przymusowa znowu stagnacja i brak ruchu, czynią je nadzwyczajnie skłonniemi do przedwczesnej otyłości.

Umeblowanie salonów chińskich podobnym jest do zwykłych upiększeń domów europejskich. Niczego tam nie brak: ani wygodnych kanap na sprężynach, ani różnokolorowych o jaskrawych barwach obić, ani ogromnych zwierciadeł, ani wreszcie portyer aksamiitnych lub adamszkowych. Zbytkowym szczegółem jednak, w którym najwięcej lubują się mieszkańcy państwa niebieskiego są malowidła rozwieszane po ścianach. Obrazy te najczęściej na blasze, porcelanie lub drzewie malowane, przedstawiają najróżnorodniejszy zbiór papug, kiosków, postaci ludzkich, mandarynów z parasolami i pagod, a wszystko to uszeregowane jest na jednym planie tak, że przedmioty najbardziej oddalone i najbliższe, jednakowe zupełnie posiadają rozmiary. Gdym pewnego razu zwrócił uwagę jednego z kupców chińskich na ten brak perspektywy w malowidłach, on przejęty miejscowemi wyobrażeniami nie mógł mnie zrozumieć.

— Czyliż podobna, mówił, ażeby ludzie którzy są mnień więcęj zbliżeni do siebie wzrostem, okazowali się raz małymi, drugi raz znowu wielkimi, stosownie do tego, w jakim oddaleniu od siebie stoją?

— Ależ oni równi są co do wysokości; odległość tylko sprawia, iż się wydają być mniejszymi. Spójrzycie na tego człowieka, który tam idzie daleko, rzekłem wskazując przez okno, jakże on wydaje się być małym w odległości?

— To też właśnie w tém rzecz, iż się tylko wydaje być małym, a rzeczywiście jest naszego wzrostu. Malarz nie powinien przedstawiać tego co się wydaje, ale to co jest; inaczej byłby kłamcą, a kłamstwo poniża sztukę.

I pomimo najszczerzej chęci, nie mogłem w żaden sposób przekonać go o prawach perspektywy.

Niektóre z obrazów malowane bywają na tkaninie z ryżowej słomy i nie są oprawne lecz zwinięte na dwóch drewnianych wałkach, które oglądający kręci od góry do dołu, mając tym sposobem przed oczami cały szereg illustrowanych postaci, będących ze sobą w pewnym związku, i stanowiących wyraźnie jakąś epopeję z chińskiego życia wyjętą.

O cywilizacji i przemyśle państwa niebieskiego, wychowaniu publiczném, medycynie, doskonałości fabryk porcelany, hodowli jedwabników, irrygacji łąk, uprawie herbaty, budownictwie i rolnictwie, pisałem już przed pięcioma laty obszernie (zobacz Tyg. Illustrowany z r. 1870 Nr. 128, 149 i 155); lecz ponieważ przytoczone szczegóły dotyczą wyłącznie właściwej ojczyzny Mandżurów, a celem niniejszego artykułu jest naszkicowanie chociaż pobieżne samej Mongolii, pominię takowe milczeniem, przechodząc do rzeczy najmniej może znanj, a które dla orientalistów mogłoby stać się niewyczerpaném źródłem do zbadania historycznej przeszłości tych krajów, służacém.

Chcę mówić o literaturze mongolskiej. Czyliż podobna, powie może nie jeden z moich czytelników, ażeby kraina ta nawpół dzika, zaludniona po większej części plemionami koczującemi, mogła posiadać własną literaturę? Tak jest jednakże. Ze w środkowych prowincjach państwa niebieskiego, stanowiących właściwe Chiny, kwitnie peryodyczne i książkowe piśmiennictwo, wszystkim wiadomo. W samym Pekinie oprócz dzieł różnej treści i zakroju, wychodzi kilkadziesiąt dzienników sprawom bieżącym poświęconych; druga także stolica państwa Nankin, również jak i znaczniejsze prowincjonalne miasta cieszą się znacznym rozwojem literackim. Ale tam są szkoły, zakłady naukowe; wykład San-ghu (ogólnej wiedzy) pomimo swj wadliwości przyczyniając się nie mało do rozpowszechnienia wszelkiego rodzaju umiejętności, podtrzymuje zamięłowanie nauk; obeznanie się zaś z zasadami Konfucjusza wyradza pewne filozoficzne pojęcia. Tymczasem Mongolia tego wszystkiego nie posiada. W stolicy jój Ugri i w drugorzędném mieście Uliasutaju znajdują się wprawdzie dwie wyższe szkoły, ale w nich wszystkie przedmioty wykładane bywają w języku mandżurskim. Mongolska mowa pozostawszy narzeczem prostego ludu, zeszepecona napływem chińskich zwrotów i wyrażeń, ma nader szczupłe szranki nie tylko do stopniowego wyrobienia się, ale nawet do zachowania pierwotnej swj czystości. Oprócz tego rzeczony język jest ubogim, określenia szczególniej tyżące się wrażeń umysłowych przedstawiają niezliczone trudności do zwalczenia, brak właściwych denominacji tamuje wybitność i zrozumiałość myśli, a jednak pomimo tych wszystkich przeszkód, w Mongolii znaleźć można powieściopisarzy a nawet poetów! Ze nikt dotąd o literaturze Uranchajców nie wspominał, dziwić się nie można. Najprzód, jak już wyżej powiedziałem, prowincya ta jest zakątkiem ziemi najmniej może znanym na kuli

ziemskiej; powtóre, brak zupełny drukarni mongolskich sprawia, iż nieliczne utwory tamtejszych autorów znane są zaledwie szczupłej garstce przyjaciół piszącego; nakoniec, i to rzecz najważniejsza: mandżurskie władze bardzo niechętnie patrzą na podobne objawy, i przez to samo zmuszają poświęcających się zawodowi literackiemu ludzi, do starannego ukrywania swych prac.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jestem jednym, być nawet może jedynym z mieszkańców stariej naszej Europy, którzy mieli sposobność nie tylko poznać utwory poetów uranchajskich, ale nawet odpisać i przetłumaczyć niektóre z nich. Rzecz tak się miała. W czasie dwutygodniowego blisko pobytu naszego w Uliasutaju, pozyskawszy zaufanie niektórych mieszkańców, dowiedziałem się od nich o istnieniu tych nader ciekawych dokumentów. Mając raz o tém wiadomość użyłem wszelkich możliwych środków do zbliżenia się z czczonym i szanowanym powszechnie wierszopisarzem mongolskim Džen-lully, starcem siedemdziesiąt blisko lat wieku liczącym. Džen-lully, kupiec z profesyi, pomimo swej starości cieszy się jeszcze czerstwem zdrowiem i rzadką przytomnością umysłu. Pamięć posiada on wyborną i przez to samo przechowywając w swęj głowie, niby w księgozbiorach i archiwach, zasłyszane przed laty podania i legendy, mające związek z starożytną historią haństwa, osnuwa na nich poetyczne swoje utwory. Wszystkie one bez wyjątku nacechowane są tęsknotą za ubiegłymi czasami. Starzec, potępiając zniewieściałość dzisiejszych pokoleń, stawia przed oczyma współczesnych, niby widma przeszłości, olbrzymie kolosy dawnych wojowników, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje pokryta mrokiem ubiegłych stuleci, lecz potężna nieprzekwitłą nigdy sławą postać Dżingishana. Poezycje te jednak mają ujemną stronę: w żadnej z nich dostrzedz nie można odblasku trój-promienia cnót chrześcijańskich, nadziei. Džen-lully budaista, biadając nad teraźniejszością nie jest zdolnym umocnić ducha zniechęconych przez wskazanie im owęj jasnej drogi, na kresach której widnieje przyszłe odrodzenie się materii; gdyż przed zamglonym jego wzrokiem staje zawsze ostateczny wynik nauki mędrca Szakya-Muni t. j. Nirwana. Szczęście, miłość, duchowe rozkosze są mu nieznanne: bogi nawet, to istoty negatywne niezdolne w niczem pomódz człowiekowi: wszystko co go otacza jest bólem i zwątpieniem. W samym zarodku życia wyrasta przesyti i zniechęcenie, w przyszłości zabita jest nazawsze ożywca nadzieja: koniec stanowi zwycięstwo, a śmierć sama objawia się umierającemu jako anioł oswobodziciel, prowadzący go do zagłady i nicości. Pomimo jednakże tych usterków, wypływających z zasad wiary pieśniarza, pomimo nawet ciągłego łamania się z przeszkodami, jakie ograniczone środki mongolskiej pisowni na każdym niemal kroku piszącym stawiają, utwory mongolskiego barda odznaczają się potęgą myśli, barwnością słowa i nieograniczonem uczuciem przywiązania do strupieszatych już i rozpadających się w gruzy pamiątek przeszłości. Są one pisane na dłu-

gich zwitkach papieru tuszem chińskim, a następnie zwijane na okrągłe wałki bambusowe: żadnego z nich farba drukarska nie tknęła.

Zaufanie, jakie we mnie od pierwszej chwili poznania położył stepowy poeta, pozwoliło mi obeznać się ze wszystkimi jego dziełami; pomimo jednak znajomości narzecza mongolskiego nie byłem w możności z powodu niesłychanych trudności, jakie przedstawia ta uboga mowa przełożyć wybitniejszych prac Dzen lully. Kilkadziesiąt zaledwie wierszy zachęcającej do czytania księgi o Bogdo-Gesser-Hanie, udało mi się przetłumaczyć niemal dosłownie na język polski; ten więc krótki wyjątek, odpowiedniami opatrzone objaśnieniami, jako dopełnienie niniejszego artykułu, czytelnikom moim podaję. Jest on następujący:

Księga o Bogdo-Gesser-Hanie.

Księgę o Bogdo-Gesser ¹⁾ pisali magowie,
 Na kartach owęj księgi przeszłość nasza leży:
 Dziś wszystko co minęło aul patryarchowie,
 W żywém słowie stawiają przed oczy młodzieży.
 Księga w prochu spoczywa, a starców przestrogi,
 Są jakoby szum wiatru co huczy po knieci;
 Rozumieją go łowce i myśliwskie bogi:
 Dla tłumów to czeze echa zwodniczych nadziei.
 Zniknęły czasy, w których dzielny Uruchaniec ²⁾
 Miasto siecią się bawić, rzek badać głębiny,
 Sięgał okiem sokolém na step naszych kraniec,
 Gdzie się roją Mandżuryi zniewieściałe syny;
 Ród papuzi ³⁾ drżał przed nim, wiedział że za górą
 Tajkas, żyją olbrzymy niezwalczone w boju;
 Wiedział że ich ramiona skryte wilczą skórą,
 Zdołają ciężar wojny podźwignąć bez znoju;
 Wiedział, że z ich sajdaki nie zrosły się strzały,
 Że cięciwy u łuków wiecznie naprężone;
 Że tengri ⁴⁾ wśród jurt ojców, z nimi zamieszkały,
 Daje im w czci rodzinnej potężną osłonę.

¹⁾ Księga mongolska o Bogdo-Gesser-Hanie, znana powszechnie przez oryentalistów niemieckich wydana została w Petersburgu w roku 1836 przez profesora Szmidta.

²⁾ Uruchaniec, plemię mongolskie zamieszkujące na północy Chin. Nazwą tą jednakże mianowani bywają wszyscy protoplaści Mongołów.

³⁾ Papugami nazywają przez pogardę ludy mongolskie Mandżurów (Chińczyków), z powodu ich jaskrawych ubiorów.

⁴⁾ Tengri, duch przodka, opiekujący się potomkami swoimi. Wiara w ciągłą obecność Tengri, jakkolwiek ozerpiąca swe źródło w szamanizmie, zachowuje się dotąd pomiędzy niektórymi wyznawcami buddyjskiej wiary, szczególnie gdy ci jak Mongoły, należą do koczowniczych a zatem mniej cywilizowanych plemion.

Nie było wtedy Ulia ¹⁾ na stepie dziewiczym,
 Od czarnego Turanu ²⁾ po Sajańców lody ³⁾
 Słynęła nasza horda duchem wojowniczym;
 Sam Budda ją nad wszystkie ukochał narody,
 Na głos lamy ⁴⁾ w pagodach nikt nie został głuchym;
 Z Obon ⁵⁾ szła nam nauka, z walk bogactw nadzieje,
 A koło modlitw ciągłym poruszane ruchem,
 Nie rdzewiało w swych osiach, tak jak dziś rdzewieje ⁶⁾.
 Ród olbrzymów złowionych zwierząt mięso jadał;
 Nie była strawą ryba lub roślin korzonki,
 Dla groźnych, z których każdy dźwięk trąby przekładał
 Nad piszczałkę Surgana ⁷⁾ lub nad Zigów dzwonki ⁸⁾.
 Bajarze ⁹⁾ dzisiaj zmiłkli, zgasło żywe słowo

¹⁾ Ulia, skrócenie Uliasutaju, fortecy przez Chińczyków przed dwoma wiekami zbudowanej, a stanowiącej dziś główny gród mongolski, wśród którego rezyduje mandaryn zarządzający prowincją.

²⁾ Turan, sławne państwo Scytyjskie, o którym mówi historyk Justyn: „*non minus praeclara initia, quam imperium habuit.*“ Znajdowało się wprawdzie nad morzem Czarnem, lecz wszystkie ludy zamieszkujące północno-zachodnie części Azji, a zatem i koczujące plemiona Kiryisów o których tu mowa, były zwane tęp ogólnem mianem przez mongolskich i mandżurskich pisarzy.

³⁾ Sajańcy, nieliczne plemię zamieszkujące góry Sajańskie na granicach Mongolii i Syberji. Część tych plemion zostaje obecnie pod panowaniem Rosyji.

⁴⁾ Lama, duchowny budyjski.

⁵⁾ Obona, starożytny grób szamański. Podobnych Obon mnóstwo rozsianych jest po Syberji, Mongolii i północnych prowincjach państwa niebieskiego. Obony są różnej wielkości, zawsze w kształcie równoległoboków. Wewnątrz ich znajduje się pieczara, w której spoczywają kości zmarłych; obok tychże złożone narzędzia wojenne i myśliwskie, jako też ozdoby niewieście, jakich zimarli za życia swego używali. Na powierzchni ziemi usypaną mogiłę otaczają ustawione dokoła spiczaste kamienie.

⁶⁾ Jestto maszyna służąca do modlitwy wyznawcom Budaizmu. Kształtem podobna do katarynki, ma wewnątrz chwytacze, które za poruszeniem korby, podrzucają do góry karteczki z wypisanym wyrazem: „Om“ czyli westchnienie do Boga. Każdy budaista posiada w swojej jurcie lub domu podobną maszynę, której mechaniczne kręcenie uważa za odbycie pacierzy. Pobożni stawiają nad drogami publicznymi dla użytku wiernych owe skrzynki.

⁷⁾ Surgan, muzykant stepowy.

⁸⁾ Zig, trefniś żywiony kosztem auly, ubrany dziwacznie, w czapkę opatrzoną dzwoneczkami; obowiązkiem jego jest rozweselać wszystkich swoimi conceptami. Osobistość ta bywa zawsze dobrze karmioną i stosownie odziewaną, lecz moralnie obudza ona u wszystkich członków auly ogólną pogardę.

⁹⁾ Po mongolsku „Tscheng-ata.“ Wyrazu tego niepodobna w żadnym razie jednem nazwaniem przetłumaczyć. Tschong-ata jestto człowiek, który, znajdując się w pierwszym peryodzie używania opium, wpada w ekstazę

Opowiadań jurtowych wśród wieczornej ciszy.
 Patriarcha rodziny jest w aule głową,
 Po za aulą już głosu jego nikt nie słyszy.
 Nie wyszukasz w Nirwany cieniach nieprzebytych ¹⁾
 W zwłok spalonych popiele, ani w Obon pleśni,
 Tęj myśli co do czynów wiodła znamienitych:
 Ona jest, ale martwą wzgardzili rowieśni!
 Jeśli jednak chcesz złąć się z duchem czią brzemiennym
 Twoich ojców i poznać blask dawniej potęgi,
 To wzgardziwszy w swych jurtach jadem Hatchi ²⁾ sennym,
 O Bogdo-Gesser-Hanie czytaj święte księgi.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

I.

Piękny i ciepły jeszcze był dzień dziewiątego września 1756 roku, ale w świetnym i ożywionym zwykle Dreznie, pawała cisza jakaś dziwna i złowroga. Trudno było rozpoznać

nie milczącą jak to zwykle miewa miejsce, ale czyniącą go wyjątkowo rodzajem improwizatora. Tschung-ata, będąc w podobnym stanie, chodzi od jurty do jurty i opowiada historię przeszłości. Dzieje są utworem podnieconej narkotykiem wyobraźni; słuchacze zaś wierzą święcie jego słowom. Wyraz: bajarz, który w braku odpowiedniej nazwy w tłumaczeniu położyłem, nie określa dokładnie tej osobistości.

¹⁾ Nirwana, nicność, wieczne zapomnienie. Według wyobrażeń wyznawców budaizmu, życie jest ciągłym cierpieniem; najwyższą zatem nagrodą za cnotliwe czyny człowieka staje się po jego śmierci nirwana, czyli zupełna zagłada jestestwa.

²⁾ Hatchi, opiatyzoza substancya, najwięcej używana przy paleniu fajek.

co ją spowodowało, choć na pierwszy rzut oka widać było, iż się działo lub przyjsć miało coś nadzwyczajnego. Mało było ludzi w ulicach, zato pilnie wpatrując się, dostrzedz mogło ciekawe oko: na wieżach kościoła Św. Krzyża i P. Maryi, na świeżo dokończonj katolickiej nadwornj kaplicy, ludzi, którzy kryjąc się, przez okna i z za gzymsów spoglądali ciekawie na okolicę.

Pałac Brühlowski stał zamknięty, a ciżba która się zwykle około niego kręciła, znikła była zupełnie; od ogrodu i arsenału tyłami wywożono paki, które wozami szły na Pirnajskie Przedmieście. W oknach pozamykane były okiennice i zapuszczone zasłony. Na zamku stała jeszcze na straży gwardya królewska, zajmująca główny odwach i inne zwykłe stanowiska; ale na ponurych twarzach żołnierzy malowało się jakieś niezrozumiałe uczucie i obawa. Najmniejszy hałas wywoływał z okien głowy ciekawe.

Drzwi kościoła katolickiego przy zamku, téj wspaniałej, świeżo dokończonj budowy, na której szczytach stali na straży Święci Pańscy, były otwarte..... Z uroczystą powagą na chórze organy się odzywały modlitwą tęskną, powolną, pełną głębokiego uczucia; tęsknić się zdającą ku niebiosom i temu pokojowi, którego świat dać nie może.

Śpiew towarzyszył organom, a przed wielkim ołtarzem, w którym królowało arcydzieło Rafaela Mengsa, stał kapłan sprawujący świętą ofiarę. Łoża w prawo była otwartą, franki jój rozsunięte; w oknie jój zakwefiona klęcząca królowa Józefina, za nią młodsze jój dzieci, rodzina i dwór. Z głową spuszczoną zdawała się płakać modląc, niekiedy załamane ręce nad głowę podnosiła ku niebu, a po chwili opadały bezsilne na bogato oprawną księgę.

Organ grał ciągle pieśń swą błagalną i uroczystą.

W ogromnym kościele mała zaledwie kupka osób nabożeństwu była przytomną, tuląc się przy filarach. Niektórzy klęczeli zatopieni w modlitwie, inni stali pogrążeni w myślach. Przez okna, aż ku środkowi kościoła, wpadał szeroki pas światła, jak gdyby słońce chciało promieniem lepszej nadziei pocieszyć strapionych.

Wtém, wśród przestanku gdy organ umilkł na chwilę, wśród ciszy dobiegł aż tu z ulicy szmer głuchy i daleki okrzyk. Do barona Spörken, który stał w drugiej łoży dworskiej, przysunął się zdyszany paź królewski.

— Prusacy idą! Prusacy wchodzą! Prusacy....

I uszedł żywo.

Królowa drgnęła, jak gdyby przeczuła tę chwilę i to słowo. Właśnie kapłan od ołtarza odwrócony, ukończywszy ofiarę, z twarzą ku łoży, krzyżem świętym dawał błogosławieństwo: Józefina podniosła się. Pomimo niemiłych i ostrych rysów nie pięknej twarzy, w postawie jój i ruchu znać było córkę cesarzy. Powolnie, przyklękawszy raz jeszcze, posunęła się na korytarz.

Tu ją napotkał baron Spörken.

Spojrzała nań pytająco: schylił głowę milczący.

O krok dalej stał Pater Guarini w sukni swój duchownej, z rękami założonemi na piersiach; głowę miał spuszczoną, twarz smutną ale spokojną.

Królowa z dziećmi nie odezwawszy się słowem do nikogo, pytać nie chciała aby się niedowiedzieć zbyt wcześnie—poszła korytarzami i gankami do zamku. Za nią pociągnął dwór w posępném milczeniu. Już tu zalatywały głosy z ulicy, bo ulice przed chwilą puste wypełniały się ludem, a protestancka ludność miasta witała Prusaków, jako współwyznawców. Przypominano sobie, że w czasie pierwszego zajęcia Drezna, Fryderyk uczęszczał czasem do protestanckich zborów, a nie pamiętano lub niewiedzano tego, że je zarówno jak katolickie kościoły wyszydzał i ośmiewał.

Lud zresztą, każdej zmianie przyklaskuje łatwo, bo nie ma lekkomyślniejszego nic nad zbiorowisko a tłum, który słowu i wrażeniu, jak morze wiatrom rozkołysać się daje.

Po tylu widowiskach w operze, do której ulica przystępu nie miała, po *Re pastore* i *Eciuszu* granych dla dworu, nadezła dzień widowiska dla ludu. I napawała się cizba upokorzeniem od Boga zesłaném tym, przed którymi wczoraj zmuszoną była padać na twarze. Pięćset osób występowało dla króla w operze, tu kilkadziesiąt tysięcy Prusaków, grało dla ludu dramat krwawy.

Wołano zewsząd: Prusacy! idą Prusacy! ale wojsk tych widać jeszcze nie było; postrzeżono je z wież ciągnące ku miastu bezbronnemu, którego załoga z resztą wojsk wyciągnęła do obozu pod Pirną. Bronić się nie było komu i nie przydałoby się na nic. Fryderyk nie wypowiedział wojny, zajmował Saxonie, szydersko prawiać o własnem i jej bezpieczeństwie. Napróżno po dwakroć pisał król do niego, odpowiadał mu że jest i będzie jego najlepszym przyjacielem, a tymczasem wojska pruskie szły coraz dalej, zalewały kraj, zabierały kassy, wymagały prowiantów, chwytaly ludzi i postępowały sobie jak w zawojowanem państwie.

Fryderyk cynicznie szydził z Augusta III-go, dla którego oświadczał się z uszanowaniem; o Brühlu nie mówił wcale, nie mógł wyrzec jego nazwiska; nazywał go: ten... Konia tylko na którym jeździł, Brühlem nazywał. Był to najgorszy ze wszystkich. Wojska saskie wedle planu zakreślonęgo, usiłując się połączyć z austryacciami, wszystkie wyciągnęły do obozu pod Pirną. Dnia trzeciego września, Brühl *chwilowo*, jak mówił, dla rozrywki obejrzenia wojsk, skłonił króla i królewicza starszego aby wyjechali do obozu. Augustowi III-mu towarzyszyło w tej przejażdżce pięćdziesiąt koni, piérwszy minister, który wiedział pewnie, że nierychło powróci do Drezna, miał ich z sobą sto dwadzieścia.

Król najmocniój był przekonany dotąd, iż Fryderyk może go odwiedzić w jego stolicy, ale się jej zajęć nie odważy. Przeciwno Brühlowi nawet utrzymywał z uśmiechem, że Frytznie jest znowu tak zły człowiek, tylko na nieszczęście niedowiarek trochę i bezbożnik.

Ostatniego dnia jeszcze poseł angielski Stormont, ofiarował Brühlowi pokój od króla pruskiego, pod warunkiem aby Saxonia rozpuściła wojska swe i ogłosiła się neutralną. Ale Brühl podrażniony i związany już słowem z Austryą i Francją, od których pobierał pensyą za swe usługi, pewien iż plany mocarstw przeciwko Prusom, spełnić się muszą, odrzucił. Ruto-wski dowodził obozem pod Pirną, generał Wied obozował pod Nollendorf, a przednie jego czaty dochodziły wedle planu do Peterswalde.

Tym samym gościńcem wspaniałym, który Brühl zbudował do granicy czeskiej, na urągowisko i groźbę napisawszy na słupach, że to był *Gościńiec wojskowy* (Heerstrasse) i on i pułki saskie wyciągnęły na swe leże....

W ulicach coraz większe roły się tłumy, wszystko co wczoraj jeszcze kryło się lękając prześladowania, wybiegało teraz pewne nietylko bezkarności, ale opieki. Żywiły te krajowe, co się tulą po kątach nieśmiejąc naienne światło pokazać, rachując na łatwe zdobycze w mętnej wodzie, na zemstę niepocziwą, na grabież zdradziecką, na posługę ohydną, wybiegły wszystkie jak męty w potrząśniętym naczyniu. I widać było ludzi i twarze, jakie rzadko świat razem zebrane ogląda; wszystkie wyrzutki społeczne, chciwe swojego dnia, a raczej swój chwili zwycięstwa krótkotrwałego. Przeleknąć się było można tych oczu krwawych, tych ust spalonych, tych łachmanów brudnych, tych rąk grabieżliwych i drżących... które się już wyciągały po łupy...

— Idą, idą!—rozchodził się szmer w tłumie.

A każdy nicpoń, który długie lata chował złość w sercu, żywił zemstę, uśmiechał się tym Prusakom, któremi się miał posłużyć.

— Idą, idą!—gorączkowo, urywano powtarzała ciżba: —idą! idą!!

Zdala głuchy grzmot jazdy i brzęk broni dochodził, ale nic widać nie było.

Na zamku dwór i królowa trwali na modlitwie przed obrazem; zapalone świece... na klęczkach wszyscy... cisza... z ulicy czasem jakby wybuch stugębnego stłumionego krzyku słyszał było:— idą, idą!

Z pałacu na Taschenbergu, jeden z katolickich kapelanów dworu, przesuwał się mimo protestanckiego kościoła Św. Zofii na zamek. W progu zboru stało duchowieństwo protestanckie. Pastor z szyderskim uśmiechem, podjął biret z głowy i kłaniając się zawołał:

— Adieu! bywajcie zdrowi! panowanie wasze skończone!!

Mnóstwo scen podobnych odegrywało się wszędzie; to téż duchowieństwo katolickie w tym dniu zamknęło się na zamku prawie całe, a ci co mieli nieprzyjaciół i lękali się zemsty, szukali przytułku...

Ze dworu Brühl'a, z tych kilkuset osób co go otaczały, jedni z nim pociągnęli do Pirny, drudzy się rozpierzchnęli przed burzą; garść niemych i przybitych na straży pałacu została.

Do ostatniej godziny nie chciał minister wierzyć zajęciu Drezna; przykład Karola XII ubezpieczał go nareszcie w obec głośnych odgrózek Fryderyka: trzeba się było poddać oczywistości. Zapóźno uczynił to minister i ze swych skarbów mało co już mógł ocalić. Wszystko prawie rzucał na pastwę mściwemu nieprzyjacielowi.

Król ze starszym synem wyjechał, królowa oświadczyła że zostanie, że się nie ruszy krokiem, że zniesie wszystko co jęj losy gotują, ale nie ustąpi. Mówiąc o Fryderyku zapalała się, czy jęj płonęły, ręce drżały, miotła się i modlitwa nawet ukołysać wzruszenia jęj nie mogła.

Oczekiwanie straszniejsze nad wszystko, nużące trwało długo.

Prusacy otaczający już Drezno ciągnęli powoli, jakby te męczarnie oczekiwania przedłużyć chcieli.

Naostatek w ulicach rozległy się krzyki i tentent, a na zamku królowa podniosła się z przed obrazu, przeżegnała i stanęła jak skamieniała, bezmowna, blada.

Przybliżył się O. Guarini.

— Najjaśniejsza pani — rzekł — módlmy się do Ducha Św. aby nas natchnął mężstwem i stałością. Są to dary Jego. Dni próby długo trwać nie mogą...

Baron von Spörken wszedł do sali blady.

Królowa nań spojrzała.

— Mów — rzekła.

— Dwanaście batalionów piechoty i trzy szwadrony jazdy zajmują miasto — rzekł stłumionym głosem. — W tęg chwili pierwsze posterunki gwardyi rozbrajają. Opór był niepodobieństwem.

— Niech się stanie wola Boża.

— Szwajcarami obsadzają zamek...

Królowa nie odpowiedziała nic.

— A Fryderyk? — zapytała po chwili.

— Nie ma go, przybędzie jutro; wolał na spełnione przyjechać wstydząc się tego co czyni.

W tój chwili popłoch z ulicy przenosić się zaczął do zamku.

Obszerne dziedzińce jego wypełniły się tymi, którzy pod skrzydłem królowej szukali opieki. Na tym podwórzu jak salon filizami kamiennymi wykładanym, gdzie się niegdyś odbywały świetne karuzele i maskarady za Augusta Mocnego, kędy się paliły ognie brylantowe i brzmiały muzyki; cisza przestraszona, ludzie z węzłkami mienia o którego się całość obawiali, cisnęli się teraz, szukając w cieniu, w załomach niedojrzanego schronienia.

Królowa wyglądała oknem i łzy płynęły jęj po twarzy, choć rysy zdawały się nie poruszone, i jakby od bólu stężałe.

Co chwila ktoś wpadł z wieścią....

— Zajmują magazyny wojskowe — wołał jeden....

— Wypróżniają arsenał... rozbierają broń....

— Zabierają kassy....

— Pieczętują dykasterya i archiwa.

Królowa zwróciła się żywo.

Archiwum sekretne, archiwum o którego pochwycenie chodziło najwięcej Fryderykowi, aby nim wojnę usprawiedliwić, znajdowało się na zamku, klucz jego miała królowa.

Baron Spörken wszedł, zabawił chwilę i stanął nieśmiejąc się odezwać.

— Archiwum?—zapytała królowa.

— Pieczętują je — rzekł generał.

W pierwszej chwili rzuciła się królowa, jakby chciała biedz na obronę jego, ale się powstrzymała.

— Baronie — rzekła — jeśli by gwałtu użyć chciano, muszę i powinnam o tém wiedzieć; pójdę sama: stanę... Niech się poważą podnieść rękę na mnie, niech mnie zabiją.

Hrabina Brühl, która towarzyszyła królowej, zzymnęła się i zawołała:

— Nie będą śmić!

— N. Pani — odparł Spörken — na wszystko przygotowanym być potrzeba, dla króla pruskiego nie ma świętego nic: nic nie poszanuje....

— Nie będzie śmiał — zawołała Brühlowa — bo gdy na-
dejdzie chwila zemsty, wie że jest nieuchronną; naówczas nie będzie tész dla niego litości ani poszanowania.

Wszyscy milczeli. Baronówna Nostitz, piękna Pepita stała u okna z twarzą w ogniu i piersią wzdętą; zdawała się jedną z tych bohatererek, którym tylko oręza brak w dłoni, aby się z nim rzuciły przeciw tłumowi. Coś rycerskiego pałało w jój oczach.

Nie śmiała mówić co myślała.

W główce jój grało. Zapusty trwały długo, pokuta i post przychodzi! Szaleliśmy nad przepaścią i otwarła się przed nami. Któż nas ocali gdy my się sami nie umiemy bronić, gdyśmy dobrowolnie do kajdan wyciągnęli ręce. A! gdybym była mężczyzną!! gdybym była mężczyzną! Sparła się na oknie i bezmyślne wejście w dziedziniec rzuciła. Nagle rumieniec jój bledości ustąpił, głowa się pochyliła, brwi zmarszczyły; drgnęła..... Przypatrywała się bacznie, coraz baczniej.

Podwórce zajmowali w téj chwili Szwajcarowie i Prusacy. Pomiedzy niemi kręciło się kilku po cywilnemu ubranych. Zdawało się jój, że oczy ją mylą: poznała w jednym z tych kawalera de Simonis. Szedł obok tłustego Béguélina, który rozmawiał ze swymi ziolkami.

Myśl jakaś dziwna błyskawicą przebiegła znać po jój główce, zadumała się ponuro, ruszyła, wróciła na miejsce i poruszyła raz jeszcze....

Nikt nie zważał na nią.

Drzwi były blisko. Posłuszna téj myśli, której się oprzeć nie mogła, piękna Pepita wybiegła. Wschody stały puste, nikt z dworu i otoczenia królowej nie ważył się wyjść z jój pokojów, ona jedna miała to męstwo. Z wierzchołka wschodów spozjrzała w dół. Szwajcarowie obsadzali warty... nieopodal stał Simonis.

Schyliła się Pepita, oczy jój zaiskrzyły się.

— Kawalerze de Simonis—zawołała głosem drżącym.

Max podniósł głowę i postrzegłszy piękne dziewczę, drgnął rękę podnosząc do kapelusza.

— Tu, do mnie—odezwała się—dwa słowa.

Zawahał się Szwajcar, ale głos i twarz dziewczęcia tak były nakazujące, taką miały siłę i potęgę, że się oprzeć nie mógł. Puścił się więc na wschody, nastrojając twarz pół zdziwioną, napół smutną. Stanąwszy przed Pepitą, oprócz jakie-

goś poruszenia ust, które głosu nie wydały, nie umiał się zebrać na nic.

Dziewczę w całym blasku piękności swój, którą gniew czynił jeszcze dziwniejszą, majestatyczniejszą może, przybliżyło się do niego.

— Panie de Simonis—zawołała porywczo—moja stryjenka ocaliła was, gdyście byli w niebezpieczeństwie, jój winniście życie; ja wam przyrzekam wdzięczność królowej, moją, skarby, złoto, w przyszłości dostojęństwa, wszystko czego zażądacie, ale musicie przejść w służbę *moją*.

Simonis się zmieszał.

— Tak jest, *moją!* tak! Pochwyciła go za rękę oburącz oglądając się dokoła, chociaż wschody i korytarze były puste. — Jam wyczytała z waszych oczów, że serce macie dobre, choć zbłąkane myśli, choć niepewne chęci; ja was od was samych chcę ocalić, ja wam wskażę szlachetną drogę, służbę nieszczęściu, nie niewolę siły. Jesteście wolni kawalerze de Simonis, możecież lepszy uczynić użytek ze swobody waszjej nad poświęcenie jój sprawie zacnej przeciw uciskowi najniegodniejszemu.

To mówiąc cisnęło jego dłonie, śmiałe dziewczę; paliło go oczyma: nagliło.

— Te ręce które cisną dłoń waszą—dodała—nigdy nie dotknęły męzkiej dłoni, nawet brata; te usta które was proszą, nigdy o nic nie prosiły nikogo, oprócz Boga.

Idzie mi o kraj mój, o królowę, dla nich chcę i muszę was zyskać. Rodzina moja majątna, własne mienie wam oddam a sama pójdę do klasztoru, uczynię was bogatym. Wszak nie pragnęliście niczego innego nad to przyjmując służbę prusaka. Panie de Simonis, odpowiedzi! na Boga! odpowiedzi....

Max milczał. Spadło to na niego tak, jak od wyjazdu z Berlina ciągle niespodziane nań gromadziły się niebezpieczeństwa i pokusy. Piękność Pepity, jój śmiałość, uczucie czyniły na nim wrażenie, któremu oprzeć się nie mógł. Radby był uciec, widząc przed sobą zawikłanie nowe, nowe groźby na przyszłość. Baronówna go nie puszczała.

— Pani—rzekł—daj mi się pani namyślić; ja nie wiem: ja nie mogę....

— Na to namysłu nie potrzeba—odparła Pepita—pan musisz mi służyć, a ja daję panu słowo uroczyste, jeśli chcesz stwierdzam je przysięgą (tu rumieniec na twarz jęj wytrysnął): poświęcenie wasze opłacę poświęceniem bez granic!

Słowa te nie przebrzmiały jeszcze, gdy Simonis oszalały schylił się do jęj rąk i gorąco je całując, zawołał:

— Rozkazuj pani!

Pepita odetchnęła, odstąpiła kilka kroków; po krótkim namysle odwagi jęj zabrakło.

— W tęg chwili—rzekła ciszej—mam jedno tylko: zachowaj pan dawne stosunki, nie zrywaj z nikim. Niech wszystko zostanie jak było. A dziś wieczór u stryjenki; rozumiesz mnie pan...

Simonis skinieniem tylko odpowiedział, baronówna znikła. Przez chwilę stał niemogąc oprzytomnić, zbierał myśli, niedowierzał rzeczywistości; sam siebie pytał, czy takie szczęście prawdą być może. Obok tego całe niebezpieczeństwo położenia na myśl mu przyszło. Zmieszany stał jeszcze, gdy u dołu ujrzał Beguélina, który szukać się go zdawał. Zbiegł więc żywo ze wschodów ku niemu.

— A cóż tam waćpan robił?

— Pannę znajomą zobaczyłem...

Szwajcar ruszył ramionami pogardliwie.

— W takięg chwili o panie myśleć, a to trzeba być takim młokosem jak waćpan. Chodźmy ztąd. Nie ma tu co robić. Sądziłem że Król J. M. dziś przybędzie, dlatego się stawił. Bądź cobądź, przykra rzecz patrzeć na to co się tu teraz dzieje.

I boczną bramą ku kaplicy wyprowadził Simonisa w ulicę, która i z tęg strony pełną była ciekawych tłumów. Przez most przeciągały wojska, wrzawa u wjazdu nań i ścisk był ogromny. Niekiedy szyderski śmiech zakrecił się w powietru i zmiłkł.

Ztąd widać już było strażę postawione przy pałacu Brühla.

— No, jutro zobaczymy tu piękne rzeczy—rzekł Beguélin—bo że mu król Jegomość nie daruje i że mu peruki przewietrzy, za to ręczę.

Rozśmiał się, ale wnet zwrot myśli ku sobie wywołał westchnienie i dodał pocichu:

— Połowy séra mojego nie sprzedałem, a co zostało...
kaput!

I ręką machnął.—Kto mógł przewidzieć że się to tak ry-
chło stanie...

Simonis tu go pożegnał. Przyszło mu na myśl, ażeby
pójść podziękować stariej baronowej i skierował się około pa-
łacu Brühla, ku Nowemu Rynkowi.

Tu ludu mniej było; przeciągały małe kupki, pogładając
w okna i jakby smakując tylko w myśli małego rabunku. Pa-
łac słynął ze swych skarbów. Ale strażę pruskie zajmowały
podwórza i wnijsia. Przechodząc tędy zdala, usłyszał Simo-
nis głos jakiś wyświstujący wesołą piosenkę. Było coś tak
niezwyczajnego w tój wesołości wśród powszechnego smutku
i w takiój chwili trwogi, że Simonis szukać zaczął winowajcy
oczyma, gdy głos ten zbliżył się ku niemu i ogromna silna dłoń
uderzyła go po ramieniu. Obejrzał się: pan Ksawery Masłow-
ski siedział na baryerze przed pałacem.

— A! niechże cię Szwajcarze przeklęty—zawołał—oba-
wiałem się, czyś karku nie skręcił, lub żeby cię nie zapakowali
gdzie do komórki. Stój, gadaj co się z tobą działo...

Simonis zatrzymał się, witając go i dziękując.

— Widzę żeś cały i śmiało teraz używasz świeżego po-
wietrza—dodał Masłowski—bardzo się cieszę. Ale mi się na-
leży za podarte prześcieradła, żebym wiedział co się z tobą sta-
ło. Mów!

Simonis przysiadł się przy nim na baryerze.

— Nie chciałem ani was ani siebie wystawiać na niebez-
pieczeństwo. Blumli się odgrażał—rzekł—wolałem uchodźić.

— Dokąd?—zapytał Masłowski.

— W chwili, gdym się z okna spuścił poszarpawszy ręce,
patrz, że jeszcze znać—mówił dalej —w tój chwili wcalem nie-
wiedział co zrobić z sobą. Miałem adres dany mi do Serba
mieszkającego nad Elbą, ale w przeznaczeniu znać mojm było,
żebym się do niego nie mógł dostać.

— E!—więc gdzieżeście ten czas przesiedzieli.

Simonis się zarumienił mocno.

— Wyszędłszy od was przez ogród...

— I przez mur—poprawił Masłowski.

— Dostałem się na dziedziniec domu, przez którego bramę otwartą trzeba było przejść, aby się wydobyć na ulicę; zdawało mi się że trzeba to spełnić żwawo, aby mnie jak złodzieja nie pochwycono. Puściłem się więc kłusem przez bramę, gdy z drugiej strony wchodziła do niej właśnie kobieta, którą, w pe-dzie niemożąc się zatrzymać, potrąciłem. Krzyknęła mocno ze strachu. Poznałem w niej pannę Doris, moją towarzyszkę podróży z Berlina.

— Masz waćpan widoczne szczęście do starych bab— przerwał Masłowski—bo oto druga; wszak Brühlowa chciała waćpana wziąć za sekretarza. Widoczna to wskazówka Opatrzności, abyś się podżytych pilnował, bo co przeznaczone, to nie minie. Już teraz odgaduję, że Doris, której los rzucił cię w objęcia, musiała ocalić...

— Coś podobnego—rzekł Simonis—nie puściła mnie, pókim się jój nie wytłumaczył, czegom tak uciekał. Piąte przez dziesiąte wykłamałem się nie dobrze, bo coś już była o mnie i o mojej ucieczce od Miny zasłyszała. Uparła się być moją zbawczynią i przez te dni uchodziłem za jój brata.

— No, to jeszcze nic—odparł Masłowski—gorzejby było, żebyś musiał za męża uchodzić. A teraz co myślisz?

— Nie wiem jeszcze; a wy?—zapytał Simonis.

— Ja? do obozu pod Pirnę hrabia Brühl brać mnie z sobą nie życzył, zostałem tutaj. Wcale się nie gniewam, to mi wszystko jedno, a mam satysfakcją patrzeć jak się te szołdry jeść będą. Nasza ekscellencya, lękam się, żeby nie rychło chyba dostała pozwolenie powrotu do pałacu. Prusacy zabierają się tu gospodarować na dobre. Dalipan zabawne... Spojrzał obojętnie na Simonisa, i swą piosenkę poświstywać zaczął, a potem odezwał się:

— Masz już waćpan mieszkanie? bo spodziewam się, że u Doris nie zostaniesz dłużej?

— Będę je miał dzisiaj.

— Na przypadek potrzeby, zawsze moje na usługi wasze. Fuchsowa bardzo dobra kobieta i drugiej pościeli dostarczy.

Z tém się pożegnali. Simonis nic nie mówiąc, poszedł do kamienicy baronowej. Zdala już widać było okna drugiego piętra pootwierane i staruszkę w czepcu, przypatrującą się jak

z głównego odwachu przed jej oknami, pruscy żołnierze ścigali resztki nieszczęśliwej gwardyi saskiej; tłum ludu i tu stojący opodal, w milczeniu się temu przyglądał.

Jeszcze nie miał czasu dostać się na drugie pięto, gdy stara Gertruda, zapewne z rozkazu swój pani, otworzyła mu drzwi, witając go ręką i uśmiechem.

— Pańskie zawiniątko na strychu w całości: nic nie zginie...

W progu stała baronowa z twarzą promieniejącą. Simonis w rękę ją pocałował.

— Cieszę się, że waćpana widzę całym i zdrowym, teraz już jesteście zupełnie bezpieczni. Ale mi mój Serb kazał odpowiedzieć, gdym się o was pytać posyłała, że tam u niego aniście byli. Lękałam się bardzo....

Kawaler wytłumaczył się, iż znalazł przytułek u przyjaciela, nic nie mówiąc o przyjaciółce. Staruszka go posadziła przy sobie.

— Jutro przyjeżdża nasz król... Choć to faworyt mojej pocziwój hrabiny de Camas, choć sprzyjam mu, choć go od tych Sasów wolę, co tylko hulać i swawolić umieli, a lud ze skóry drzeć; choć się ucieszę, że im da naukę: ale mi królowej żal trochę i tego niedołęgi króla, który może i teraz jeszcze nie wie co z nim robią. A Brühla, żałuję tylko, że nie pochwycił go Fryderyk... ha! ha!

Staruszka pokręciła głową.

— Prusacy zajęli miasto, nie było go komu bronić; choć do baletu nigdy nie brakło ludzi!

Gderząc tak przez chwilę pani Nostitz, przypomniała sobie, że Simonis nie miał pewnie mieszkania.

— Zajmijże swój pokój na trzecim piętrze i niech ci Gertruda da klucze, a wieczorem przyjdiesz do mnie.

Zaproszenie było bardzo na rękę: myślał bowiem, jak spełnić rozkaz pięknej Pepity, której obraz miał ciągle na myśli. Do wieczora było wprawdzie daleko, Simonis jednak był tak zmęczony i tak się potrzebował namyśleć, co dalej pocznie, że cały ten czas, porządkując w mieszkaniu i leżąc wyciągnięty, przebył, niepostrzegłszy jak przebiegł. Gertruda zastukała do drzwi.

Trochę poprawiwszy stroju, zamysłony Max zszedł do baronowej. Pepity wzrok powitał go w progę. Stała czarno ubrana i wejrzeniem dała mu znać, ażeby się nie wygadał przed staruszką. Przywitała go tak, jakby się wcale dnia tego nie widzieli. Baronowa oszczędzając synowicę, drażliwej nie wprowadzała rozmowy: pytała tylko o królowę.

— Wiem—odezwała się Pepita—że nasza pani przyjaciół nie ma, że jój charakter nigdy się nie dozwoił przypodobywać ludziom i szukać jój względów, ale dziś, dziś któż jój nie pożaluje! W tém wszystkiém nie ma jój winy najmniejszej, a dla niej, nad nią ciąży najstraszniejsza pokuta! Modli się i płacze!

— I gniewa—dodała baronowa.

— Któżby jój tego nie przebaczył?—zawołała Pepita—córka cesarska niewolnicą brandeburskiego margrabi, królowa dwóch państw, na łasce tego żołnierza.

Stara baronowa westchnęła.

— Tak—rzekła smutnie—gdy się wielkie dzieło sprawiedliwości dokonywa i niewinni porwani są burzą: gdy dęby padają, gniotą kwiaty, co kwitły pod nimi.

— Jestże to dzieło sprawiedliwości?—zawołało dziewczę.

— Tak—odparła staruszka—patrzyły na to oczy moje, gdy szalał August Mocny, nie szanując ani rodziny, ani wstydu, ani ludzkich łez; gdy mu się bóstwo jakieś śniło i Jowiszowe miłostki. Zostawił po sobie niedołęznego syna, a wychował dlań opiekunów w Brühlach. Spełnia się na dziecku, na co ojciec zasłużył.

— Ale kochana stryjenko—poczęła gorąco Pepita—to tylko próba, to chwila i przesilenie. Pan nasz ma królestwo drugie, w którym znajdzie schronienie; pan nasz ma sprzymierzeńców potężnych i ukarze to zuchwałstwo. To nie kara Boża, to próba: my z nią wyjdziemy zwycięzko!

Spójrzała na Simonisa, który milczał pozerając ją oczyma: czekał on na przyrzeczoną mu rozmowę; nie jego rzeczą było myśleć o tém gdzie i jak ona odbyć się może. Pepita miała dosyć odwagi i przebiegłości by nastęrczyć sposobność. Wcale też po niej nie widać było obawy, ani wahania. Zdawała się być swego pewną.

W chwili gdy baronowa poszła do drugiego pokoju otulić swego Fidela do snu w jego koszyku, Pepita zbliżyła się żywo do Simonisa.

— Przed dziewiątą pożegnaj pan stryjenkę, zejdź na dół i czekaj na mnie przy mojej *porte-chaise*.

Simonis skłonił głowę, baronówna odeszła od niego prędko.

O naznaczonej godzinie, choć staruszka wstrzymać go usiłowała, Simonis wyszedł na stanowisko. Lektyka już czekała przed kamienicą.

Wkrótce potem zbiegła Pepita i wsiadła do niej, rozkazując ludziom iść powoli ku zamkowi. Max towarzyszył jej, stanowiący przy oknie, które było spuszczone.

— Panie de Simonis—zaczęła Pepita—nie wymagałam od was przysięgi, choć sama mu ją złożyłam. Nie zacięży mi ofiara żadna, bylem ocaliła moją królowę, mój kraj. Nieprzyjaciela który nas, urągając się wszelkiemu prawu zagarnął bezbronych, godzi się odpierać wszelkimi środkami. Nie mamy żołnierzy, my kobiety, chytrnością, podstępem, orężem jaki nam Bóg dał, opierać się i walczyć będziemy. Waćpan jesteś moim, prawda? jesteś moim? ja na niego rachować mogę?

— Pani—zawołał Simonis—dosyć było twojego słowa ażeby Szawła Pawłem uczynić. Pani wiesz co możesz: któżby ci się oparł?

Pepita się uśmiechnęła smutnie.

— Niestety!—rzekła—jakżeż to okropne; pan mnie nie znasz, tylko z tej odrobiny nędznego blasku jaki mi młodość nadaje. Pan nie wiesz, czyś aniołowi dał duszę, czyś się szatanowi zaprzedał! Mój Boże, dlaczegoż ja w panu zamiast tego zaślepienia we mnie, nie mogę natchnąć szlachetniejszego uczucia, litości dla uciśnionych, miłosierdzia dla tego nieszczęścia, dla tej królewskiej niedoli.

— Pani możesz mi natchnąć wszystko, bo jej słowa mają potęgę.

— Dość; dość—przerwała Pepita—muszę tej potęgi używać, bo innej nie mam siły; ale użyję jej, aby was podnieść, podźwignąć! Panie Simonis, wyście nic nie winni, ja wiem; wyście wzrosli w tych przekonaniach, że możecie, że powinniście zaprzedać się pierwszemu lepszemu dla chleba i dla przyszłości.

Niestety, wasi ziomkowie służą tak po całym świecie: biędni! To było we krwi u was, ale wam Bóg dał, spodziewam się duszę szlachetną, którą rozbudzić tylko potrzeba, aby uczuła, iż człowiek nie jednym chlebem żyje, ale sumieniem i cnotą.

Podąła mu rękę przez okno. Simonis ją pocałował. Zawstydzony był, milczący.

— Chciałabym was szeroką, jawną, jasną poprowadzić drogą; niestety, nie czas. Nieprzyjaciel—mówiła dalej—wpeździł nas w te wąwozy ciemne, w których się bronić musimy. Jesteś pan i zostaniesz w obozie nieprzyjaciela, ale dla nas, abys nas ostrzegał, abys działał. Musisz moją sprawę posłubić dla mnie.

— Rozporządzaj pani i bądź pewną że będę jej wiernym.

— Będę mówić obrzydliwym językiem—odezwała się Pepita—ale raz muszę i to powiedzieć: nie straciecie na poświęceniu się waszém. Fryderyk głodem morzy swoje sługi, my przyjaciół obsypujemy złotem, choćbyśmy sami nędzę cierpieć mieli. Tam nie dosłuzylbyś nic, tu spodziewać się możesz wszystkiego.

— Dosyć mi będzie—gdy pani...—rzekł Simonis.

Pepita nakazała mu milczenie.

— Na te oświadczenia zawczasie—rzekła—czekaj pan, aż mnie poznasz. Jestem tyranem...

Wtém przerwała nagle.

— Jutro przybywa król! jutro, wiem pewnie, odegra się scena z królową naszą. Nie wiem jak się ona skończy, nie wiem jakie będą plany nadal. Poznaj się pan z generałem von Spörken: on nam jest oddany cały.

— Nie mogę go szukać—rzekł Simonis—ani się jawnie zbliżyć do niego.

— Tak, ale możesz pan być zakochanym we mnie—odparła Pepita—kompromituj mnie jak chcesz. Dla mnie możesz przyjść do zamku, a znajdziesz barona. O tém nikt w świecie wiedzieć nie będzie.

Mówili jeszcze chwilę, gdy Simonisowi Masłowski na myśl przyszedł z zazdrością swą i uwielbieniem dla pięknej Pepity: rozśmiał się. Na zapytanie baronówny, opowiedział jej o Polaku, malując jego charakter i dziwactwo.

— Gdyby się na takiego wartogłowa spuścić można— zawołała Pepita—mógłbyś go pan użyć dla nas.

— Nie sędzę — rzekł Simonis — dla niego ta tragedia jest komedią tylko, której się obojętnie zdała przypatruje i czyni sobie z niej zabawkę.

Pepita zamyśliła się trochę.

— Wszelkięj broni używać trzeba — rzekła — któż wie!

Lektyka zbliżała się do zamku, u którego bramy stali szwajcarowie. Straż przyszła zajrzeć, a Simonis odezwał się do swoich ziomków ażeby przepuścili porte-chaise, co téz natchmiast spełniono.

Pepita podała mu rękę.

— Nim się umówimy o inne miejsce.... u stryjenki wieczorem. Jeśli będę potrzebowała was, u Gertrudy zostawię książkę; w książce między kartami wklejoną będzie karteczka. Baczność i wierność....

Raz jeszcze pochyliła się ku niemu:

— Masz pan pieniądze?—spytała.

Simonisowi przykro się zrobiło.

— A! pani—rzekł szybko — starczy mi ich na długo: wcale nie potrzebuję.

Lektyka znikła w ciemnych podwórcach zamkowych.

II.

Młodość tylko szczęśliwa i starość zobojętniała, są tak obdarzone, że wśród rozgorączkowania powszechnego, wśród kłębki i niepokoju, zachowują: pierwsza lekkomyślność swą, druga odętwienie. Nie było może w całym Dreźnie drugiego człowieka, któregooby mniej obchodził gwałtowny ten wywrot i niespodziana zmiana, jak pana Ksawerego Masłowskiego. Śmiał się i powtarzał: „niech się niemcy tłuką, a mnie to co obchodzi? Zawsze ich trochę mniej będzie!” Lamentującej pani Fuchsowej śmiał się w oczy i ramionami ruszał, co ją zdumiało i rozgniewało prawie. Zobaczywszy Simonisa na chwilę się nim zajął, lecz gdy odszedł, na myśl mu przyszła piękna baronówna. Był to jedyny wyjątek w całym tym kraju, dla Ma-

słowskiego nie obojętny. Głyby, broń Boże, Polką była, śmiertelniebym się w niej zakochał, ale ojciec człowiek słowny—nie mam ochoty leżeć na kobiercu. Korciło go to jednak, że Szwajcar znowu pewnie do staréj baronowéj się wniesie i koperczaki będzie stroić.

Trzeba sumienia niemić, żeby na to pozwolić—mówił w duchu, siedząc na baryerze przed pałacem Brühlowskim i przypatrując się piechocie pruskiéj, która po marszu nie osobiwie wyglądała—Gdybym przynajmniej mógł mu przeszkodzić!

Dla pana Ksawerego dosyć było pomyśleć, aby się wziąć do roboty.

Taki kuglarz, co z sumieniem tu przyjechał jak drugi z małpami na pokaz, żeby taką śliczną pannę bałamucić: a niedoczekanie jego Trzeba się o tém bliżej przekonać.

Jakoż, *dictum, factum*, pobiegł natychmiast, kryjąc się pod kamienicami za Simonisem. Zobaczył, jak wszedł do domu baronowéj, a że dworska lektyka, która właśnie zaniosła baronównę Pepitę, odchodziła, przyczepił się do tragarzy, ażeby ich rozpytać.

Będąc na dworze Brühlowskim, Masłowski codzień prawie i to po kilkakroć biegał na zamek, znał całą służbę i nie było człowieka, z którymby w dobrych nie był stosunkach. Lubiono go za jego wesołość, a potrosze i za pieniądze, którymi rzucał chętnie; łatwo mu więc było zaczepić znajomych tragarzy.

— Słuchaj Hans—rzekł do jednego—kogożeście nosili do staréj baronowéj? przysięgnę, że pannę frejlinę Pepitę.

— Zgadłeś pan—odparł Hans—a jużci wolimy ją nosić, niż jutro może tego króla, co nam tu takiego piwa nawarzył.

— Ale jego nosić nie będziecie—zawołał Masłowski—ten albo konno albo pieszo, nigdy inaczej i nigdy bez kija. Nawet konia gdy chce popędzić, wali go laską między uszy ¹⁾ a tak samo i generałów. Dostałoby się i waszmościom.

Tragarze zamilkli. Niebezpiecznie było o tém mówić, mając już Prusaków w mieście.

— He! Hans, miałbym jeszcze się o co popytać—dodał Masłowski.

1) Historyczne.

— A co?—odwracając się odezwał tragarz—byle nie o tego króla...

— Nie. Czy panna baronówna kazała wam przyjść po siebie?

— Rozumie się—odpowiedzieli oba razem— o dziewiątej.

— Hans! mógłbyś spocząć i dostać dukata!

— Jakim sposobem?—spytał tragarz.

— Bardzo prostym—a mówił chłodno napozór Masłowski—któż z was nie wie, że my Polacy jesteśmy szalone pałki. Czasem się nam zachciewa, niewiedzieć czego. Pewnieście słyszeli, jak mój jeden kolega najął sobie niemca i konno na nim jeździł po rynku. No to cóżby dziwnego było, gdybym ja zechciał spróbować ponosić lektykę: wezmę suknię waszą, Hans, i pójdę z lektyką wieczorem po pannę.

Hans oczy wytrzeszczył.

— Oho! oho!—zawołał kręcąc głową—czego to się waści zachciewa! Chcesz z tyłu pewnie iść i pannie coś szepać do ucha. Baronówna poskarży przed królową, królowa powie marszałkowi, marszałek da wiedzieć starszemu, a starszy kijem wytrzepie.

— Daję na to słowo że tego nie będzie—rzekł Masłowski.

— I to za dukata?—dodał tragarz.

— Dam dwa.

Hans zamilkł, bo drugi już odwrócił głowę i chciał targu dobić.

— Zgoda—rzekł pierwszy.

— A tobie żebyś milczał, dukata także.

Umowa na tych warunkach łatwo została zawartą: Masłowski niewymownie był z niej rad.

Stało się tedy, że gdy wieczorem Simonis odebrał rozkaz iść przy *porte-chaise* i prowadził rozmowę z piękną Pepitą po francuzku, dosyć głośno, bo się oboje nie lękali być zrozumianymi przez tragarzy, pan Ksawery wszystko wysłuchał.

Nie jeden raz zadrgała lektyka, bo się chłopak zżymnął i ochota go brała okrutna przeszkodzić, odepchnąć, zdusić, szczęśliwego rywala. Niestety! nie mógł się tego dopuścić. Wysłuchał nawet, jak Simonis mówił o nim, jak go Pepita war-

togłowem nazwała i t. d. Byłby może w pierwszym impecie polecał za kawalerem de Simonis i popełnił niedorzeczność jaką, ale suknie tragarza i obietnica dana Hansowi, zmusiły go odejść spokojnie od ganku do izby, w której swoje odzienie zostawił; miał więc czas ochłonąć i namyślić się.

Żał mu było szlachetnego dziewczęcia, które w rozpaczycy chcąc ratować kraj i królewską rodzinę, rzuciło się w grę tak niebezpieczną. To co słyszał z rozmowy, jakkolwiek trzpiotem był, trafiło mu do serca. Ten najemnik tego nie zrozumie!—mówił w duchu—ale że ma szczęście, to niewątpliwa. Taka śliczna panna!

Gdy rozplaciwszy się i ubrawszy, wyszedł Masłowski z izby, zamiast odrazu na ulicę, skierował się ku podwórzom zamkowym. U bram stała straż Szwajcarów, która się nie mieszała wcale do tego, kto wchodził i wychodził; miała tylko polecenie powozów i pak żadnych, oraz tłómków z zamku nie wypuszczać. Na rozległych a teraz ciemnych podwórzach, dużo jeszcze było ludzi lękających się Prusaków, rabunku i nocnych nieprzyjaciela ekscesów.

Generałem komendantem z ramienia pruskiego mianowany był Wylich; wprawdzie objeżdżał on miasto i mówił o utrzymaniu porządku, lecz na to nie bardzo się spuszczać było można. Ze strony saskiej, minister wyjeżdżając, zostawił umocowanych do zarządu krajem, stolicą i interesami: hrabiego Loss, Stamera i Globiga, trzech wicekrólów; ale tych władza była tak jak żadna: słucał ich kto chciał, kto nie chciał nie słucał. Było to więc jakieś bezkrólewie, którego się obawiać każdy miał prawo. Na zamek zbiegli się najwierniejsi słudzy i poszlakowani o jawną niechęć ku Prusakom. Rodzaj obozu znajdował się w dziedzińcu. Wiele ubogich przeniosło się tu za wiedzą i pozwoleniem królowej, z małym mieniem, z dziećmi; ze wszystkiem, co unieść mogli. Wełniane kołdry porozkładano na ziemi, w latarkach paliły się świeczki, karmiono niemowlęta, głodni posilali się chlebem. Starzy leżeli już i spali obojętni na to co ich spotka, inni gwarzyli pocichu. Widok dziedzińca wielkiego był zaprawdę osobliwy, jak czasu oblężenia lub wojny. Tłum ten w ciemności, w mroku mruczał i poruszał się, nieśmiejąc głośniej odzywać, aby go niewypę-

dzono. Gdzieniedzie promyk latarki rozświecał twarze powiędłe, złknięone, kupkę łachmanów, stos worków, a światło słabe z okien zamkowych, nieco oddalonych, niedając rozpoznać téj masy ruchawej, fantastycznie tylko gdzieniedzie coś z jój głębi wydobywało. Pomiędzy rodzinami, które się tu schroniły, było kilka z tych, co niedawno pod opieką królowej wiare chrześcijańską katolicką przyjęły i z Mojżeszowego wyznania do niej przeszły. Ci neofici lękali się swoich współbraci i ich zemsty.

Królowej z wieczora dano znać o tém, a że wielce zawsze była troskliwą o los nawróconych, właśnie gdy panna Nostitz od baronowej przybyła na zamek, poleciła swojej służbie, by jedzenie i okrycie wyniesiono dla jój protegowanych.

Pepita zwykle do podobnych czynności bywała delegowaną, dla śmiałości swój i znajomości języków. Zawołano ją i teraz nim z siebie zrzuciła nakrycie, dano jój za towarzyszkę pannę hrabiankę Frohsdorf i jednego szambelana, i w chwili, gdy Masłowski wchodził na to podwórze, ujrzał zdala ze wschodów spuszczone się poselstwo dobroczynne, przed którym nieśli pochodnie dwaj pacholki dworscy.

Z gromady ludzi instynktowo podniosło się i przybiegło, co było biedniejszego. W koszach przygotowany chleb i inne zapasy żywności rozdawać zaczęto. Korzystając z tego, Masłowski się przysunął. Znano go dobrze, wmieszał się więc niepostrzeżony między dworskich i ze śmiałością sobie właściwą, potrafił docisnąć się do Pepity.

Zdziwiła się zobaczywszy go baronówna.

— A waćpan tu co robisz?—zapytała.

— Właśnie nie mam nic do roboty i to mnie trapi—odparł Masłowski—jestem prostym spektatorem. Hrabia Brühl z sobą mnie wziąć nie chciał, w pałacu pustki, więc się kręcę po mieście.

Pepita popatrzyła nań jakoś badająco; Masłowski śmiało téż do oczów jój pięknych zaglądał.

— Z tego próżnowania—dodał ciszéj—przyszła mi aż fantazyja spróbować nosić lektykę i miałem to szczęście być jednym z tragarzy, którzy przed chwilą panią od stryjenki tu odstawili.

Zarumieniła się i wyprostowała sztywnie, hardo Pepita.

— I nie wahałeś się waćpan podsłuchiwać rozmowy?— odezwała się.

— Byłem zmuszony do tego—rzekł Masłowski—a cieszę się bardzo, iż się tak stało, bo mogę panią przestrzedz, że gra z takim jegomością jak Simonis i bardzo niebezpieczna i wątpię, by się na co przydała.

Niezmieszany Masłowski, mimo gniewnego spojrzenia baronówny mówił dalej.

— Rozumiem to bardzo, iż w podobnych razach nadzwyczajnych, tonący się brzytwy chwyta; ale brzytwa nikogo nie uratowała. Ludzie, co dwom służą, zdradzają obu.

— Waćpan mnie podsłuchałeś, to nie pięknie—odezwała się zmieszana panna—lecz ufam że mnie nie zdradzisz: toby było ohydne.

— Żaden Polak nigdy nie zdradził nikogo—rzekł Masłowski—robimy głupstw wiele, ale w zdrady się nie bawimy nigdy: na to jest dosyć innych, takich, jak Simonis, awanturników.

W tej chwili przyszło na myśl pannie Nostitz, że i o Masłowskim była mowa, zarumieniła się znowu i podchwyciła żywo:

— Toś waćpan słyssał co o nim mówiono?

— Ani słówka nie straciłem—kłaniając się rzekł pan Ksawery—pani mnie nazwałaś wartogłowem, jeśli się nie mylę.

Mimowolnie rozśmiała się baronówna.

— Możem na to zasłużył—zawołał Masłowski—ale gdyby mnie szczęście spotkało takie jak Simonisa, a! pani, głowę bym się postarał zamienić, ażeby go się stać godnym.

Wejrzenie zapłacało śmiałemu chłopcu.

— Nie pochwalasz pan pewnie, żem Szwajcara zobowiązała do służby królowej?—spytała.

— Nie ufam mu—krótco rzekł Masłowski.—Pani go chyba możesz innym, niż był uczynić.

— Rzec nie do poprawienia—szepnęła Pepita.

Masłowski spojrział ku niej i westchnął.

— Zazdroszczę mu!—rzekł—bardzo zazdroszczę. Pani mi żal, lecz kiedy mnie los do sekretu przypuścił, pozwól pani, abym się i ja przydał na co. Ja się obowiązuję pilnować go,

a jeśli spostrzegę najmniejszy krok podejrzany, no, to go za-
dławię.

Baronówna nieznacznie wyciągnęła rękę ku niemu, nie mó-
wiąc nic.

— Będę jego opiekunem—roześmiał się Ksawery—pani
mi zaufać możesz; nie żądam za to nic, oprócz uśmiechu i wej-
rzenia dobrego, bo gdy pani spojrzysz na mnie (tu się za piersi
pochwycił) cieplój mi w duszy!

To mówiąc zdjął kapelusz, skłonił się i nim panna Nostitz
odpowiedziała mu, zniknął w tłumie. Baronówna stała długo
ogłędając się, rozmyślając, trochę na siebie gniewając, plany
układając różne, aż gdy jadło rozdane zostało i tłum się roz-
chodzić zaczął, wróciła na pokoje.

Mało kto tój nocy zasnął w Dreźnie. Na zamku czuwano
do dnia: mieniała się służba, a w mieście mimo pruskich patro-
łów, włóczyli się tóż ludzie ciekawi i nie jedno okno do rana
było odemknięte. W wielu z nich widać było światło, bo przy
światle ludzie się bezpieczniejszymi czuli. Z brzaskiem dnia, cho-
roblive jakieś życie zaczęło się rozbudzać.

Na ratuszu zgromadzeni panowie radni miasta, spali na
krzesłach w perukach i paradnych strojach, nie śmiejąc, na wy-
padek wszelki, rozejść się do domów. Prusacy coraz czegoś
nowego się domagali. Dnia pierwszego zaraz zapowiedziano,
że miasto będzie mieć obowiązek dostarczania komissowego
chleba dla wojska, a raczej mąki, drzewa, ludzi i pieniędzy,
gdyż Prusacy woleli sami pieczywa pilnować, aby im tam cze-
go do niego nie namieszano. Nad Elbą kazano na łące dwa-
dzieścia kilka pieców budować.

Gdy dzień zaczynało i panowie rajcy i co było urzędni-
ków, którzy się spodziewali zostać przed króla powołanymi, go-
towali się wystąpić, bo wiedziano że Frytz wstawał rano i mógł
nocując niedaleko, co chwila ich zaskoczyć. Najmniejszy ten-
tent po bruku, wszystkich ciągnął do okien.

Na mieszkanie dla króla wyznaczono pałacyk hr. Moszyń-
skiej, który już od wczoraj był wyprzątnięty. Chciano go
czémś dla przypodobania się królowi przyozdobić, ale generał
kwatremistrz roześmiał się, ruszył ramionami i dużo z tego, co

było, powyrzucać jeszcze kazał.—Nam to niepotrzebne—zawołał—my żołnierze nie baby i J. K. Mość żołnierzem jest też.

Jeszcze przed przybyciem króla, od strony Pirny i obozu, gościniec i wszystkie komunikacye zostały odcięte i silnie obsadzone. Od téj chwili Brühl, król, dwór, niemogli już ani listu odebrać z Drezna, zostawał im Koenigstein na schronienie.

Gdy około dziesiątej rozległy się wołania: „król! król!” co żyło puściło się naprzeciw, ażeby go zobaczyć. Drezdeńscy oddawna nawykli do przepychu otaczającego majestat pański, stanęli osłupieli.

Ranek był chłodny.

Fryderyk jechał na Brühl, to jest na najgorszym swoim wierzchowym koniu, w starym muundurze, w butach zabłoconych, okryty płaszczem poszarpanym, z laską nieodstępną w ręku, przygarbiony nieco, z głową na jedno ramię zwieszoną. Z pod trójgraniastego zrudziałego kapelusza, którego pióra nie w najlepszym były stanie, widać było tę twarz posępną, oczy bystre i usta szyderskie, uśmiechające się bez wesela, na zimno. Pomimo, że wchodził jak zwycięzca, że mu się nic tu opierać nie śmiało, jechał raczej gniewny i zniecierpliwiony niż uradowany i tryumfujący. Widać było na czole troskę, w wejrzeniu niecierpliwość i niemal gniew. Spoglądał, jakby szukał tylko powodu by wybuchnąć. Za nim nieco staranniej poubierani dwaj adjutanci, kilku generałów i urzędników. Generał Wylich mianowany komendantem, który był na przedmieście wyjechał dla spotkania Fryderyka, w pewnym oddaleniu, tuż za królem jechał, jak y rozkazów wyglądał. O miasto, o drogę, nie potrzebował się rozpytywać król, bo je znał dobrze, bo nie pierwszy raz tu był gościem nieproszonym, a poraz pierwszy, przybył tu przed laty z ojcem i wywiózł ztąd pierwszą fantazyę dla Formery i coś nakształt pierwszej miłości, rychło straconej, dla Orzelskiej.

Fryderyk jechał powoli, stępem, czasem głowę podnosił, popatrzył gdzieś pogardliwie i znowu ją spuścił obojętnie; na żółtej twarzy jego wcale widać nie było, aby to zajęcie stolicy domu panującego daleko starszego od dynastyi, którą Fryderyk reprezentował, czyniło na nim jakie wrażenie. Wchodził tu widocznie jako żołnierz, nie jako król, a na urągowisko boleśne, włożył pod niebieski mundur ciemno-szafirową wstęgę

Orła białego, niby dla uczczenia króla polskiego, od którego ją miał. Gwiazda czasem się z pod płaszcza starego ukazywała. Nikt nie wiedział, dokąd król się ma udać, gdy stanąwszy na chwilę w rynku, gdzie cała gromada radców miasta w perukach, wyszła na jego spotkanie, zaledwie spojrzawszy na tych dostojnych panów, którym i głową nie kiwnął, konia skierował ku zamkowi.

Przodem już pobiegli dworscy, stojący na straży, dać znać królowej, która ubrana czarno, blada jak trup, z usty drżącemi, stała wśród dam swoich. Między niemi była i hrabina Brühlowa.

Głuche milczenie panowało w zamku. Króla poprzedził szmer tłumy, co go otaczał i gonił za nim. Szwajcarowie stojący na warcie krzyknęli: cały odwach rzucił się z bębniem dla oddania honorów królowi; głosy straży doszły aż do pokojów Józefiny. Fryderyk wjechał zamyślony w bramę i aż na drugim stanął dziedzińcu. Spojrzał na ten tłum, co się tu był wczoraj schronił, coś poszeptał adjutantowi i z konia zszedł.

— Wylich—zawołał—gdzie tajne archiwum?

— Tu w zamku, Najjaśniejszy Panie: trzy pokoje zajmuje; wczoraj je opieczętowano: straż stoi u drzwi i pod oknami.

— U kogo klucze?

— U królowej JMości.

— Idź waćpan odemnie, pokłoń się N. Pani i proś ją o klucze. Powiedz że ja ich żądam.

Generał Wylich wbiegł szybko na wschody, Fryderyk powoli spierając się na lasce, szedł także ku górze z flegmą i obojętnością, której w istocie nie miał, ale ją uznał za potrzebną. Dwór królowej cały był przy niej zgromadzony; etykieta surowsza niż kiedykolwiek, choć Józefina nigdy o niej nie zapomniała. Generał Wylich musiał się przez szambelana zameldować w ochmistrzyni i czekać. Dano mu postać umyślnie. Nareszcie szambelan przyszedł z oznajmieniem, że królowa JMé prosi go.

Trzy sale w których cały fraucymer i dwór był zgromadzony, przechodzić musiał stary żołnierz, nie zdając się tą okazałością wcale zmieszany. W gabinecie królowa siedziała w fotelu.

Generał skłonił się nisko.

— N. Pan król Fryderyk II, pan mój miłościwy, rozkazał mi złożyć uszanowanie W. Kr. Mości i prosić jęj o klucze od sekretnego archiwum.

Była chwila milczenia: królowa zerwała się z krzesła, chciała mówić; słów jęj brakło....

— Powiedz waćpan swojemu królowi, że jestem tu u siebie, w domu, w stolicy mojęj, na mojęm zamku; że nikt mi nie ma prawa rozkazywać: że kluczów mu nie dam. Wszedł gwałtem, niech gwałtem dokona, to co nim zaczął....

Wylich się zmieszał nieco, skłonił głowę.

— Spełniam rozkazy mojego króla — rzekł — odniosę mu odpowiedź; lecz lękam się ażebyśmy nie byli zmuszeni istotnie....

— Możecie być zmuszeni — zawołała królowa wyciągając rękę — która drżała widocznie jak jęj głos, możecie być zmuszeni nietylko drzwi łamać, ale mnie od nich odciągnąć, ale mnie królowęj, mnie córce cesarskięj, mnie.... (tu na chwilę znowu głosu jęj zabrakło) mnie odtrącić, mnie zabić!!

Powiedz mu to.

I królowa na fotel padła.

Wylich skłonił się i wyszedł powoli.

Fryderyk oparty na lasce czekał na niego u żelaznych drzwi sekretnego archiwum, oczyma dzikiemi rzucając dokoła. Zaledwie się ukazał, krzyknął:

— Masz klucze?

— Królowa ich wydać nie chce. Niedosyć na tém, każała mi powiedzieć, że sama osobą swą gotowa bronić nietykalności własności swojęj.

Fryderyk nie odpowiadając ani słowa, pogardliwie obrócił się ku drzwiom i z całej siły uderzył w żelazne ich blachy laską, którą trzymał w rękę.

— Wyłamać drzwi! — zawołał — ślusarzy... Wylich, natychmiast; ja mam tu jeszcze dosyć do czynienia. Czekać nie lubię: niech on o tém pamięta....

Gdy z jednęj strony świta króla rzuciła się natychmiast po rzemieślników i narzędzia potrzebne do odbicia archiwum, z drugięj w korytarzu stojący dworacy królowęj, natychmiast oznajmić jęj pobiegli o tém.

Fryderyk stał niecierpliwiać się widocznie. Znalezienie ludzi i rzemieślników łatwem nie było, żaden ślusarz drezdeński nie dałby był się wziąć do tego, nawet najstraszniejszą groźbą: uciekali i kryli się wszyscy.

Musiano więc gwałtem zabrać narzędzia, obcęgi, młoty, sztaby, a żołnierzy pruskich użyć do téj roboty. Zaledwie pierwsze uderzenie słysząc się dało, gdy w końcu korytarza ukazała się biegnąca królowa, w rozpuszczonych szatach, z rozpłomienionym wzrokiem, straszna gniewem, niema ze wściekłości. Na widok jęj wpadającej między żołnierzy, ludziom młoty wypadły z rąk, stanęli jak osłupieli. Józefa rzuciła się na żelazne dzwi, osłoniła je sobą, rozpostarła ręce, położyła się płacząc na nich.

Fryderyk który stał o kilka kroków, patrzył na to obojętnie chwilę; krew mu po twarzy przebiegła i znikła, wyciągnął laskę ku Wylichowi:

— Słyszysz—zawołał—dwóch grenadyerów niech weźmie królowę, waćpan jęj będziesz towarzyszył do jęj pokojów i postawisz straż przy nich.

Generał osłupiał i zawahał się.

— Słyszysz on!—krzyknął król podnosząc kij—słyszysz on: rozkaz spełnić natychmiast ¹⁾!

Gdy Wylich oniemiały i drżący zbliżył się ze dwoma żołnierzami i majorem Wangenheimem do królowej, krzyk się wyrwał z jęj ust okropny, bolesny, a drugim jęknął cały jęj dwór przerażony. Płacz, wołanie, przekleństwa, wrzawa stała się straszliwa. Królowa Józefina osunęła się ondlą, a dwaj żołnierze napół martwą ponieśli ku jęj pokojom. Za nią cisnęły się tłumem kobiety szlochając i ręce łamiąc.

Fryderyk stał blady i wcale nieporuszony tą sceną, drgała mu twarz szyderstwem, straszném zinnem, które przejmowało nawet tych co nań patrzeć codzień byli przywykli. Laskę podniósł:

— Łamać drzwi!!

Żołnierze wzięli się żywo do kruszenia zamków i zawias, jedni drugich starali się wyprzedzić i pospieszać, a w miarę

¹⁾ Ścisłe historyczne wszystko. Zobacz Vechse, i Chronik der K. S. Residenz, t. Dresden, Życie Fryderyka i t. p.

jak ta robota postępowała, Fryderyk się do drzwi przybliżał. Gdy ostatnia zapora pękła i brzęcząc na ziemię opadła, a żołnierz podważwszy drzwi otworzył je z uśmiechem, król pierwszy pospiesznie wszedł do archiwum.

Na środku pierwszej sklepionej izby, stały właśnie przygotowane do wywiezienia paki, zawierające dyplomatyczne depesze, których część Mentzel był wydał do Berlina. Król gorączkowo, tak gwałtownie dobijał się do tego archiwum, obiecując sobie w niem znaleźć, coby wojnę i postępowanie jego usprawiedliwiło ¹⁾. Wiedział przez zdrajcę Mentzla, że paki te do Polski uwięzić miano. Ostatniego dnia nie było na to czasu, a nazajutrz obóz w Pirnie, król i Brühl zostali odcięci.

Fryderyk niedługo zabawił w archiwum, paki natychmiast kazano wywozić do pałacu Moszyńskich, a dwóch kancelistów pod przewodnictwem radcy wyznaczonego, pozostali dla przejrzenia reszty. Straż stała u drzwi.

W pół godziny potem, Fryderyk z oczyma zaiskrzonymi radością której nie taił, śmiejąc się wyszedł z archiwum, przebiegł żywo korytarz i na wschodach będąc kazał sobie podać konia.

— Batalion żołnierzy!— zawołał do Wylicha—za mną...

Drugą bramą zamkową wychodzącą ku katolickiemu kościołowi wyjechał król. Z tąd już widać było gmachy pałacu Brühlowskiego. Wszyscy odgadli że ku niemu teraz Fryderyk się uda. Batalion żołnierzy zciągnięty z obwachu, stał w Georgerthor w pogotowiu. Król skinął aby szedł za nim. Za żołnierzami szła ciżba milcząca. Brühlowski pałac był zamknięty, lecz na widok przybywającego króla, szwajcar w paradnej odzieży, z buławą, przy szpadzie, na oścież drzwi otworzył. Fryderyk szepnął coś i skinął, kilku żołdaków rzuciło się na nieszczęśliwego stróża i odarło go natychmiast do koszuli. Przestraszony pobiegł gubiąc perukę, w dziedziniec.

Na wschodach stojąca garstka sług, widząc to zemknęła. Król zsiadłszy z konia, z całą swą świtą i żołnierzami wszedł na pierwsze piętro nie spotkawszy nikogo. Przez przedpo-

¹⁾ Niezupełnie znalezione papiery, odpowiedziały oczekiwaniom. Na nich się opiera wydany wkrótce: *Memoire raisonne sur la conduite des Cours de Vienne et de Saxe.*

kój pusty, śmiejąc się wpadł do ogromnego salonu, całego w zwierciadłach, porcelanie i ałasach. Był to apartament, w którym pierwszy minister przyjmował nieraz książąt panujących, posłów wielkich mocarstw, gdzie ugaszczał Richelieu. Wspaniałości jego dziwili się dworacy króla francuzkiego nawykli do wersalskich przepychów. We wszystkich razem wziętych zamkach i pałacach króla Fryderyka, nie było połowy tego bogactwa, wykwintności i smaku. Gdziekolwiek spoczęło oko, spotykało cudowne dzieła kunsztu, które na rozkaz pana stały się rzemiosłem, aby dogodzić fantazyi królika. Nie jeden talent któryby arcydzieła mógł tworzyć, rozproszył się na te tysiące drobniuchnych, misterynych ozdób, zlanych tak w jedną całość, jakby tchnienie jedno, jeden człowiek, jedna wola stworzyła je jednem słowem.

Fryderyk spojrział z pogardą i rozśmiał się, kijem który trzymał w ręku, uderzył w ogromną szybę zwierciadlaną: prysnęła w kawałki ¹⁾. Było to hasło.

— *Zum Ausräumen!* (Uprzątnąć)—zawołał król zwracając się do swoich żołnierzy—*Zum Ausräumen!*

Niepodobna odmalować skutku tego rozkazu, który w mgnieniu oka stał się czynem. Żołnierze z okrzykiem ogromnym, z dziką radością rzucili się na salon i pokoje.

Brzęk tłuczonych zwierciadeł, łamanych sprzętów, wyciąganych szuflad, chwytanых zegarów, śmiechy, wrzawa rozległy się po cichym pałacu. Służba Brühla pierzchnęła, nie było na obronę nikogo, nie było ktoby w imieniu sztuki, w imieniu pracy, upomniał się o rozbijane posągi i zrzucane na ziemię obrazy.

Król siadł na chwilę w fotelu i patrzył a słuchał, widać było że się zemstą nasycił, że ją pił z rozkoszą, że mu tego jeszcze było mało. Oczywiście wodził po zniszczeniu i śmiał się.

Batalion piechoty, któremu się te łupy dostały, nie starczył na uprzątnienie nagromadzonych tu bogactw, potrzeba mu było dodać drugi do pomocy. Zrzucono, spiesząc dopóki był rozkaz nie został odwołany, sprzęty oknami w ulicę, wydzierano obicia, rwano firanki. W miarę jak to dzieło zniszczenia postępowało, szła opanowywał żołnierzy, część ich dobrała się

¹⁾ Historyczne.

do kilku tysięcy butelek wina najprzedniejszego w piwnicy i hulała pijąc zdrowie Fritza w dziedzińcu. Okrzyki dochodziły do uszu króla... Generałowie stali jakoś oniemieli i posępni, mieli trochę żalu; właściwie ta gratka tak piękna, im się nie téj gawiedzi należała.

Zostawał ogród a w nim biblioteka i galerya, najdrogocenniejsze zbiory, których się nie godziło dawać na łupy zemście chwilowej. Jeszcze chwila a żołdactwo byłoby się rzuciło na nie; niebezpieczeństwo było wielkie, szczęściem obfita piwnica obroniła bibliotekę: nie chciało się opuszczać jęj, dopóki by wszystko zabrane i wysuszone nie było.

Gdy się to działo, a król siedział jeszcze, kijem okutym dziurawiąc wysadzaną misternie posadzkę, człowiek blady, przełękły, trzęsący się cały, w czarnej sukni, wszedł do zbużonej sali i strwożony stanął u drzwi.

Król spojrzał nań.

— Kto on jest!— zakrzyczał.

— Bosza, Włoch, N. Panie, dozorca biblioteki, galeryi, ogrodu, N. Panie!

Włoch kłaniał się i jękał.

— Czegóż on chce ten dozorca?

— N. Panie — wyciągając ręce z rozpaczą — przybyłem błagać go o ocalenie ogrodu, biblioteki, galeryi; N. Panie....

— Żołnierze mają to **sobie** darowaném, to nie moje. Co mi dasz? Co im dasz....

Bosza się zająknął.

— N. Panie, oddam co mam: cały mój majątek....

— A wieleż jego majątek wynosi?

— Nie mam nad dziesięć tysięcy talarów....

— To mało.

Włoch ukląkł, Fryderyk się rozśmiał.

— Eh! *Canailles Bagase*, dawaj te 10,000 talarów, tu zaraz mnie... i niech cię dyabeł bierze ¹⁾.

Skinął król na adjutanta.

— Ogrodu żeby mi nie tknięto!

Bosza pobiegł po pieniądze.

¹⁾ Historyczne.

Jeszcze żołdactwo hulalo po pałacu, gdy król ze świtą poszedł się przypatrzeć ruinie. Stawał co chwila i przyglądał się z gniewem, śmiał się, szczątki potrącając nogami i dobijając je kijem.

Cały szereg sal przeszedł tak, aż do tych dwu, gdzie cała niemal garderoba Brühla w przepysznych szafach się znajdowała. Lecz szafy te stały teraz otworem, suknie podarte walały się po podłodze, a na urągowisko półtora tysiąca peruk ministra złożono w stos ogromny w pośrodku sali; żołdactwo obeszło się z nimi tak nieprzyzwoicie, iż do niczego już nigdy służyć nie mogły.

Fryderyk stanął nad temi perukami zadumany.

— Osobliwsza rzecz — zawołał — żeby człowiek co nie miał głowy, mógł tyle peruk potrzebować ¹⁾.

Dowcip królewski homerycznym powitano śmiechem.

Najmniejszego kątką nie pominawszy i przekonawszy się że wszystko było dosyć porządnie uprzątnięte, król zszedłszy zwolna do drzwi głównych, głośno zawołał:

— Podać mi Brühl'a!

Siadł na koń i zwolna pojechał do pałacu Moszyńskich.

Ulice długo jeszcze potem przedstawiały widok, jaki rzadko się trafia. Rozpuszczony żołnierz, na wózkach, na rękach, na plecach, niósł, włókł, dźwigał co mu się dostało z Brühlowskiego pałacu. Niektórzy staczali walki o pochwycone sprzęty, które się kończyły zniszczeniem ich, ażeby się ani jednemu ani drugiemu nie dostały. We drzwiach, w dziedzińcach, po ulicach odegrywały się sceny, które przestraczem przejmowały mieszkańców. Nawet otoczenie króla uczuło to, że scena z królową, a później „uprzątnięcie” pałacu nie mogły im zjednać ani sympatii kraju, ni przyjaciół w Europie. Lecz Fryderyk II miał w téj chwili całą niemal Europę przeciwko sobie, a z jój uczuć dla siebie żartował. „Wolałbym sto tysięcy dobrego żołnierza, niż najlepszych przyjaciół i wielbicieli.”

W mieście wieść o wypadkach na zamku i o Brühlowskim pałacu, ostudziła znacznie zwolenników pruskich. Przyczyniły się do tego kontrybucye, żywienie wojska i wszelkiego rodzaju zabory. Tegoż dnia kassy uprzątnięte zostały także.

¹⁾ Historyczne.

Z temi smutnemi wieściami potajemnie wysłała królowa zaraz do obozu w Pirna zaufanego człowieka, który jako świadek naoczny, ustnie miał donieść o wypadkach. Urzędnicy pozostali sprawowali obowiązki swoje, ale w istocie drząc oczekiwali tylko na los jaki im zgotowano.

Hr. Loss, Stammer i Globig dla osobistego bezpieczeństwa siedzieli na zamku. Zdawało się że ich król może kazać wchodzić do siebie, cały więc dzień w mundurach i przy szpadach, w perukach, z kapeluszami pod pachą, spoglądając po sobie milczący przebyli, za każdym drzwi otworzeniem przewidując posła.

Zjawił się on w istocie w postaci oficera, który zaprosił ich do generała Wylicha, a raczej iść im do niego kazał.

Hr. Loss ruszył się z powagą, towarzysze poszli za nim. Wylich przyjął ich z fajką w zębach, stając nad papierami, które trzech kancelistów wygotowywało.

Spojrzał tylko na wchodzących.

— N. Pan kazał mi waćpanom oświadczyć, że ministerstwo jest rozwiązane. Dopóki my tu jesteśmy, wcale go nie potrzeba; urzędnicy niżsi niech spełniają swe obowiązki, a wyższy nad nimi nadzór, aby to szło porządnie, do nas należy.

— Jednakże—odezwał się hr. Loss.

— Nie ma tu żadnego *ale* ani *jednakże* u nas — przerwał grubijańsko Wylich.—Po żołniersku: komenda i posłuszeństwo.

W Saxonii nie było porządku, zdzierstwo i marnotrawstwo do najwyższego stopnia; my to się postaramy w karby wprowadzić. Dopóki my tu i dopóki N. Pan dla własnego bezpieczeństwa zmuszony jest zajmować Saxonję, nikt tu rozkazywać nie ma prawa. Inne rozporządzenia później nastąpią.

— Kłaniam się! — rzekł Wylich.

Trzej vice-królikowie stali niemi.

— Kłaniam się — powtórzył generał.

Spojrawszy po sobie, mieli już odchodzić, gdy Wylich się odezwał:

— Hr. Loss i panów będę jeszcze potrzebował dla narażenia się, choć to może dziś zawcześnie.

Sejm w Polsce się zbliża, król JM. August III, zapewne zechce nań pospieszyć, żeby choć jeden się nie zerwał. Niech

mu panowie dadzą znać, że do Polski pasporta gotowe i konie na przepręgę.

— Kłaniam się!—dokończył.

Znowu tedy zabierali się wychodzić, gdy Wylich pyknął, dym puścił i odezwał się:

— Ale, ale, tę gawiedź co darmoby chléb jadła: śpiewaków, muzykantów, operę, balet, trzeba do dyabła rozpuścić. Pieniędzy na nich nie ma, bo te co są my musimy wziąć. Słuchać ich téż i bawić się niemi nie będzie komu! Królowa nie zechce się rozrywać, nasz król nie ma czasu, a August III wyjedzie do Polski.

I znowu dodał:

— Kłaniam się!

Hr. Loss poszedł już żywo ku drzwiom, aby go już więcej nie odwoływano.

Wylich spojrział za niemi tylko i do kancelisty obracając się dodał:

— Pisz waćpan: kurfirstowska kamera wyda drzewa dla piekarzy, sążni.....

Więcej już vice-królikowie nie posłyszeli, bo się drzwi zamknęły.

Poszeptali pomiędzy sobą i cicho udali się na zamek.

W mieście tego dnia tłumno było jeszcze, gwarno, lecz smutnie.....

Około pałacyku i ogrodu Moszyńskich stały gromady ciekawe. Po południu generał Wylich oświadczył magistratowi i przedniejszym mieszkańcom, iż powinni pójść się pokłonić królowi.

Kto mógł wymawiał się od zaszczytu tego, lecz radzi nie radzi panowie urzędnicy miejscy i wskazane osoby znaczniejsze, musiały powdziewać suknie, przypiąć szpady i ciągnąć w pokorze do pałacu, który król zajmował.

Osób przeszło dwadzieścia wielce poważnych, *honoratiores*, którzy nie spodziewali się ażeby ich jaka owacya spotkać mogła zjawiły się, szeregami idąc u drzwi, w których stał adjutant.

Wpuszczono ich niezwłocznie.

Król w wytartym mundurze i tych samych butach w których go widziano z rana, siedział z jednym z generałów u stołu,

na którym rozłożone były karty Saxonii i Czech. Niedaleko od niego rozbite paki wzięte z archiwum i wyjęte z nich tomy ogromne, leżały w nieporządku. Charcięcę trzymając na kolanach, bo ta mu i na wojnie towarzyszyła, w kapeluszu na głowie król przyjął deputacyą. Wstał tylko do niej wkrótce i kij wziął do ręki:

— A co mi oni powiedzą?— spytał.

Milczenie panowało długie. Burmistrz Fühlich chrząknął raz, odchrząknął raz drugi, mruknął coś, poprawił się i nie powiedziawszy umilkł.

— Hm?— spytał Fryderyk, a potem sam zaczął:— Byłem zmuszonym postępowaniem tego człowieka, dla którego zbyt mam wielką wzgardę, abym imię jego wymówił; zając Saxonie i stolicę. Bezpieczeństwo moje wymagało tego. Nie mogło być inaczej... Mam dowody w ręku że spiskowano przeciw mnie. Króla JM. szanuję wielce, on nic nie winien... Tymczasowo niech jedzie do Polski, my się tu bez niego obejdziemy. Deputacya stała milcząca.

Król począł kijem wskazywać osoby i kazał sobie mówić imiona, nazwiska i tytuły.

— Spodziewam się— rzekł w końcu— że oni rozum mieć będą i zachowają się uczciwie i spokojnie, jeżeliby zaś komu do głowy przyszło ze mną wojnę prowadzić, damy sobie z nim rady. Infamisów i kanalii odprawię do Spandau i Kistrzyna. Niech oni sobie idą, każdy do swojej roboty, ja także mam o czém myśleć....

Nastąpiły ukłony. Król na te niskie pochYLENIA, grzbie ty i peruki, których końce po plecach biegały, popatrzawszy z wyrazem najwyższej pogardy, gdy się drzwi za niemi zamknęły, odezwał się do generała Quintusa'a Jeiliusa:

— *Canalien Bagage!* a jakie to podłe i nikczemne. Nie ma jednego któryby mnie w łyżce wody nie chciał utopić, i nie ma jednego coby śmiał pisać słowo....

Plunął stukając laską o podłogę.

— Generale, wprowadzić szpiega, który miał dać informacyą o obozie pod Pirną; trzeba ich zabrać, bo nam ludzie się przydadzą!!

(Dalszy ciąg nastąpi).

SPOŁECZNOŚĆ WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STOLECIA.

(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

„Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,
Dłonie, co mnie pieściły, głos co mnie przenikał,
Gdzież są? Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się,
[starły!]

A. Mickiewicz. (Dziady).

I.

Charakterystyka mieszkańców Warszawy.—Ludzie z ostatnich lat XVII wieku.—Niewiasty polskie.—Dawna tradycja.—Gawęda.—Poezya ówczesna.—Wymowa.—Warstwa społeczna z epoki Stanisława Augusta.—Literaci z tegoż okresu.

Warszawa w zewnętrznej postaci, w rozkładzie swoim i zabytkach starożytnych murów i kamienic, przez dwadzieścia kilka lat z górą, zachowywała cechy średniowiecznego grodu i do dziś dnia ich nie straciła, tak w *Starém-Mieście* jak pobocznych ulicach i dawnych świątyniach Pańskich.

Inną kolój losu przeszła jój społeczność.

W pierwszych latach tego okresu, od 1800 do 1830 r., uderzała na pierwszy rzut oka różnaitość mieszkańców Warszawy i snujących się postaci po ulicach, po ogrodach, albo na uroczystościach religijnych w czasie processyi *Bożego Ciała*, obchodu *Grobów* w Wielki tydzień świąt *wielkanocnych*; lub też po za miastem na odpustach, tak w *Czerniakowie*, jak na *Bielanach*.

Społeczność ówczesna kilka miała wydatnych odcieni. Pierwsze miejsce zajmowało owe stare już pokolenie, pamiętające jeszcze czasy Augusta III, króla Leszczyńskiego, a między temi znajdował się i takich, którzy znali Karola XII, bo wiek sędziwy, długoletność, nie były taką osobliwością jak teraz. Stóletni starcowie gę-

sto się przewijali, nietylko po dworach wiejskich, ale i w murach samej Warszawy ¹⁾).

Pokolenie to odznaczało się wybitnie, tak postacią jak mową i wyobrazeniami. Według pojęcia tych sędziwców, nauka i książka przystawała jedynie księdzu jezuitcie; dla szlachcica dosyć tego, czego się w szkołach wyuczył, a po dworach panów doświadczeniem i otarciem douczył. Literaturę ich całą składał *kalendarz, Nowe Ateny*, kilka kronik polskich, *Herbarz Paprockiego* lub *Niesieckiego* i *Volumina Legum*.

Zastęp ten składał się z szanownych starców, zasłużonych w kole obywatelskiem: byli pomiędzy niemi sławni rębacze, którzy zdobyli sobie imię w zapasach sejmikowych, niemało między niemi liczyłeś palestrantów z trybunałów piotrkowskiego i lubelskiego. Uprzejmie i serdecznie gościnni w domach i dworach swoich, w surowym rygorze chowali dźwiatwę własną; często sami stanowili małżeństwo, synów i córek niepytając o ich uczucia bynajmniej, posłuszeństwo też bez granic dzieci ku rodzicom, ułatwiało wielce te ugodę familijne, przez które przyjacielskie rodziny łączyły się w ściśle pokrewieństwa ogniwa. W tém poważném pokoleniu, które już śmierć dziesiątkowała w moich oczach, nie zasłyszawszę o żadnej sprawie rozwodowej; święta zgoda, miłość i braterstwo wiązało je silnemi ogniwami. Rodziny, krewniacy, trzymali się za ręce pod hasłem: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.“ Nieść pomoc w nieszczęściu, w niedoli podeprzeć, chudego pachotka zapomódz, to przez uznanie w dobrém wianem, to chudobę zasilić na nowe gospodarstwo, były to rzeczy powszechne, codzienne. Sędziwe matrony odznaczały się pobożnością bez dewocyi, prawdziwą wiarą Bożą, miłością bez granic w przywiązaniu do męża i dzieci. Wiele zachowywało zwyczaj starodawny, nazywania małżonków swoich *panami*, jak ci nawzajem swoje żony *panienkami* albo *dzieweczkami*.

Święte to były niewiasty! Ile razy myślą zabłąkam się w tamte czasy, zaraz stają przed oczyma postacie owych niewiast, pełnych

¹⁾ W młodych latach u Orłowskiego, handlującego drzewem a mieszkającego pod zamkiem warszawskim widziałem akwarellę, arkuszewego formatu, w której był przedstawiony cesarz Napoleon I, w orszaku marszałków, jak rozmawia ze starcem po polsku ubranym i podaje mu rękę. Był to *Nowakowski* przedstawiony cesarzowi jako towarzysz chorągwi królewicza Jakóba Sobieskiego, która była na wyprawie wiedeńskiej pod buławą króla Jana III. Oswobodzenie Wiednia nastąpiło we wrześniu 1688 r. a przedstawionym został Napoleonowi w końcu 1806. Uplęnięło więc 123 lat: gdyby jako towarzysz husarski miał tylko lat 15, dożyłby przeto 138. Cesarz wyznaczył mu pensją 3,000 franków i Nowakowski pobierał ją jeszcze przez lat dwa, bo w początkach 1809 r. umarł. Matka ojca mojego a babka moja, żyła lat 106 i sześć miesięcy. Pomiędzy Kurpiami żył bartnik pasczołł dzikich, który podług pewnych dat w całej czerstwości ciała i umysłu w 120 roku umarł i pochowany został na cmentarzu w Myszeńcu.

słodyczy i miłości chrześcijańskiej. Zaprawdę, mógł je każdy uważać za rzeczywistych aniołów-stróżów przy domowych ogniskach. Oneto wpajały w serca dziatwy swojej, najszlachetniejsze uczucia, czystą wiarę, on drogi skarbiec a niewyczerpany na ciąg całego żywota, potrzebę poświęcenia i dźwignia z pokorą krzyża po światowym gościńcu. Jako matki, łagodziły surowe obejście i groźne ojców, tuliły dziatwę strapioną, a na osłodzenie ich cierpień gdy które Bóg dotknął, miały łzy do podziału i słowo Boże na pocieszenie w strapieniu, boleści, czy żalu. Jako żony, były dla mężów nieposzlakowanej wierności i poświęcenia, towarzyszkami ich prac i trudów życia, ciche, łagodne, a łzawe, krzątały się przy porządku domowym, a w wolnej chwili stały gorącą modlitwą za tych, którzy się im przez serce przypominali! Naukę pisma obracały jeno dla napisania listu do *pana małżonka* i dziatwy, a czytały tylko Pismo Święte, modlitwy, albo księgę gospodarczą, pełną przepisów doświadczonych kucharskiej sztuki, *sekretów* gospodarstwa niewieściego i przypraw lekarskich do *apteczki* domowej. Życie ich pełne zajęcia, bez próżniaczej chwili, upływało z dnia na dzień w pracy, modlitwie i poświęceniu dla swój rodziny. Takie niewiasty musiały cześć obudzać i szacunek w mężach, miłość serdeczną w dziatwie, bo one wśród trudów codziennego żywota, nie przygaszały wzniosłych a szlachetnych uczuć serca, ani myśli wyższej, bo jedne i drugie same rozumiały i wielbiły z zachwytem.

Ta szlachta, a dziatwa ostatnich lat XVII stolecia, zahartowana wychowaniem surowém w młodych latach, nie troszczyła głowy naukami, nie wszystka nawet pokończyła szkoły, a jeżeli ich kobiety nie odznaczały się kaligraficzném pismem, to i sami zgrubiały ręką od szabli, strzelby, a często siekiery, nie bieglejsi byli w piśmie. Skoro wy dostał się ze szkolnej ławy i porzucił *Alwara*, nie wracał do ksiąg jak dopiero w sędziwej starości, kiedy nogi wymówiły posłuszeństwo; wtedy złamany wiekiem, brał znowu do rąk te same księgi kronik starych i herbarzy, które w dziecinnych latach tak ochoczo przeglądał dla samych jedynie drzeworytów. Szlachta téj generacyi, oprócz czasem zasłyszanej jakiejś *Satyry Krasickiego*, pieśni nabożnych Karpiańskiego i narodowych Kniaznina, nie znała, nie pojmowała nawet literatury tak zwanych *Stanisławowskich* czasów, ale zato miała swoją, *żywego słowa* literaturę, w której się skupiły wszystkie jej żywioły. Było nią owe złote pasmo narodowej *tradycyi*, z ust do ust przechodzącej niepokalanie, coraz bogacąc się i urozmaicając w idące lata po sobie. Miałeś w niej na czele podania historyczne, pełne życia i ognia wiersze, chociaż brakło im zewnętrznej formy artystycznej.

Tradycyi osnową była opowieść jakiego czynu, a czyn sam w sobie wzięty obwijał się w jedną poetyczną tkankę, jak jedwabnik we własną przędzę. W gwarnym, bojowym żywocie téj szlachty ojców i ich samych, nie brakło osnowy do *gawędy*, nie brakło i pieśni

i wzorów wymowy. To też, byle zjazd na uroczystość domową, rodzinną, albo ochoczym dla zabawy *kuligiem*, niebyło mowy między niemi o literaturze obecnej ich czasem, ale zasiadłszy grono starców i dojrzałych na uboczu, gdy młodź ochoczo hasała, radośnie, przy kieliszku wytrawnego węgryna rozpoczynało *gawędę* o przeszłych, ubiegłych latach. W onczas wychodziły na czoło, opowieści wypadków krajowych, a zaraz o ile który miał w nich udział, tu następowała wierna spowiedź przygód żywota, to w obozie, to na dworach panów, to na łowach, sejmikach, w domowych progach, albo na zjazdach w sąsiedztwie. Gdyby kto je umiał wiernie i dokładnie spisać, byłyby to drogocenne obrazy z zapadłej już dla nas przeszłości, obrazy, które same prostotą swego wątku i treści, obudzałyby zajęcie i wywołały podziw; bo tak już wtenczas odskoczyliśmy od tego świata, w którym ci starcy żyli pełnym życiem, że powszednie ich czyny olbrzymiały w naszych czasach i poetycznej nabierały barwy.

Kiedy to piszę, wyobraźnia stawia mnie w te grona siwych starców, co zawodzą głośnym serdecznym śmiechem, lub głośnym łkaniem. Miły Boże! ileżto chwil rozkosznych wśród nich spędziłem, przytrzymywany jakimś urokiem, czarami opowieści, że i huczna kapela nie wabiła do tańca, choć nogi się rwały, i sen po nocach całych oczu nie sklejał!

Znaczenie poezyi zupełnie po swojemu starcy ci pojmowali. Kobiety miały ją w ludowych i nabożnych pieśniach a psalmach Dawida przekładu Jana Kochanowskiego, bo tylko to tłumaczenie przeszło w usta narodu; miały ją i w światowych piosenceczkach co je parny śpiewywały. Treścią tych ostatnich była miłość, to oświadczyły zalotnika, to *rekuza damy*; szlachta, prócz takich światowych, śpiewała w podeszłym wieku codziennie nabożne pieśni w domu, drodze, młodsi w obozie: miała i historyczne, w których wspomnienia mięszały się z rzewną modlitwą do Boga. Pieśni te wiernie odbijały charakter tych rycerzy chrześcijańskich a rolników. Śpiewali i pieśni zwane *palestrankie*, naszpikowane gesto łaciną, której i w innych nie zabrakło nigdy. Wiersz byle rymowy, aby jasno myśl malował, był już poezją: co przemówiło do ich serca, to wdrażało się dobrze w pamięć. I tak być musiało w czasach ich młodości, kiedy życie samo ich było dla nich poezją, a zaledwie miano czas, jakiś wypadek, jakie uczucie ująć w rymy proste, a dobrze rzecz oddające. Daleko wyżej stała u nich *wymowa*, bo ona więcej się splotła z ich życiem.

W domowych progach chrzciny, zaręczyny, wesela i pogrzeby, jak w publicznym życiu sejmiki i sejmy, narady wszelkie w kole szlachty, w kościele czy obozie, wszędzie zgoła wymowa rej wiodła.

Nie mieli u nich poeci wielkiego miru, bo prawdziwych wieszczów nie było, a rymotwórstwo uważali, i słusznie za rozrywkę jeno próżniaczą. Mówca za to odbierał cześć i szacunek: jedna mowa wypowiedziana okrągłemi słowy, a trafniemi do serca i myśli, utrwałała

sławę mówcy, w *ziemstwie*, powiecie, ba nawet wcałém województwie. W wymowie tylko spoczywała owa potęga duchowa *słowa* pod którą miękły i tajały twarde nawet serca, co mogła wycisnąć łzę rzewną na męzkie surowe oblicze, i pobudzić do serdecznego śmiechu. Mowa potoczna też onych starców, była potężnym zasobem do wymowy wyższej. Bogata, pełna zwrotów poetycznych, dosadnych wyrażen, malowniczych przysłów i przypowieści, posługiwała dzielnie, aby zręcznie użyta do owęj *wymowy* wyższej, a serdecznej, dziarskiej i dosadnie rzecz oddającęj, na podziw słuchacy, a ku chwale mówcy!

Z tego zastępu starców szczątki jeno dotrwały w 1818—1820, mniej daleko niewiast. Zamożni chowali się po dworach swoich, ubożsi, dawniejsi dworzanie wielkich panów licznięj przytulali się w murach Warszawy, niemając własnego gniazda: najliczniejszy zastęp u krewnych i przyjaciół dogorywał zwolna po dworach ziemiańskich pod nazwą *rezydentów*, patrząc na wielkie zmiany w około z modlitwą na ustach. Znikły też niebawem i te resztki, pokładwszy się w mogiły obok ojców swoich.

Duch czasu i na to najstarsze pokolenie silnie oddziaływał. Jeżeli zatwierdzał uszanowanie dla rodziców i starców, stanął oporem co do samowolnego rozrządzania sercem i ręką dzieci. Chorągiew swobody rozwijał u progu domu, przy ognisku rodzinném. Coraz też rzadsze tego przynusu bywały przykłady. Kiedy sędzia *Phehta*, rębacz hetmana Branickiego, zmusił córkę lubo kochała innego, do poślubienia jego wybrańca, ogół opinii przeciw takiemu nadużyciu władzy ojcowskiej, głośno się oświadczył. Był to o ile pomnę jedyny i zaprawdę ostatni podobnej samowoli przykład.

Drugą warstwę społecznosci tak Warszawy jak i w kraju całym składali wychowawcy z okresu *Stanisława Augusta*, zwolennicy literatury francuzkiej, co chciwie filozofiją *Wollera* i *Encyklopedystów*, brali za pewnik ostatni rozumu i szczyt najwyższej nauki.

Potężny to był zastęp, co przeważał w dawnęj Rzeczypospolitéj. Głównym rysem tego zastępu była *niewiara*, zaprzeczenie istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy człowieka, a obok tego pogarda dla własnej narodowości, szyderstwo ze wszystkiego, co ich ojcowie szanowali i czcili. Stary obyczaj krajowy nazwali *barbarzyństwem*, ochoczo zrzucali jak strój ojców, tak znieawidzili macierzysty język. Wkradła się w domy polskie lekkomyślność nieznaną, zbytek wyuzdany, zepsucie obyczajów. Kanclerz Młodziejowski w *liście pasterskim* karcił rozwody, niesłychane w dawnęj Rzeczypospolitéj: w tęg warstwie społecznosci naszęj, teraz rozwody przestały być osobliwością. Zerwali pasmo narodowych tradycyi, które wiązało terażniejszość z przeszłością. Pomimo tych stron ujemnych zachowali staropolską gościnność w domu, jak odwagę w potrzebie.

Rozpowszechniony język francuzki w kraju spowodował ruch większy handlu księgarskiego, a przytém rozwijał się i ruch książek polskich. Literaturę *Stanisławowskiego okresu*, co tak wybornie

odbijała czasy swoje, umiano na pamięć: młodzież szczególniej połykała owe poemata, zagadki i wiersze Węgierskiego i Trembeckiego, wraz z rubasznemi utworami Naruszewicza, których się druk rumienić upowszechniać, tyle jeszcze pocziwego zachowano wstydu: pokolenie to było ostatniem ogniwem, co przechodziło z czasów panegiryków, w naśladownictwo literatury francuzkiej.

Dużo pisano, rozwodzono żale na ten popęd do Zachodu, dziś gdy przeminął, widzimy że ruch taki był koniecznym, abyśmy po długim naśladownictwie obczyzny, prędeż trafili do pojęć literatury oryginalnej, narodowej. Nie my sami naśladowali francuzów, przez to naśladownictwo przeszły i inne narody.

Warstwa ta jak mówiliśmy wzięła przewagę w stariej Rzeczypospolitej: wszyscy pisarze okresu Stanisława Augusta bili czołem temu naśladownictwu, lubo każdy po swojemu wedle sił i talentu; byli i tacy co daleko zostawili za sobą wzory, jak Krasicki, w satyrach, bajkach i listach, Trembecki w opisanych poematach, a głównie w komedyi *Syn marnotrawny* z Woltera; Zabłocki w komedjach, ale obok nich, co do liczby była większość po miejskich dworach i *zaściankach* ukryta, owęj szlachty, co żyła dawném życiem, w starym obyczajuj, szauując tradycję narodową, wraz z ubiorem, językiem, wiarą a pobożnością ojców. Ci przypominali pokolenie z czasów Saskich z tą różnicą, że zapoznawali się z utworami literatury krajowej. Kiedy wielu z nich na bruku Warszawskim osiadło, znalazło tu życzliwe u mieszczan starych przyjęcie, bo łączyła ich jedna miłość do tego, co u lekkomyślnych ludzi szło w pogardę.

I na polkach dostrzegamy tóż wydatną różnicę, w dwóch po sobie idących pokoleniach: pierwsze, przyjąwszy strój i obyczaj francuzki, wraz z lekkomyślnością i swobodą w obyczajach, tak daleką od owęj powagi i godności dawnych niewiast, utonęły sercem i myślą w literaturze francuzkiej; drugie, przestawały na literaturze krajowej i garnęły się do dzieł dobrańszych polskich, które ohotnie czytywały.

Pomiędzy temi dwiema warstwami społeczności gasnącej, a ostatnią dorastającą, stanowili pośrednie ogniwa konfederaci barscy, wojacy z kampanii 1792 i 1794 roku, jak z Legii włoskich. Typowe to były postacie, które znikają powoli i do roku 1830 wygasły prawie do szczeru.

Trzecią a najmłodszą warstwę społeczności Warszawy, stanowiliśmy sami jako wychowawcy szkół pijarskich, Liceum warszawskiego, a następnie Uniwersytetu.

Zagasała w tym okresie świetna plejada literatów i towarzysów *uczonych czwartkowych obiadów* na zamku króla Stanisława Augusta. Ozdoby tego stołu: Krasicki, Naruszewicz, Trębecki, Węgierski, Zabłocki, Wyrwicz, już nie żyli. Karpiński skruszył pióro i zamienił je na pług i siekiere rolniczą. Kniaznin, w spokojném obłąkaniu zgasł na łonie swego przyjaciela Zabłockiego, sławnego kome-

dyo pisarza, którego dotąd nikt jeszcze należycie nie ocenił. Powstały prawda nowe imiona, nowe talenta, na ozdobę tych pierwszych lat trzydziestu, które przyrosły do naszego okresu. Społeczność Warszawy, gdy miasto roszerzało swój obręb, zyskiwała coraz więcej narodowego żywiołu, przez napływ i stałe osiedliny szlachty wiejskiej ze wszystkich jej warstw, zaczawszy od najzamożniejszych, do mających skromne mienie, albo też w chudobie ostatniej szukającej powszedniego chleba w jego murach; przez ten nabytek, Warszawa przybierała coraz wyraźniejsze oblicze odzwierciedlające charakter całego narodu. Ztąd wierne malowidło społeczności Warszawy łączy się ściśle ze współczesnością ogólną, krajową.

Typowe postacie z kilku pokoleń zgromadziło w grono swoje *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*: należy więc nam przedewszystkiē, bliżej się przypatrzeć temu zgromadzeniu w ciągu jego trzydziestoletniego istnienia.

II.

Warszawa w pierwszym roku naszego stolecia. Stanisław Sołtyk. Pierwsze u niego zebrania Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pierwszy tego zgromadzenia prezes Jan Albertrandi biskup Zenopolitański. Tadeusz Mostowski, jego zakład drukarski i wydawnictwo: „Wyboru pisarzy polskich.” Patent króla pruskiego Fryderyka Wilhelma dany Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Pierwsze lata tegoż Towarzystwa. Dar Staszica. Prace członków. Wojna. Zmiany. Księstwo warszawskie. Dekret króla saskiego. Biblioteka i gabinet mineralogiczny, muzeum starożytności i zabytków przeszłości. Rok 1809. Posiedzenie Towarzystwa d. 22 grudnia 1809 r., konkursu uwieńczono. Wyprawa 1812 roku. Pogrom i kłęski.

Gród nasz jak kraj cały w ostatnich latach XVIII wieku, doznał niespodzianych cisów.

Warszawa przestała być stolicą i przeszła pod panowanie pruskie, pomimo to do niej jako miasta prowincjonalnego ciągnęły nawałem czeredy Niemców, już brykami w konie zaprzężonemi, już wózkami przez psy ciągnionemi, na których wieźli cały swój dobytek i majątek. Gwar tak rozgłośny niedawno w zamku królewskim i po ulicach, dorazu zamienił się na grobową ciszę, gdy Stanisław August wyjechał na zawsze, a gdy dwór się rozbiegł na cztery strony świata. Cała arystokracja polska straciła swoje znaczenie i powagę: wszystkie urzędy od najwyższych stopni do ostatniego strażnika przy rogatkach miasta i stróża pałacu rządowego, sami Niemcy obsiedli. Prusy sypali *swemi* jakby z worka plew, i w zapasie trzymali mnóstwo jeszcze kandydatów, na każde skinienie. Pałace opustoszałe szły w ruinę, podwórza ich zarastały trawą. Cała społeczność Warszawy chroniła się za progi domowe, żyła wspomnieniem ciepłej jęszcze przeszłości, napozór tak świetnej, nie przeczuwając

że pod jęj błyszczącą oponą, już się roztworzyła mogiła, w którą dwór królewski wraz ze swym panem, bieżną ochoczo, hulaszczco, jakby na ucztę wystawną.

Pierwszy rok naszego stólecia już pokazuje Warszawę miastem na sposób pruski urządżoném, bez handlu i przemysłu. Kupiectwo pozbawione napływu z całego kraju obywatelstwa, zubażało, nie jednem upadłość swą, bez własnej winy, ogłosić zagnalony; pozostali musieli ograniczyć swoją działalność do skromnych rozmiarów. Tych ratowali jeszcze ziemianie chwilowo przyjeżdżający do naszego miasta, u których grosza nie brakło, bo wysokie ceny zboża zamożność ich podniosły.

Z publicznych instytucji został tylko *teatr narodowy* z twórcą swoim *Wojciechem Bogusławskim*, ale i przeciw niemu uderżyło stronnictwo zfrancuziałych polaków, które idąc za nierozważnym popędem z poprzedniego okresu, wszelkimi siłami pragnęło scenę francuzką podnieść, wyszydając własną.

Na szczęście znaleźli się ludzie z rozumem i sercem, którzy te szalone wybryki poskramiać umieli. Na czele tych stał *Stanisław Sołtyk*, który w domu swoim zgromadzał towarzystwo czysto polskie, przeciwne dążności eleganckiego świata pod wpływem francuzczyzny, którego głównym gniazdem i siedzibą był pałac *pod blachą*.

Sołtyk nietylko dla sceny narodowej położył wielkie zasługi, ale podał myśl założenia *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, którą goszczący u niego literaci i zacni obywatele ochotnie a gorliwie podparli.

W dniu 16 lutego 1800 roku, odbyło się w domu Sołtyka pierwsze zgromadzenie, na którém ułożono listę osób, jako pierwszych założycieli tego Towarzystwa. Lista ta obejmuje nietylko mężów znanych z prac ogłoszonych drukiem, ale takich, którzy stanowiskiem swoim i znaną prawością charakteru, dawali rękojmię życzliwego popierania głównego celu, a tym celem wyłącznym było: „zachęcać ludzi naukom i piśmiennictwu oddanych do krzewienia i upowszechniania wiadomości użytecznych w języku narodowym, język ten udoskonalać i chronić go od zagłady.“

Wrządzie pierwszych założycieli widzimy: *Czackiego Tadeusza*, *Chreptowicza*, *księcia Czartoryskiego*, *Ignacego Krasickiego*, *Matuszewicza*, *Mostowskiego*, *Józefa Ossolińskiego*, *Ignacego i Stanisława Potockich*, *Aleksandra księcia Sapiehy*, *Walentego Sobolewskiego*, *Stanisława Sołtyka*, *Stanisława Staszica*, *Jana Woronicza* i *Stanisława Trembeckiego*, szambelana Stanisława Augusta i rozgłośnego imienia poetę. Następnie powołani zostali: biskup *Albertrandi*, *Franciszek Dmochowski* (tłumacz *Iliady* i *Enejdy*), *ks. Kamiński pijar*, *Franciszek Karpiński*, *S. B. Linde*, *ks. Józef Osinski*, *ks. Poczobut*, *Piramowicz* i *Jan Sniadecki*.

Kiedy zamknięto tymczasową listę i przyjęto ogólne zasady i przepisy postępowania, odbyło się pierwsze posiedzenie już za-

wiązanego Towarzystwa w dniu 23 listopada 1800 roku w bibliotece księży Pijarów (na ulicy *Długiej*). Zasiadło tu grono czternastu członków i ci wybrali na prezesa *Albertrandego* biskupa zenopolitańskiego, znanego polihistora, sławnego erudyta. Ten w mowie swęj którą zagał to posiedzenie, główną zwrócił uwagę na cel najważniejszy obok uprawy nauki: pilne strzeżenie macierzystego języka, który w pierwszym okresie rozwijającej się literatury narodowej, tak udoskonalony już w całym się swém bogactwie okazuje.

„Godna jest rzecz uwagi, mówił, że dzisiejszy Francuz piszący językiem *Marota*, a nawet *Amiota*, podałyby się w pośmiewisko, albo przynajmniej w podejrzenie, iż nie dla dzisiejszego pokolenia pracuje: Polak zaś w pismach swoich jak najbliżej do Budnych, Górnickich, Kochanowskich i innych za pierwszych Zygmunatów żyjących autorów przystępujący, tém większej dostąpiłby chwały, imby się im w pisaniu stał podobniejszy.“

Obok tego podniósł myśl potrzeby odszukania i wydania dawnych zabytków piśmiennictwa polskiego, w części zapomnianych, a w części ukrytych po różnych księgozbiorach w kraju i zagranicą, a zarazem ogłosił pięć zadań konkursowych w przedmiotach: nauk wyzwolonych, wymowy, historii, matematyki i historii naturalnej, wszystkie zastosowane do podań i potrzeb krajowych. Jednym z nich było:

„Oddając hołd winnej pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazać jak wiele winne mu były nauki matematyczne, mianowicie astronomia, w wieku w którym żył; z których poprzedników, jak wiele i jakim sposobem korzystał, i jak wiele mu są winne w czasie terażniejszym.“

Na zadanie to odpowiedział Jan Śniadecki znakomitą rozprawą *o Koperniku*.

W gronie pierwszych założycieli zasiadał Tadeusz hr. *Mostowski*, który dał się już świetnie poznać w poprzednim wieku jako mąż prawdziwej nauki i wysokich zdolności. Syn wojewody mazowieckiego, nakładca i redaktor *Gazety narodowej i oboej*, pojął naglącą potrzebę, wśród ówczesnych okoliczności wprowadzenia jak najprędzej w życie, myśli w łonie *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* podjętej, ratowania ojczyźnej mowy. Celem ku temu najdzielniejszym było rozpowszechnienie dzieł pisarzy tak że złotego wieku literatury z doby Jagiellonów, jak i zakresu tylko co zgasłego.

Postanowił przeto rozpocząć wydawnictwo utworów najcenniejszych pisarzy polskich, i potemu założył wielką drukarnię we własnym pałacu przy ulicy *Przejazd* i *Nowolipie*, (późniejszym gmachu ministerstwa *spraw wewnętrznych i policji*). Ogromny nakład na to poświęcił, bez myśli zwrotu. Sprowadził najlepszych zecerów i presserów z zagranicy, jak i najpiękniejsze czcionki z Paryża i Lipska i w tak kosztownej drukarni rozpoczął pomnikowe wydawnictwo p. n. *Wybór pisarzy polskich*, które ukazało się już w roku 1803, w XI-tu przepysanych tomach.

Druk, papier, odbicie, odznaczały się szczególną starannością jako téż i korektą. Wizerunki pisarzy, których dzieła ogłaszał Mostowski, były rytowane na stali przez biegłego w Warszawie rytownika J. Ligbera.

Na czele tego wydawnictwa położył, i słusznie, dwa tomy poczy Jana Kochanowskiego. W przedmowie swój, rzuciwszy pogląd na smutne położenie kraju, po zapowiedzi że w tej publikacji zamierza objąć utwory z dwóch tak odległych okresów, zamyka rzecz swoją temi słowy:

„Gdy porównaniu historycznemu podlegać mają dowcipu polskiego płody, z dwoistój, a bardzo różnej epoki; należy zatém dzieła jednego i drugiego czasu wydawać takie, jakie były, bez odmiany, wiernie, z wdziękami i wadami swemi. Wprawdzie możnaby, jak niektórzy chcieli, poprawiając błędy, skracając pisma, odświeżając wyrazy pisarzy dawniejszych, dać im dla terażniejszych czytelników zabawniejszą postać; ale tym sposobem zatarta cecha wieku Zygmun-tów, jużby nie okazała ani różnicy czasów, ani odmian istotnie w języku naszym zaszłych. Z uszanowaniem więc, zostawiam szaty właściwe Janowi Kochanowskiemu i innym dawniejszym pisarzom; zachowana jest ich ortografia, objaśniane tylko ile możności, słowa zaniedbane i mniej zrozumiałe, wyrazami teraz używanymi.“

Widzimy z tego jak dobrze Mostowski pojmował obowiązki wydawcy tak pożytecznej publikacji; co do jej zewnętrznej strony, z całą skromnością na końcu swój przedmowy mówi:

„Nie oszczędzałem starania, ażeby wykonanie niniejszego przedsięwzięcia, co do poprawności dzieł, piękności sztychów, liter i papieru, godne było pisarzy których wydaję i celu który sobie zamierzylem, a ten jest, aby ta praca tak współczesnym jak potomnym, pożyteczną i miłą być mogła.“

W tym pierwszym roku wydawnictwa, wyszły z pod prassy, „w drukarni N. 646 na Nowolipiu:“ dzieła: Jana Kochanowskiego tomów 2. J. U. Niemcewicz tomów 2. A. Naruszewicza, *Historji polskiej* tomów 5. Tacyta kronika w przekładzie Kazimierza Kojałowicza tom 1. Dzieła Józefa Szymanowskiego i Kajetana Węgierskiego tom 1. Dwa lata następne 1804 i 1805 Mostowski prowadził tę publikację i wydał: Tom ostatni *Historji Polskiej* Naruszewicza; dwa tomy jego wierszy, oraz *Dyaryusz i Taurykę*: tłumaczenie Tacyta w czterech tomach i znakomicie skreślony przez tego wielkiego badacza: *życiorys Jana Karola Chodkiewicza*. Obok tego *Sielanki Polskie*, *Kroniki St. Orzechowskiego* i *Dzieje Łukasza Górnickiego*; na ostatku *Życie Sławnych Polaków* w trzech tomach i na 26 tomie zamknął swoje wydawnictwo.

Pomimo jego okazałości, ceny nadzwyczaj umiarkowanej, potrzeba było lat blisko czterdziestu, do wyczerpania tej edycji: dziś ona stała się rzadkością bibliograficzną i ozdobą każdej biblioteki ¹⁾.

¹⁾ Tadeusz Antoni hrabia Mostowski, urodził się w Warszawie 1766 r.

W roku 1802 Fryderyk Wilhelm król pruski, odwiedził Warszawę, wcieloną do swego państwa, a gdy mu przedstawiono prośbę o udzielenie najwyższego pozwolenia, do zajmowania się *Towarzystwem* naukowymi pracami, w odpowiedzi, otrzymano urzędowy *patent* w następujących słowach:

„Król *Imć* pruski, bardzo mile przyjął dysertacje i mowy, które *Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie*, złożyło mu przez swego prezesa Albertrandego biskupa Zenopolitańskiego pod datą 25 z. m. Daję więc poznać wspomnionemu Towarzystwu, swoje zupełne potwierdzenie, a będąc przeświadczony, iż nie ustanie w chęci zasługiwania się na jego protekcję, z ukontentowaniem zapewnia je o niej i przytem prosi Boga, aby je miał w swój świętej i godnej opiece.

W Poznaniu 1 lipca 1802 roku.

Fryderyk Wilhelm.“

Dzieje tego Towarzystwa podzielić potrzeba na trzy wydatne okresy: *pierwszy* od 1800 do końca 1806; drugi obejmuje czas istnienia Księstwa warszawskiego od 1807 do 1815: trzeci i ostatni od 1815 do 1831. *W pierwszym*, miejscu zebrań publicznych była Biblioteka księży Pijarów, *w drugim*, otrzymało w darze od Stanisława Staszica dom jego na *Kanoniach*, położony obok bramy zamku królewskiego, *w trzecim*, już się przeniosło do wspaniałego gmachu na Krakowskiem Przedmieściu, które tenże Staszic, w miejscu po zburzonym kościele i klasztorze księży *Dominikanów Obserwantów*, własnym kosztem zbudował i pomienionemu Towarzystwu ofiarował.

Czynność wydatną rozwinęło Towarzystwo zaraz w pierwszych latach swego istnienia. Oprócz wydawnictwa Tadeusza Mostowskiego, powstał *Pamiętnik Warszawski* pod redakcją *Franciszka Dmochowskiego*, męża wielkich zasług tak dla spraw krajowych, jak i na wie literackiej.

Prace podjęte przez pojedynczych członków, wykończyły się chętniej i śpieszniej, ażeby w obec Towarzystwa znajdowały właściwą ocenę. To też prezes Albertrandi, na posiedzeniu publicznym 1802 r. już miał się z czém pochlubić, gdy przywodził obecnym na

Wysoko wykształcony w młodych latach, już w zawadzie prawnym się odznaczył za Stanisława Augusta. Miał majątności we Francji, które administrował rozumnie. Od 1802 r. zamieszkał w Warszawie. Po utworzeniu Księstwa warszawskiego 1812 r. mianowany ministrem spraw wewnętrznych okazał tak wysoko zdolności, że i po ogłoszeniu Królestwa 1815 r. pozostał w tych obowiązkach. Jemu należy wielka zasługa, że przy rozwoju przemysłu i fabryk, wiele miast wzrosło, lub powstało. Działalność jego wykazuje szczegółowo F. M. Sobieszonański w dokładnym zyciorysie drukowanym w *Encyklopedyi Powszechnej* S. Orgelbranda tom XVIII.

pamięć: z natchnienia Towarzystwa o napisanej: *Nauce obyczajowej dla ludu* przez księdza *Piramowicza*; o dziele księcia Aleksandra Sapiehy: *O miarach i wagach polskich. O gramatyce polskiej* księdza *Kamieńskiego*, o *Słowniku języka polskiego S. B. Lindego*; o *Obserwacjach astronomicznych Jana Sniadeckiego*. Obok tego, mógł już wymienić rozpoczęte prace innych członków Towarzystwa: *J. Kalasanteo Szaniawskiego w filozofii*, księdza *Zaborowskiego w matematyce*, *Stanisława i Aleksandra Potockich w architekturze*, generała *Komarzewskiego w mineralogii*, *Jundzilla* i innych w naukach przyrodzonych.

W tém szanowném gronie dostojnych mężów, skupiały się wszelkie prace naukowe ze wszystkich gałęzi, zespalali się z sobą pracownicy jedną myślą i uczuciem połączeni.

Spokój na horyzoncie politycznym sprzyjał tym usiłowaniom; z daleka tylko, od brzegów Sekwany dochodziły groźniejsze wieści.

Szósty rok już się kończył tego spokoju, gdy nagle od Zachodu zaczęła nadpływać gromami ciężarna burza. Kiedy mieszkańcy Warszawy z ciekawością chwyтали na ucho podawane wiadomości drogą tajemną, prawdziwe, a prędzej niż gazety dochodziły; pomiędzy urzędnikami pruskimi jakiś zaczął panować niepokój, a po nim i trwoga.

Nagle jak piorun spadła wieść o bitwie pod *Jena*, i rozbięciu całej armii pruskiej, a z nią całej potęgi tego państwa lepionego z taką troskliwością. Klęska była tak straszna, że dwór Berliński musiał się zdać na łaskę i niełaskę sławnemu zwycięzcy. Dnia 14 października 1806 r. stoczoną była ta pamiętna w dziejach Europy walka, a w końcu listopada patrol dragonów francuzkich ukazał się na *Krakowskiem-Przedmieściu*. Dzień był śnieżny i wielkie błoto po ulicach, właśnie biegł do chorego doktor *Wolf* (ojciec Maurycego Wolfa, słynnego w naszych już terazniejszych czasach lekarza), gdy usłyszał jak z tego patrolu zawołał głośno podoficer, patrząc z pogardą na nasze miasto:

— „I toż to Polacy mogą nazywać swoją ojczyzną!”

Cicho i skrycie już wszyscy Prusacy uciekli na Pragę, a gdy Warszawa jak na skinienie róższczy czarodziejskiej zajaśniała płomienniem illuminacyi, i łuna od niej oświeciła to przedmieście zawiślańskie, drząc ze strachu, teraz nie brykami ani wózkami, ale pieszo uchodzili z pośpiechem, aby tylko dostać się copędzej do granic swój ojczyzny ¹⁾.

¹⁾ Właśnie było w dniu tym w teatrze narodowym na Krasieńskim placu widowisko, gdy usłyszano głos nadbiegłego z ulicy: „Francuzi! Francuzi!” W mgnieniu oka zarówno wszyscy widzowie jak i aktorzy wybiegli na miasto, aby ujrzeć sławnych zwycięzców świata.

Zaraz w następnym roku ogłoszonem zostało *Księstwo Warszawskie*, a panującym w niem *Fryderyk August* król Sasi.

Wielka armia francuzka przepłynęła jak huragan przez Warszawę, zostawiając po sobie ślady zniszczenia. Huk dział i wrzawy wojennej powoli oddalał się od jej murów. Dopiero w następnym roku, po organizacyi księstwa Warszawskiego, minister sprawiedliwości Feliks Żubieński wyjednał wpływem swoim u dworu Saskiego, nowy patent ustalenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydany w formie dekretu królewskiego w Dreźnie dnia 30 kwietnia 1808, w dosłownej osnowie:

„Fryderyk August z Bożej łaski król Sasi, książę Warszawski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszej powierzonych i do rozkrzewienia nauk pożytecznych pomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy niezdąło się dalekiem, od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poluru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej językowi, w krajach panowaniu naszemu podlegających, użytemu temu językowi, który w całym życia naszego ciągu, nie był nam nigdy obojętnym; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością władzy naszej do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem i pilnie utrzymane i troskliwie były do doskonałości przywiedzione. Przeto gdy do naszej wiadomości doszło, iż *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, utworzone z szczeréj ochoty członków wybranych, które się z sobą wzajemnie połączyły tym jedynie umysłem, aby szczerąki literatury swojej narodowej w całości utrzymywały, język rodowity, od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkie wytworne i gruntowniejsze podług przemysłnych wynalazków i potrzeb tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki nowe dostatki językowi obmyśliły; w téj zaś wiadomości, gdyśmy dostateczniej ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie toż Towarzystwo przyjęło i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem *Roczników* dotąd od Towarzystwa wydawanych a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną przychylić się do żądania od członków tegoż Zgromadzenia, z głęboką uniżonością nam przełożonego, i dać im poznać skutków pomyślnych naszej królewskiej ku nim łaskowości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkimi weń wchodzącymi osobami w państwach naszych obecnymi, lub z jakiego względu do państw naszych należącymi, ile się w granicach ustaw swoich zachowują; tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszą najwyższą łaskawą protekcją onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione Towarzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pięczęciach, tytułu: *Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk*, używało, spodziewając się iż tego za-

szczytu tak użyje, jak wyroku onego zacność wymaga. Wzywamy oraz do tego Zgromadzenia należących i nadal należec mających, aby z podwójną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawali.“

Tak zostawszy ustalone w nowo powstałym państewku, i pozyskawszy zaszczyt do skromnej swój pierwotnej nazwy dodania tytułu *królewskiego* Towarzystwa, w oczach kraju całego podniosło się i stało się celem do składania ofiar na zgromadzające się zbiory naukowe w jego łonie.

W znak wdzięczności dla panującego, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybiło medal srebrny, wielkości dużego talara. Z jednej strony jest popiersie króla Fryderyka Augusta z napisem: „Fryderyk August i książę warszawski,“ z drugiej: „Fryderykowi Augustowi królowi saskiemu, pierwszemu księżęciu warszawskiemu, Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk przez niego ustalone 1808”¹⁾.

Pierwszy zakład biblioteki Towarzystwa był darem księcia *Aleksandra Sapiehy*, który ofiarował około 6000 ksiąg z własnego księgozbioru, i uczynił zapis na starostwie *Preny*, w posiadaniu jego będącym, kapitału sto tysięcy złpól., z którego procent po 5000 złpól. rocznie, ma być używany przez lat pięćdziesiąt na pomnożenie biblioteki.

Wdowa po słynnym doktorze Leopoldzie Lafontain'ie, cały księgozbiór, po większej części dzieł lekarskich po swoim mężu ofiarowała i radca stanu Żuba, dzieł tysiąc kilkaset. Dary pojedyncze, zarówno jak zakup coroczny z funduszu Sapiehy, pomnażał ten szacowny księgozbiór, dwa razy w tygodniu dla użytku publiczności otwierany.

Gabinet mineralogiczny założony zbiorem samego Staszica, bogacił się z wolna ofiarami obywateli z różnych okolic kraju; nadto zaczęło się składać *Muzeum starożytności* krajowych i pamiątek z przeszłości, bo każdy co jaki drogocenny zabytek posiadał, ochoczo przynosił Towarzystwu z tym miłym przekonaniem, że obrócone to zostanie na korzyść ogółu. Generał Henryk Dąbrowski, będący członkiem tego Towarzystwa, obdarzył je pysznym darem, bo swoją zbójnią w raz z wielą drogocennymi pamiątkami historycznymi.

Kiedy wciągu tych kilku lat Towarzystwo coraz się rozwijało, w roku następnym 1809, nowa a niespodziewana burza nadciągnęła, która wstrzymała jego prace, a wielu członków do opuszczenia Warszawy zmusiła. Jeden z nich Cypryan Godebski poeta-żołnierz stanął na czele swego pułku, aby w walce pod Raszynem życie oddać, w powstrzymywaniu armii austriackiej; drudzy po kapitulacji jakkolwiek zaszczytniej miasta, jako członkowie rządu, za swemi chorągwiemi poszli. Tryumf Austriaków był krótki, bo gdy Napoleon I-szy

¹⁾ Medal ten oglądaliśmy w pięknym zbiorze numizmatycznym b. profesora, dziś emeryta p. Duchnowskiego w Kielcach.

pobił ich główną armię, książę Ferdynand musiał granice księstwa Warszawskiego jak najspieszniej opuścić.

Warszawa oswobodzona od Niemców oczekiwała zwycięzców. Towarzystwo Przyjaciół nauk przygotowało się do uczczenia ich godnie. Najgłośniejszy z poetów ówczesnych Ludwik Osiński miał poleconém napisanie wiersza odpowiedniego. Nazajutrz oznaczonym był dzień na ten obchód w Towarzystwie, a Osiński jeszcze nie miał nic zaczętego. Wyszedł pod wieczór więc na *Stare Miasto* w zadumie, i stanął pod murami *Ratusza*, co stał w rynku z czasów jeszcze udzielnych książąt Mazowieckich. Był to wieczór 21 grudnia, gwar ucichł dzienny, i tu spłynęło nań rzeczywiste natchnienie poetyczne. *Oda* którą nazajutrz melodyjnym swoim głosem wydekłamał, porwała i oczarowała wszystkich.

I zaprawdę, jest to najwznioślejszy utwór, opromieniony prawdziwą poezją, jaki wyszedł z pod pióra Osińskiego.

Stanisław hr. Potocki odczytał *pochwałę walecznych*, co polegli w téj walce. Wymowny jego głos poruszył każdego. Dla uświetnienia tego obchodu, posiedzenie odbyte zostało w *Pałacu Saskim*, w kaplicy dawniej królów Saskich. Rezydent francuzki *Serra*, członek honorowy Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uniesiony ogólnym zapałem zaimprovizował wiersz w swoim języku, który grzmot oklasków wywołał. Posiedzenie zakończone zostało *marszem* Józefa Elsnera członka także tego Towarzystwa.

Słyszałem w wiele lat później sędziwego wojownika co walczył we Włoszech, w San-Domingo i Hiszpanii, gdy przywodził sobie na pamięć to posiedzenie w dniu 22 grudnia 1809 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Tak byłem rozrzewniony, tak zachwycony, mówił, że pragnąłem umrzeć nieprzechodząc progu tamtéj sali. Dziś gdy przypominam sobie ów dzień, czuję się odmłodzonym.

W pośród rozwoju nowéj organizacyi księstwa Warszawskiego, wprowadzenia *Kodeksu Napoleona*, i podziału na departamenta, wśród ruiny obywateli ziemskich, na wydatki armii i spełnianie wymagań cesarza Napoleona I-go, nie było swobodnego czasu dla poświęcenia go naukom. Nie było i nieznano wówczas literatów z rzemiosła, bo każdy z piszących miał stałe obowiązki w służbie krajowej, a wolne chwile wytchnienia, jedynie mógł pracy umysłowej oddać: ztąd i Towarzystwo Przyjaciół Nauk statecznie i bez przerwy nie mogło dla nauki pracować; przerwy te powodowały wypadki ówczesne krajowe a nie ośpałość członków pomienionego Towarzystwa. W samej społeczności naszéj, mało było ochotników pióra: ztąd w całym ciągu lat trzydziestu na ogłoszane konkursy Towarzystwo tylko pięć nagród przyznało: z tych, *Janowi Sniadeckiemu* za rozprawę o *Koperniku*, doktorowi medycyny *Lernetowi* z Wilna za rozprawę

o *Morowej zarazie*; doktorowi *Fijałkowskiemu* z Warszawy, za *Instrukcyę* ułożoną stosownie do pojęcia średniej klasy mieszkańców, jak się mają zachować, aby nieuszkodzić zdrowia i życia: księdzu *Jakubowi Falkowskiemu* za założenie Instytutu Głuchoniemych i *Antoniemu Cyprysińskiemu* uczniowi Uniwersytetu warszawskiego medal srebrny, za opis statystyczny obwodu Sandomierskiego.

Kilkakrotnie powtarzany konkurs w medalu tysiąca złp. wartości (bo dawanie pieniędzy uważano w ówczas za ujmę godności pisarza) za najlepszą tragedycę i podobną nagroda przez Ludwika Dmuzewskiego ofiarowana za najlepszą komedyę, bez skutku pozostały.

Nie dziwny się téj nie ochoczości, ani na tragedycę ani komedyę: czas nie był u nas odpowiedni potemu, gdy dramat w życiu, ciągle z mąkami się przerwami odegrywał. Zaledwo najazd austriacki odparto, i ucieszono się pożądanym spokojem w święta *Bożego-Narodzenia* 1809 roku; zaledwie rozpatrzono się w potrzebach kraju: we dwa lata Napoleon I-szy przedsięwzię nierozważną wyprawę do Rosyji 1812 roku, w której rozbitą została cała jego potęga, tak groźna Europie. Jeżeli przed rozpoczęciem jój wielki zapał się pojawia z zaufaniem w geniusz cesarza-wodza: tém większa rozpacz i zwątpienie nastąpiły, po piorunowej klęsce. Z armii Księstwa Warszawskiego, do 80,000 wynoszącej, zaledwie kilka tysięcy wróciło. Dramat ten straszny, zakończył się rozpaczą i łzami. Literatura pod hukiem dział i salw ręcznej broni umilknąć musiała!

Po długich chwilach osłupiałości i zwątpienia, zabłysło téż słońko przed naszymi wroty. Upragniony pokój zawitał, po ostatecznym upadku cesarstwa we Francyi, i osadzeniu na pustej skale świętej Heleny bohatera wieku; gdy na *kongresie wiedeńskim* utworzono Królestwo Polskie, cesarz Aleksander I-szy dekretem swoim zapewnił byt Towarzystwu Przyjaciół Nauk, który brzmi w słowach następujących:

„My z Bożej łaski Aleksander I-szy Cesarz Wszech Rosyji, Król Polski etc. etc.

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach pieczołowitości naszój powierzonych, i do rozkrzewienia nauk pożytecznych dopomagać jakimkolwiek sposobem może, nigdy nie zdało się dalekiem od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A kiedy do tego przystępuje jeszcze nadanie poloru wyborniejszego i obfitości zupełniejszej językowi polskiemu, tak wielkie mającemu podobieństwo z językiem w Cesarstwie Wszech Rosyji używanym, a który tém bardziej zwraca na siebie troskliwość naszą, iż przy terażniejszym przez nowe węzły połączeniu dwóch narodów, nowe ztąd pożytki, dla obu języków wyniknąć mogą; powinnością naszą być rozumiemy, całą zupełnością władzy naszój do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem, istotnie utrzymane i troskliwie były ku doskonałości przywiedzione.

„Przeto, gdy do naszej wiadomości doszło, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk, utworzone ze szczerzej ochoty członków wybranych, które się były z sobą wzajemnie połączyły, tym jedynie umysłem, aby szczytki literatury swojej narodowej w całości utrzymały, język rodowity od niebezpieczeństwa zagłady zachowały, nauki wszystkie i wytworne i gruntowniejsze podług przemysłnych wynalazków i potrzeby tego wieku wydoskonaliły, a przez nauki, nowe dostatki językowi obmyśliły; w téj zaś wiadomości, gdyśmy dostatecznie ugruntowani zostali rozpatrzeniem się w ustawach, które sobie też Towarzystwo przepisało i dotąd ściśle zachowuje, także przejrzeniem Roczników dotąd od Towarzystwa wydawanych, a nam przedstawionych: osądziliśmy za rzecz słuszną i przyzwoitą przychylić się do żądania od członków tegoż zgromadzenia z głęboką uniżonością nam przełożonego i dać im doznać skutków pomyślnych naszej królewskiej ku nim łaskawości. Dla czego *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, ze wszystkimi weń wchodzącymi osobami, w państwach naszych obecnymi, lub z jakiego względu do państw naszych należącymi, ile się w granicach ustaw swoich zachowają, tudzież ustawy te same i wszystkie własności ruchome i nieruchome tegoż Towarzystwa, pod naszą królewską opiekę przyjmujemy i naszą najwyższą łaskawą protekcją onemu zaręczamy, pozwalając nadto, aby pomienione Towarzystwo w pismach swoich, patentach, zaświadczeniach, pieczęciach, tytułu: „Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk używało.”

„Spodziewając się, iż tego zaszczytu tak użyją, jak wyroku onego zacność wyciąga, wzywamy oraz do tego zgromadzenia należących i nadal należąc mających, aby z podwojoną ochotą i gorliwością dążąc do celu sobie zamierzonego, dalszych się względów i łask naszych królewskich godnemi stawali. Dan w Petersburgu d. 13/25 marca 1816 r.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

FILIP KALLIMACH.

PRZEZ H. ZEISSBERGA.

Z niemieckiego przełożył K. P.

(Dokończenie).

II.

Na początku 1490 roku, przypada poselstwo Kallimacha do papieża Innocentego VIII, który w dniu 24 sierpnia 1484 roku, po śmierci Syxta IV wstąpił na tron papieżki. Cel poselstwa tego był dwojaki, jak to widocznym jest z mowy Kallimacha do papieża. Najprzód zaleconym mu było odciągnąć Innocentego, który ustawicznie myślał o powszechnej krucjacie przeciwko Turkom, od niewykonalnego planu

połączenia jednocześnie całego chrześcijaństwa przeciwko dziedzicznemu nieprzyjacielowi krzyża, a w miejsce tego wykazać korzyści, jakie mogłyby wyniknąć ze ścisłego połączenia papieża z królem polskim, który więcej od wszystkich innych książąt przygotowanym był do wojny z Turkami. Jednocześnie Kallimach zużytkować miał zwycięstwo, które Jan Albert odniósł był świeżo nad Tatarami, ażeby otrzymać godność kardynalską dla szóstego i najmłodszego syna Kazimierza, który w 1488 r. przez kapitułę, biskupem krakowskim wybranym został. Ze mowa ta Kallimacha do papieża miała miejsce w 1490 r., sam o tém wyraźnie powiada; że zaś na początku tego roku, to dowodem tego jest, iż wspomina w niej o królu Macieju jako o żyjącym, wiadomo zaś iż Maciej umarł 6 kwietnia tegoż roku; o zaszłych zaś w skutek jego śmierci, ważnych w wielu względach zmianach, nic nie wspomina.

W biograficznym tym szkicu, nie sposób jest rozszerzać się o szczegóły mowy Kallimacha do papieża, w ogólnych jednak zarysach streścimy ją tutaj.

Kallimach przedstawia tu najprzód, iż wszystkie przez papieża zamyślane przeciwko Turkom przedsięwzięcia, (wyjąwszy tylko planów Piusa II, których spełnieniu przedwczesna śmierć jego przeszkodziła), wykonanemi być nie mogły głównie w skutek przecenienia sił nieprzyjaciela, oraz dlatego, iż tworzone zawsze chimeryczny i niewykonalny plan połączenia w jednym czasie wszystkich książąt chrześcijańskich przeciwko Turkom. Obszernie o tém rozwodzi się Kallimach, wyjaśniając swe uwagi na podstawie tego co własnymi widział oczyma. Co się tyczy mniemania, że Turcyja jest krajem ubogim i wyludnionym, że ani wojska, ani pieniędzy mieć nie może, ileby potrzebowała dla swojej obrony, odwoływał się na to co sam widział, podczas swój ucieczki na Trojańsko-Frygijskie wybrzeża, jak niemniej także w czasie ostatniego poselstwa swego do Konstantynopola. „Nie chcę—powiada on tutaj—mówić o wielu stratach, które Turcy ponieśli niedawno od Usun-hassana w Mezopotamii, a w ostatnich czasach od sultana (egipskiego) w Syrii, jak również o licznych klęskach doznanych od Karamanów w Cylicyi u stóp Taurusu i pod Candelorum, gdzie tylu ich zginęło nie tylko od miecza, lecz w skutek głodu, braku wody i innych dolegliwości; ci zaś co pozostali, bladzi i wychudli powrócili podczas pobytu mego w Konstantynopolu: wówczas wstydziłem się w duszy, że cała potęga wszystkiego chrześcijaństwa za niezwalczonych uważała tych, których jak naocześnie się przekonałem, klimat nieprzyjazny zupełnie prawie zniszczyć był w stanie. Nie należy więc tedy pytać jak wielka jest ich liczba, lecz tylko czy istnieją jeszcze. Sam byłem w Azji na długo przed nieszczęśliwą dla Turków wyprawą i wówczas już wszędzie tak wielki był brak ludzi, że w wielu miejscach troszczono się w jaki sposób oprzeć się w razie, jak się spodziewano, wtargnięcia Usun-hassana na Pontus i Bitynię. Troski te obawy zapewne zwiększyć się musiały po tylu dotkliwych klęskach. Nie uszło także

mojej uwagi jak mało Turków w Europie mieszka. Nie tylko dawniej ale i teraz, gdy w sprawach wołoskich, jako poseł od króla polskiego do Turcyi jechałem, wzdłuż morza przez Nizszą Mezyę i Trację nie znalazłem na mój drodze jako też w powrocie przez środkową Trację i Wyższą Mezyę aż do Macedonii, żadnego miejsca, żadnego miasta, żadnej twierdzy dostatecznie ufortyfikowanej, do tego stopnia, że ci co je zakładali, nie przypuszczali chyba możebności jakiegokolwiek wojny. Ludność zaś tak jest tam małą, że gdy cudzoziemcy przyjeżdżają, chciwie zbierają się aby się im przypatrywać. Gdy jako pełnomocnik króla, w licznym orszaku przejeżdżałem tamtędy, młodzi i starzy, wszyscy z chat swoich wybiegali, aby nas oglądać. Przy tej okoliczności zauważyć mogłem jak ich jest niewiele, dziwiłem się także ich nędzy i niechlujstwu, wydawało mi się bowiem iż wychodzą nie z mieszkań ludzkich, lecz z brudnego więzienia, w podartych odzieżach, wychudli i wybladli, tak, że raczej litość niż obawę wzbudzić mogli. Mając taki widok przed oczyma, tém bardziej żądny byłem widzieć Konstantynopol, gdzie, ażeby w stosunku do wielkości miasta powiększyć ludność jego, na rozkaz sułtana, sprowadzono ludzi ze wszystkich stron państwa, iżby jeśli wojna w tych okolicach toczyć się będzie, ludzie pustki tylko za sobą zostawiali. Wyobrażałem więc sobie że tam dopiero znajdę ludność, odpowiadającą obszarom, przez które przejeżdżałem. Także przyszło mi na myśl, że mnóstwo żydów ze wszystkich stron świata tam się ściagało. Wojska tureckie nigdzie za granicą kraju zajęte nie były, przypuszczałem tedy, iż wszystkie siły zbrojne około władcy swego zgromadzone były. Wprawdzie niezupełnie omyliłem się w moich przypuszczeniach i chociaż zastałem tam bez porównania więcej ludzi jak wszędzie w ciągu mój podróży, to jednak przechadzając się po ulicach, ten sam co i w podróży zastałem widok: wszędzie brudne łańchmany, taż sama chudość twarzy i ciała; tylko w progu sułtańskiego dworu ruch się powiększa; również widziałem rękodzielników lepiej odzianych wychodzących z fabryk i mieszkań swych, w każdym jednak razie ich liczba nie odpowiadała moim oczekiwaniom."

I tą razą także skutek mowy i poselstwa Kallimacha jest nam niązany. Królewicz Fryderyk dopiero 30 września 1493 r. mianowany został kardynałem, w skutek nowych starań jego braci Jana Alberta króla polskiego i Władysława króla czeskiego i węgierskiego u następcy Inocentego VIII, papieża Aleksandra VI. Kapeluszą zaś kardynalski przesłany mu został dopiero w 1495 r.

Śmierć Macieja króla węgierskiego, dała zupełnie inny kierunek najważniejszym sprawom politycznym owego czasu, zwróciła też nasze Kallimacha na zupełnie inne pole. W liczbie kandydatów do tronu węgierskiego wystąpił Jan Albert, trzeci syn Kazimierza, (gdyż drugi także Kazimierz zmarł był w 1484 roku). Podanie Ludwika Tubero, że Kallimach, który teraz miał miejsce sekretarza u dawnego swojego ucznia, zachęcił go był do przyjęcia wezwania na tron, które mu przesłał Stefan Batory w imieniu nie liczego stronnictwa, potwierdza także elegia Kallimacha do swego krakowskiego przyjaciela Jana Miri-

ca, a o której niżej mówić będziemy. Że Kallimach towarzyszył królewiczowi w jednej przynajmniej z dwóch nieszczęśliwych wypraw do Węgier, które przedsiębrał, aby swe roszczenia siłą oręża poprzeć, znajdujemy na to dowód w współczesnym świadectwie. Niespokojny duch Jana Alberta, wkrótce po ukończeniu wyprawy węgierskiej (1491), w skutek śmierci króla Kazimierza (7 czerwca 1492 r.), ku innym zwrócił się celom.

Następujące bezkrólewie nie nader pomyślnem było dla Kallimacha. W liście do Lactantiusa Thedalda, datowanym z Wiednia 22 października 1492 r., pisał on: „Gdy przed niedawnym czasem osierocone państwo, dało pochop moim przeciwnikom, bezkarnie przeciw mnie powstawać, a młodzi królewicze dostatecznej obrony dać mi nie mogli, musiałem więc ustępować przed zawiścią i niebezpieczeństwem.“ Tym jednak razem nie długie było owe niebezpieczeństwo. W dniu 27 sierpnia 1492 r., Jan Albert obrany został królem polskim, pierwój zaś jeszcze Litwini wybrali sobie na W. księcia, młodszego ucznia Kallimacha, Aleksandra.

Samo przez się widocznem jest, iż Kallimach wywierał wpływ stanowczy na czynności Jana Alberta, co też wymownie świadczą współczesne źródła. Jemu też przypisywane są rozmaite rządowe plany, maksymy i t. d. w formie pamiętników dla króla przeznaczonych a znajduwane w rękopismach.

Te tak zwane „Rady“ Kallimacha, są jednak często podawane w wątpliwość; nim więc rozbierać będziemy ich znaczenie, należy je bliżej rozpatrzyć: najprzód koniecznem jest wysledzić ślady wpływów, jakie Kallimach wywierał na panowanie Jana Alberta, a posiłkując się innemi źródłami, wykryć czy owe „Rady“ wchodzą do systemu politycznych wyobrażeń naszego autora.

Bezimienny jeden autor współczesny (1497—1512), przedstawiając nam w porównaniu do stawionego przezeń dla opozycji względem Polski, biskupa warmińskiego Mikołaja von Tüngen, w nader niekorzystnem świetle następcę jego Łukasza Watzelrode z Torunia, powiada, iż był to mąż wielce uczony, lecz złych usposobień, a który najgorzej odpłacił swe wyniesienie na stolicę biskupią, do czego zakon najwięcej się przyczynił. „Gdyż—dodaje ów pisarz—wraz z innym równie nikczemnym zdrajcą, Włochem Filipem Kallimachem, doradzał on królowi żeby Wołochy i Łodole siłą oręża zajął, a mistrzowi zakonu aby przywłaszczył sobie Prusy.“

Mysł tę jednakże nie pierwszy Łukasz Watzelrode podnosił, ani też Kallimach; już długo pierwój, mianowicie w 1348 r., pogańscy jeszcze Litwini, którzy jednak pozornie chrześcijaństwo obiecywali, układając się z postem cesarskim żądali, ażeby zakon przeniesionym został na pustynie oddzielające posiadłości tatarskie od ruskich i żeby w ten sposób bronił się od napadów Tatarów. Odtąd niejednokrotnie była mowa o przesiedleniu zakonu w inne okolice, w bliskości Turków lub Tatarów, ażeby stosowniej mógł odpowiedzieć swojemu

przeznaczeniu. Sam nawet Kazimierz, ojciec Alberta (około 1458 r.), miał na myśli osadzenie zakonu na Podolu. W 1463 i 1464 latach plan ten był odnowionym. Wkrótce po wyniesieniu Łukasza Watzelrode na biskupstwo warmijskie, między nim i zakonem powstał spór, wynikły w skutek pociągnięcia przezeń do odpowiedzialności podległego zakonowi kapłana. Spór ten znaczne przybrał rozmiary i biskup poruszył powyższą kwestyę.

Król Jan Albert przystawał na pierwszą część wspomnianego wyżej planu, która być miała przygotowaniem dla spełnienia drugiej. Że Kallimach doradzał wyprawę, którą król w 1497 r. do Wołoch przedsiębrał, oprócz innych, źródła polskie poświadczają także; z tego wynika, iż niezapreczenie działał on przeciw ogólnym dożnościom szlachty polskiej, i wyprawa tak fatalnie zakończona, a przedsiębrana pod pozorem obrony kraju od Turków i wygnania ich z obu fortec przy ujściu Dunaju położonych, miała raczej na celu zdobycie Mołdawii.

Nie naszym jest zadaniem roztrząsać szczegóły tej wyprawy; wysledzić tylko chcemy udział jaki wziął w niej Kallimach: dla tego kolejno przepatrzyć zamierzamy źródła odnoszące się do niej, ażeby z ich świadectw móżd do pewnego dojść wyniku.

Z pomiędzy źródeł polskich, najwcześniejszym jest Miechowita; opowiada on, że powszechnie oskarżano Kallimacha, iż zachęcił Jana Alberta do tej wyprawy, a Baltazar Behem ogólnie „złym poradom“ przypisuje to przedsięwzięcie. Dziwnem jest że Wapowski, który wyprawę do Mołdawii obszernie opisuje i wspomina o śmierci Kallimacha, w kwestyi tej zupełnie zachowuje milczenie. To zaś tém ważniejszém jest, iż Marcin Kromer, który posiłkował się nieraz tym ostatnim i okoliczności towarzyszące śmierci Kallimacha, podług tegoż źródła przytacza, dość obszernie mówi o oskarżeniach rzucanych na naszego humanistę. Inne znów źródło, lecz niestety niezupełnie szczere, znajdujemy we współczesném dziele: „*Elogia doctorum virorum*“ biskupa Pawła Joviusa, który opisawszy w krótkości dawniejsze losy Kallimacha, w ten sposób mówi: „Po śmierci Kazimierza, Kallimach znaczne wpływy posiadał u następcy jego Jana Alberta i w skutek tego taką nienawiść przeciw sobie wywołał, że oskarżając go iż spowodował klęskę wołoską i że doradzał królowi użycie środków tyrańskich w państwie, z dworu został wyrugowany. W złośliwy bowiem sposób doradził byk, ażeby szlachcie która opierała się wypłaceniu żądanych summ pieniężnych i prowadzeniu wojny, wydać na sztych nieprzyjacielowi, iżby na przyszłość nikt nie pozostał dla obrony zagrożonej wolności. Podczas gdy król zaledwie znieść mógł tęsknotę po nieobecnym, Kallimach niedługo przeżył swą hańbę i umarł w tém nawpół wygnaniu w jednej wiosce sarmackiej, u dawnego przyjaciela w ukryciu, tak że śmierć jego w tajemnicy trzymano i niepogrzebane zwłoki jego w piecu wysuszone, w szafie ukryte zostały. Gdy Albert dowiedział się o tém, kazał je sprowadzić do Krakowa i złożyć w kościele Trójcy Św. pod grobowcem ze spizu.“

W tém podaniu Joviusa, tak jak we wszystkich jego szkicach biograficznych, zawiera się trochę prawdy a więcej jeszcze fałszu. Że w Polsce niechętném okiem patrzano na tę wyprawę Alberta do Wołoch, powiedziało się już powyżej; że jednak Kallimach w skutek kłeski wołoskiej do odpowiedzialności był pociągnięty i ze dworu wygnany, to tém jedném zbija się, że końca jój nie dożył. Przypuszczać więc można, że Jovius miał na myśli prześladowanie, którego Kallimach miał doznać dawniej jeszcze, zaraz po przybyciu swoim na dwór, a wspominając iż ukrył się był u „dawnego przyjaciela“ zapewne chciał mówić o Grzegorzcu z Sanoka. Wszystkie te jednak szczegóły dowolnie układał Jovius, a owe prześladowanie Kallimacha, jako naturalne następstwo jego polityki, zdawało mu się konieczném. Podanie o śmierci jego, którego bezzasadność tak łatwo wykazać, najzupełniej jest zaprzeczone przez podany poniżej list Ottaviana di Guccio. Relacya jednak Joviusa, przy wielkiém rozpowszechnieniu jego dzieła, przyjęta była przez wielu pisarzy. Znajdujemy ją u Liliusa Gregoriusa Gyralda z Ferrary, który dzieło swe: „Dwa dyalogi o współczesnych poetach“ przypisał księżniczce Renacie z Ferrary, i u Kromera. Ten ostatni jednak znacznie ją odmienił i przyozdobił.

Kromer przywodzi także że Kallimach, dla wpływu, jaki wywierał na królu, znieawidzonym został przez szlachtę polską; dodaje jednak iż oskarżano go że w pływów tych używał ażeby sprzedając urząd wzbogacić się. I zarówno jak Jovius, powiada on dalej, że zarzucono Kallimachowi, iż doradzał królowi użycie środków tyrańskich. Wié on także o usiłowaniach szlachty, ażeby znieawidzonego ulubieńca królewskiego strącić z jego stanowiska, ale próby te inaczéj jak Jovius przedstawia, mówi bowiem: „.....Zkąd zaprawdę, na niezmierną nienawiść u Polaków zebrało się było Kallimachowi, którą jednak przez bojaźń potęgi jego poniekąd pokrywano, aż jednego czasu, gdy on poselstwo imieniem królewskiém u Wenetów i u papieża odprawując, wrócić się do Polski nie zdał, wszystka ona nienawiść na wierzch wybuchnęła. Ale zaś znouu gdy się ten nawrócił, nie tak dalece utęchniona, jako potajona, dokąd jego żył, była (*Ed. Turous*).“ Widoczną jest rzeczą, dla czego tutaj Kromer opuszcza swe źródło. Kromer któremu odmówić nie można pewnego krytycznego poglądu, w stosunku szczególniej do Długosza, poznać musiał jak bardzo w sprzeczności z historią owych czasów było podanie Joviusa, szczególniej gdy mówi o wygnaniu Kallimacha ze dworu. Zresztą świadectwo Kromera jest zupełnie dokładne i potwierdzone przez to co sam Kallimach powiada o swém poselstwie do Wenecyi w 1478 roku, tylko że owe usiłowania szlachty aby strącić Kallimacha przypadają nie za panowania Jana Alberta, lecz w dawniejszój epoce, za czasów ojca jego. Z dodanych wreszcie u Kromera moralnych uwag przy końcu, a które powtarza także Stanisław Sarnicki, widoczném jest iż zużytkował powyższe źródło.

Za Kromerem idzie Bielski, tak jednak przedstawia sprawę, jak gdyby król z obawy szlachty pod pozorem poselstwa do Wenecyi, do papieża i innych królów, wysyłał go z kraju. Godnym uwagi jest, że pod względem rad, które Kallimach miał dawać królowi, więcej poinformowanym jest od swego poprzednika. „Byli tego zdania, cytujemy dosłownie Bielskiego, że on króla podwoził na szlachtę radząc mu, aby ją w srogości chował i nieodpuszczał żadnemu, gdy się który czego dowini, jakoż o mężobójstwo radził, aby je gardłem karał. Téz namawiał króla do tego, aby k'temu szlachtę przywiódł, iżby oni grunta swoje wszystkie królowi puścili, gdyż o nie wielkich trudności sami między sobą zażywają i ztąd morderstwa i zabijania między nimi bywają; a oni żeby od króla żołąd pewny brali a w mieściech mieszkali, na co żeby konie chowali i sami zawždy gotowi ku potrzebie wojennéj we zbroi na rozkazanie królewskie wsiadali, dozwoiliwszy im tylko folwarków jakich małych mieć na wsiach swych, coby ich swym pługiem zorać mogli. A starostowie królewscy mieli płacić każdemu z onychże dóbr, gdy czas przyjdzie, wybrawszy czynsze od kmieci ich, z których da każdy rad dziesięć złotych płatu do roku panu, gdzie nie będzie nic robił. A tym obyczajem uszliby zwad i trudności domowych, tak około granic jako około zajma dobytków. K'temu w mieście mieszkując w rządziby byli i karaby snadniejsza była, boby się urzędu obawiać musieli. Prawa zaśię takie chciał mieć: aby dwanaście sędziów na nich siedziało, nakształt parlamentu, a przed nimy aby swą rzecz powiadał każdy po prostu bez wszelkiego nakładu, a sędziowie byli opatrzeni z skarbu pospolitego.“ W ten sposób Bielski opowiada o co oskarżano Kallimacha, kończy wreszcie: „Na wiele inszych rzeczy króla podwoził mówiąc: iż się tak z tą wolnością nigdy nieprzyjacielowi nieodejmiecie, jedno zawsze król u szlachty w niewoli będzie a szlachta u nieprzyjaciela tak będzie to jako niewieście nierządne królestwo zawždy.”

W rzeczy saméj przechowało się pismo pod tytułem: „Rady Kallimacha“ którego treść słusznie da się porównać ze sławioném dziełem Machiawella. Tutaj w formie pamiętnika złożonego z 35 artykułów, podawane są rady królowi, których dążność zupełnie odpowiada zamysłom, o których przypuszczalny ich autor przez Joviusa, Kromera i Bielskiego oskarżonym był. Bez ogródek zalecone tu jest królowi zniesienie przywilejów udzielonych przez króla Ludwika, i wprowadzenie rządu absolutnego. Dwóch tylko lub trzech, jak można nie żonatyh doradców, powinien król przypuszczać do tajemnej swéj rady, senat zaś z surowém niedowierzaniem pilnować i w ciągłej go utrzymywać niezgodzie. Zjazdy szlachty surowo powinny być wzbronione, a przez ciągłą gotowość do wojny, starać się odwrócić ją od spisków. Bogate rodziny szlacheckie, pod pozorem odznaczenia ich przez urzęda i godności, zachęcić do zbytku, którego następstwem będzie ich zubożenie, a urzędy państwa i dworu oddać uczciwym lecz dającym się powodować ludziom. Także stanowisko duchowieństwa nadto wielkiego znaczenia, powinno być zmienione, prawo appellowania do Rzymu zniesione, a na miejsce kanonicznój elekcyi, prawo nominacyi przy kró-

lu zachowane, dochody biskupów zmniejszone i wreszcie kto szlachcicem nie jest, do wyższych godności duchownych dopuszczonym być nie ma. Opactwa rozdawać należy ludziom uczonym, których z korzyściami przy poselstwach i innych sprawach państwa używaćby można. Instytucya posłów ziemskich powinna być uchylona, przez co złagodziłby się smutny stan knieci. Inne rady dotyczą finansów i dworu królewskiego. Ważniejszymi jednak od tych są wskazówki dotyczące polityki zewnętrznej. Król niepowinien trzymać przy sobie brata Zygmunta, lecz dać mu Województwo Wołoskie, a drugiego brata Fryderyka osadzić w Prusach, zwłaszcza że rozchodziły się pogłoski, iż po śmierci mistrza zakonu, o wyniesieniu go na tę godność myślano. Prztém należałoby się strzedz księcia Mazowieckiego, który przy wyborze nieprzyjaźnie wpływałby. Należy tak działać, żeby w przyszłości w całym państwie jedno tylko było prawo i jeden król. Przeciwno niechętnym żywiołom wewnątrz kraju, potrzebnym byłby związek z królem węgierskim i W. księciem litewskim; opór ich złamałby takżę można w ten sposób, żeby zgromadziwszy ich na wyprawę do Mołdawii i tajemnie porozumiawszy się z tamecznym wojewodą, zupełnie ich wytepić. Takie są sposoby wielkich monarchów.

Wszystko co te artykuły zawierają, łącznym jest z podaniami przechowanymi z ówczesnej epoki. O sprzedaży urzędów więcej dającym przez ludzi zaufanych, odpowiada ustęp Kromera, że Kallimach wzbogacił się sprzedażą urzędów, inne znów artykuły dotyczą ówczesnego prawodawstwa. Jakkolwiek to wszystko nie dozwala nam bezwarunkowo zaprzeczyć autentyczności tych rad, to przecież z drugiej znów strony, język tutaj użyty z całą nieogłędnością bardziej na pamflet zakrawa, a którego bardzo prawdopodobnie przeciwnicy jego użyć mogli. Rażąca jest także ta okoliczność, że rady które według Bielskiego, Kallimach udzielił był, nie są zamieszczone w tych artykułach.

Szczęściem było dla Kallimacha że nie żył już w czasie gdy wyprawa wołoska przyjęła obrót tak fatalny dla Polski. Bo wówczas dopiero cała nienawisć długo wstrzymywana, groźnie wybuchnąć mogła, teraz zaś nad grobem jego była już bezsilną. Śmierć zaoszczędziła mu dużo przeciwności, które inaczej nieuniknionemi były. Nie ulega jednak wątpliwości, iż zarzuty, któremi potem pamięć jego obrzucono, byłyby łagodniej przebrzmiały, gdyby nie łączono tej wyprawy z planami polityki wewnętrznej, jak to wskazał sam jęj twórca.

Kallimach umarł 1 listopada 1496 roku, z zarazy, która w zimie tegoż roku przyszła z Węgier i Szląska, i rozszerzyła się w Polsce. Król ulubieńca swojego o ile mógł odznaczał; jeżeli to prawda jest, że mimo iż był cudzoziemcem, zrobił go starostą gostyńskim, to jedna już ta okoliczność tłumaczy nam ową niechęć i zawiść szlachty polskiej względem niego. W skutek swego stanowiska, Kallimach opływał w dostatki, bogactwa, i otoczył się owym pełnym wytwornego gustu, przepychem ówczesnej epoki. Naturalną jest rzeczą, że u takiego człowieka księgozbiór był niezbędnym. Ale w 1487 roku miał on nie-

szczęście, że cały dom jego z całą biblioteką spłonął. Benedictus Brognolus z Werony, dowiedziawszy się o tém nieszczęściu od wspólnego przyjaciela Antoniego Albertinusa, a potem z listu samegoż Kallimacha pośpieszył z przesłaniem mu kilku druków weneckich, gdyż ta strata przyjaciela niepowetowaną była, a wszystko inne król łaskawie łatwo mu wynagrodzi. Z drugiej znów strony Marsilius Ficinus któremu także Kallimach uskarżał się nad swém nieszczęściem, pocieszał go w szczególny sposób, podług swych nowoplatonicznych wyobrażeń: Orfeusz wyśpiewał że z czterech żywiołów ogień jest najpotężniejszym i wszystkie inne rzeczy zamienić się weń muszą. Że zaś wszystko temu losowi jest podległe, to i boleść jego nad tą stratą ustać musi. „Światła szukałeś w księgach; patrz światłem stały się twe księgi. Przez ogień księgi pełne mądrości są w niebo wzięte, tak jak odwrotnie Prometeusz ogniem z nieba mądrość hartuje. Lecz co chcesz ci przez to wyrazić? Że więcej po śmierci jak podczas życia świecić będziesz.“ Przed samą śmiercią, Kallimach zebrał był nowy księgozbiór. Wizerunek jego, na pięknie zachowanym grobowcu przedstawia go nam siedzącego wśród swych książek, zajętego czytaniem i pisanem.

W testamencie swoim, który jak się zdaje w 1496 roku zrobionym został, przekazywał on swoją bibliotekę, powóz i cztery konie bratu królewskiemu, kardynałowi Fryderykowi, samemu zaś królowi zapisał 4000 czerwonych złotych. W. Ks. Aleksandrowi suknie swoje a Zygmuntowi wszystkie sprzęty, oprócz puharu i czaszy, które zostawił konsulom miasta Krakowa; dla Collegium majus uniwersytetu zapisał srebrną miednicę z nalewką wartości przynajmniej sto złotych, pod warunkiem jednak żeby nigdy zastawione nie były. Sto guldenów które temuż Collegium zapisał, użyte były na naprawę domu obok kościoła św. Anny. Spadkobiercami swemi mianował Kallimach synów swojego brata Franciszka, a syn drugiego brata miał otrzymać 2000 dukatów. Wykonawcami testamentu byli Jakób Mirica, notaryusz i kanclerz konsulów krakowskich, pewien Jakób Chosti i własny jego notaryusz Jan, który potem wstąpił do służby króla. Temu ostatniemu polecił on spalić wszystkie swe dzieła które dotąd wydanemi nie były; w czém też wola jego spełniona była.

Pogrzeb Kallimacha opisał szlachcic florencki imieniem Ottaviano di Guccio de Calvani w liście do Lattanzia Tedaldi. „Przy obchodzie pogrzebowym, powiada on tutaj, zebrane było całe duchowieństwo, między tém biskupów czternastu. Ciało złożone na marach odziane było w materyalną suknię czerwoną, podbitą najpiękniejszym futrem sobolowym. U nóg stał krucyfix, a z boku leżało kilka książek. Obok karawanu postępowała służba, podług naszego zwyczaju ubrana w szaty sukienne, w liczbie dwunastu. Dalej szli Messer Mathias (Drzewicki), który dotąd był jego uczniem a teraz sekretarz królewski i wice-kanclerz państwa, dalej wszyscy doktorowie wszystkich fakultetów, rektor uniwersytetu, wszystka szlachta, która znajdowała

się w mieście, ogromna liczba uczniów (do 15000), wreszcie niezmierna moc ludu. Pochowany został (w kościele dominikańskim), obok grobu Ainolfa Tedaldi, a jego wykonawcy testamentowi położyli nagrobek z brązu, na którym było jego wyobrażenie naturalnej wielkości, z napisem prozą, a na grobie na tablicy malowanej również wyobrażony był Kallimach klęczący z dzieciąciem przed Najświętszą Panną, także naturalnej wielkości z napisem wierszami, które ułożył Bernardino Galli z Zary, od lat ośmiu w tym kraju przebywający a obecnie w służbie u kardynała zostający. Umarł on tak po chrześcijańsku jak mało ludzi naszego czasu, przyjął św. Sakramenta z taką pobożnością i tak przykładowie, z tak słodkimi wyrazami i takimi łzami, że wszystkich do łez rozczulił, i śmierć jego nieodzwołaną była stratą dla państwa i jego przyjaciół.“

Z powyżej wspomnionego grobowca, zachowała się tylko tablica brązowa z napisem w prozie. Jest on tu przedstawiony przy pulpicie do czytania w swój bibliotece siedzący, a w rękę trzyma dyplom jako oznakę swego sekretaryatu. Tablica ta pierwotnie na ziemi leżała, lecz prawdopodobnie aby ją od zniszczenia ochronić, wprawiona została w ścianie. Pierwój znajdowała się w kaplicy Różańcowej, lecz po spaleniu kościoła wmurowaną została na chórze. Druga część grobowca z napisem wierszami, zaginać musiała.

III.

Ściśle z opisanymi kolejami życia naszego autora połączone są wszystkie jego pisma. Cała literacka działalność Kallimacha rozdrabnia się w szeregu monografi, które w ścisłym będąc związku ze zmiennymi losami ich autora, przez nie także wywołane były. Tak z pism jego prozą najwcześniejsze: *Życie Grzegorza z Sanoka*, powstało z czysto osobistych pobudek. Ciepły pełen życia obraz jest Zbigniewa Oleśnickiego przypisany młodszemu, wówczas już biskupowi władysławskiemu. Ze z drugiej znów strony w piśmie tém Grzegórz z Sanoka, jako żyjący jest wspominany, przeto biografia ta napisana być musiała między 1473 i 1477 latami, najprawdopodobniej pod koniec tego okresu, gdyż jak wnioskować można, Kallimach przez dedykację pisma tego, które stosowniej jeszcze samemu Grzegorzowi przypisane być mogło, miał na celu zapewnienie sobie nowego opiekuna. „Tobie przeznaczyłem to pismo, mówi on tutaj, ażebyś z niego mógł wymiarkować, że łaską swoją obdarzyłeś wdzięcznego człowieka, który choć w ten sposób, jak też i w kaźden inny, pragnie wyrazić ci swoją wdzięczność.“

W rzeczy samėj wypełnił Kallimach swoje przyrzeczenie, gdyż w *Życiu kardynała Zbigniewa* pośrednio hołd oddawał synowcowi, który teraz właśnie (1480), na arcybiskupa gnieźnińskiego był wyniesiony. Już w memoriale z 1479 roku, Kallimach prosi biskupa o przysłanie mu materyałów do życia kardynała, ażeby rozpoczęte dzieło dalej

prowadzić, gdyż niedokładne i głupie ma notaty. To jednak o co prosił przysłać mu nie było, lub też żadnej nie miało wartości, bo ze wszystkich pism naszego autora, jakie znamy, jest ono najstarsze; błąka się on tutaj tak jak Enea Silvio a jeszcze bardziej Erasmus Stalla w wysledzaniu pierwotnych dziejów ludów północnych. To wszystko żadnego nie przedstawia zajęcia, pod tym chyba względem tylko, że wykazuje wielką znajomość pisarzy starożytnych, a w szczególności Herodota, którego w łacińskim tłumaczeniu Valli użytkować musiał. Od scytyjskiego króla, imieniem Deombrotus wyprowadza on rodzinę Dembno, wiadomo zaś iż tego herbu był Oleśnicki. Przechodząc już do prawdziwszej historii polskiej, zupełnie mylnie podaje wiadomości; opowiada bowiem o wielkim napadzie Tatarów „przed 400 laty” i innem znów wtargnięciu Tatarów za czasów cesarza Lotaryusza III! Podczas gdy Długosz pod rokiem 1259 opowiada o zdradzieckim zamordowaniu Piotra z Krampy, który układał się z Tatarami, Kallimach opisawszy wzięcie go do niewoli przez hana tatarskiego Sitalesa, każe mu lat kilka przebyć na jego dworze, a w powrocie do Polski umierać z febrы. Brata Piotra, nazywa Długosz Zbigniewem, Kallimach Karolem. Opowiadając o wojennym czynie Zbigniewa Oleśnickiego (starszego) w Wałachii, Długosz notuje go pod r. 1359, autor nasz przedstawia pierwotne dzieje tego kraju, również pełne kłamstw i bajek. Stusznie dziwić się tu trzeba ze śmiałości z jaką Kallimach blaskiem chwały otacza fakt nie nader chlubny dla Zbigniewa dziada kardynała. To zaś tém więcej zadziwiającem jest, że w biografii do której teraz przechodzi, Długosza jako źródło swe wykazuje. Jak się wyżej powiedziało, historia żadnej ztąd korzyści odnieść nie może, w każdym jednak razie pismo to ważnym jest przyczynkiem do charakterystyki naszego autora.

Wiersz do św. Stanisława, dla którego Kallimach zużytkował legendę przekazaną przez Długosza, opisany wierszem safickim, był także przypisany młodszemu Zbigniewowi Oleśnickiemu. Przeprowadzenie tematu nie jest bez wdzięku; poeta podnosi najważniejsze tylko chwile z życia i cudów męczennika i kończy je modlitwą. Treść kościelnochrześcijańska, odziana tu jest w formę starożytną.

Jeżeli „wypnanie” to jest czas w którym Kallimach przebywał u Grzegorza z Sanoka jako pierwszą, a „niewolę,” jak sam się wyraża (t. j. czas gdy kierował wychowaniem królewiczów i zostawał pod opieką młodszego Zbigniewa), jako drugą fazę jego pobytu w Polsce określić można, to trzecim okresem był czas, w którym opieką go swoją otaczał wysoko wykształcony Piotr z Bnina, który pierwój był biskupem przemyskim, a potem władysławskim i w ostatnich latach panowania Kazimierza wyrugował wpływy Zbigniewa. Ze zwykłą sobie przezornością, zwrócił się Kallimach ku nowo wschodzącemu słońcu. Maciej Drzewiecki w dedykacji elegii swojego mistrza Kallimacha, Wawrzyńcowi Medyceuszowi przedstawia go wraz z Piotrem z Bnina jako dwóch najszcześliwszych ludzi, i dodaje że często Kallimach szu-

kał w jego towarzystwie wypoczynku po pracach przy sprawach państwa. Piotr z Bnina przez Kallimacha przed królem i papieżem był wystawiany; przypisywał on mu różne wiersze swoje i wreszcie wystawił mu wspaniały grobowiec z czerwonego marmuru w kościele włocławskim. Z namowy biskupa napisał Kallimach najważniejsze swe dzieło, które najwięcej mu sławy przyniosło, trzy księgi o Władysławie III królu Polski i Węgier.

Piotr z Bnina, opowiada Kallimach, rozmawiał pewnego razu z królewiczem Kazimierzem o czynach jego stryja Władysława, który poległ pod Warną i obaj zachęcali Kallimacha, ażeby historję jego w osobnym dziele spisał. Z ich tedy namowy, wziął się Kallimach do tój pracy, a że królewicz zmarł rychło potem, przypisał ją tedy ojcowi jego a bratu Władysława królowi Kazimierzowi. Ze zaś królewicz Kazimierz umarł dnia 4 marca 1484 roku, a z drugiej znów strony Kallimach w mowie do papieża Innocentego VIII, mianej na początku 1490 roku, wspomina już to dzieło, zatem historia Władysława III-go musiała być napisaną między 1484 i 1490 latami. Ściślej jeszcze można oznaczyć epokę jej napisania z listu Broguola do Kallimacha dnia 15 września 1488 roku. Kallimach bowiem zawiadomił był przyjaciela, że podczas pożaru, który zniszczył całą jego bibliotekę, między innymi i „Historja” jego spaliła się. Żartem zapewne to donosił, gdyż w dziele tém nie brakuje. Sposób jednak w jaki Broguolo wyraża się o nim w odpowiedzi na list Kallimacha, nie pozwala wątpić iż była tu mowa o historii Władysława III.

Przypisując swe dzieło królowi, Kallimach z pięknym darem chciał wystąpić. I rzeczywiście dzieło to nadzwyczaj pięknie jest napisane. Treść jego przypomina odpowiednie ustępy z Długosza. To podobieństwo zachodzące w wielu miejscach między obu pisarzami, przypisaćby można wspólnym źródłom, jak np. dziełu Grzegorza z Sanoka o powołaniu Władysława na tron węgierski i jego wyprawach przeciwko Turkom. Przy bliższem jednakże porównaniu dojść się musi do przekonania, że Kallimach szczególnież w obu pierwszych księgach, posiłkował się Długoszem. Obraz jednak, który przedstawia pod trojakim względem różni się od tamtego. Jako humanista, formę wyżej prawie stawiał od treści, Kallimach usiłuje istniejące już dzieło przybrać w nową formę wykształconą na wielkich wzorach klassycznych. W skutek więc tego, płyną długie, piękne mowy, które tam nawet, gdzie odpowiadają takimże u Długosza, znacznie jednak oddalają się od oryginału. Powtóre, przechodzi nieraz Kallimach Długosza w treści. Ustępy w których to ma miejsce, najrzadsze są w obu pierwszych księgach, dlatego iż w nich ani Grzegorz z Sanoka, ani Lesco Bobricius, wuj Fanii nie występują. Wreszcie całość w skutek tego, iż Grzegorz do obrazu jest wprowadzony, z odmiennego stanowiska jest skreślona. Długosz w ciągu panowania Władysława raz tylko nazywa Grzegorza z Sanoka; wymienia go między temi, którzy uszli po bitwie pod Warną. To tłumaczy skromne stanowisko, jakie wówczas zajął biskup.

Przeciwnie Kallimach daje Grzegorzowi miejsce, jakie u Długosza ma zaledwie Zbigniew. Ba większe nawet! Między towarzyszącymi królowi podczas wyprawy węgierskiej, u Długosza stoi najprzód Zbigniew; Kallimach wymienia drugie nazwisko, zamilcza o biskupie krakowskim, lecz za to stawia Grzegorza. Tę Aposiopesis za traf przypadkowy uważać nie można, jeśli na uwagę weźmiemy, że Zbigniew sprzeciwiał się później nominacji Grzegorza na arcybiskupa lwowskiego. Kosztem Zbigniewa Kallimach pragnie uczcić Grzegorza. Gdy młody król w wyprawie tej przybył do Kosmark, w radzie jego były głosy namawiające do powrotu. Ale według Długosza Zbigniew i Sędziwój Ostrobróg zamiar ten odradzili. Kallimach na pierwszym miejscu stawia tu Jana z Jarosława i Grzegorza z Sanoka. Podług Długosza, po koronacji Władysława, Zbigniew powraca do kraju ażeby zawiadomić panów polskich o dotychczasowym przebiegu sprawy węgierskiej i żeby z nimi naradzić się o posiłkach. Tutaj także u Kallimacha na miejscu Zbigniewa występuje Grzegorz. Trzecia księga w której jest mowa o pokoju w Szegedynie i o drugiej wojnie tureckiej, więcej jeszcze różni się od Długosza, jak obie pierwsze.

W ogóle dzieło to polega głównie na Długoszu, dla pewnych jednak osobistych względów, autor posiłkował się niemniej także, nie doszłą do nas pracą Grzegorza z Sanoka. Iżby jednak dzieło Kallimacha literalnie było utworem Grzegorza, ze zmienionym tylko tytułem i nazwiskiem autora, jak w ostatnich czasach przypuścić nie wachano się, bezzasadnym jest domysłem. Kallimacha podania przyjęte były w dekadach Bonfiniusa, z kąd w wielu późniejszych opracowaniach miejsce znalazły.

Z dzieła opata Trithemiusa o pisarzach kościelnych, które jak sam wyraźnie powiada, napisane było w 1490 roku, bliżej określić możemy czas powstania innego pisma Kallimacha dotyczącego dziejów węgierskich. Jest to jego *Attila*, wspomniane właśnie przez Trithemiusa. Współcześni bardzo wysoko cenili to pismo. My zdania tego dzieła nie możemy. Więcej bowiem niż w biografii Oleśnickiego Kallimach gubi się tutaj w etnograficznych kombinacjach, których rozstrzygnięcie w owym czasie przy niedostatecznych środkach niemożliwem jeszcze było.

Z roku 1490 pochodzi *Mowa do papieża Innocentego VIII*, o której powyżej podawaliśmy szczegóły. Między 1487 i 1493 latami powstało pismo: „O usiłowaniach Wenecyan iżby Persów i Tatarów przeciw Turkom poruszyć.” Powód do napisania tego dziełka, dała następująca okoliczność, którą sam Kallimach opowiada: „Gdy niedawno w ogrodzie Jana Mirica zeszlśmy się z Mikołajem Mergusem i Jakóbbem z Boxicza (?) dwoma uczonemi mężami i czytaliśmy historię wenecką Saballikusa, dziwiliśmy się, że o Persach bardzo mało a o Tatarach nic zupełnie nie wspomniak; wiedzieliśmy zaś, że Wenecya nieraz przez postów swych króla polskiego zjednać pragnęła dla swych planów, ażeby oba te ludy do wojny z Turkami pobudzić, nie mogliśmy

więc pojąć dlaczego o nich najmniejszej nie znaleźliśmy wzmianki; a szczegóły tych usiłowań, zajmując czytelników swoją nowością, w odrębnym świetle rzecz całą wystawiłyby. Wtedy więc postanowiliśmy oddzielnie przedstawić w jaki sposób Wenecyanie układali się z temi ludami, lecz w ten sposób iżby nieobrazić tego, kto rzecz tę nie uważał godną swojego dzieła i tak jak to często ma miejsce, że część pewna w oddzielnej książce przedstawioną i wydaną bywa." Po pewnym czasie Kallimach tém chętniej przyjął na siebie to zadanie, chodziło tu bowiem o sławę miasta w którym rodzili się jego przodkowie.

Pomiędzy współczesnemi znakomitemi ludźmi, z któremi Kallimach chciał wejść w stosunki, znajdował się także Jan IV Roth, biskup wrocławski (1482—1506 r.), który równie jak poprzednik jego Rudolf piérwój był biskupem Lewantu, a uczeń Wawrzyńca Valli, ztąd gorliwy zwolennik humanizmu. Do niego więc pisał Kallimach w 1495 roku z Torunia, a piérwój jeszcze z Tarnowa w 1492 r.; listy te dotąd przechowały się. Zawily cokolwiek drugi list zdaje się dotyczyć sporu biskupa z proboszczem katedralnym głogowskim Opiz Colo. List zaś pod datą 25 marca 1492 r. pisał przesyłając biskupowi pismo, w którym „o sposobie rozpoczęcia wojny z Turkami jak również o możliwości szczęśliwego jój zakończenia," była mowa; to więc pismo być musiało „O usiłowaniach Wenecyan i t. d." Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, to napisaném być mogło między 1487 i 1492 latami.

Kallimach czytał to dzieło między innemi Piotrowi z Bnina, jak téż ten ostatni opowiadał Maciejowi Drzewieckiemu, gdyż ten z polecenia króla Jana Alberta, wkrótce po jego wstąpieniu na tron, przybył do biskupa aby zasięgnąć jego rady względem zamierzonego odnowienia pokoju z Turkami. Drzewiecki zastał biskupa czytającego kronikę Wincentego Kadłubka. To dało powód do rozmowy o wartości téj kroniki i w ogóle o zadaniu dziejopisarstwa. „Właśnie nad tém zastanawiałem się, zauważył biskup, że nie każdy brać się może do pisanja historyi i że tylko ludzie w dojrzałym wieku, dobrych zasad, szlachetnego sposobu myślenia, mający rozum i długoletnie doświadczenie w sprawowaniu interesów państwa, zawodowi temu podołać mogą. Wiém wprawdzie że rozum i przenikliwość w każdym stanie spotkać można, ale przekonany także jestem że wniosłe umysły, które wszystko objąć mogą, co wolne Rzeczpospolita lub monarchie założyły, powiększyły, ozdobiły i utrzymały, tylko w takich okolicznościach rozwinąć się mogły, które odpowiednie są wielkości literackiego powołania, i że poznanie i wynalezienie tego co państwu użyteczném i korzystném być może, nie z ławek szkolnych i ksiązek, lecz z życia tylko i doświadczenia nauczyć się można. Dowodem tego jest dla mnie właśnie Wincenty. On bowiem choć z wolnego lecz ubogiego domu pochodził i w nim był wychowany, nigdy więc nie mógł swych myśli i swego ducha wynieść po nad zwykłe i zwyczajne rzeczy i ztąd zawsze drobnostkami życia codziennego jest zaprzątnięty. Dlatego także wszystko cokolwiek jest wyższym od tego do czego przywykł, uważa

za niezwykle wielkie, podziwia i odpowiednio maluje, prawdziwą zaś wielkość, iż jest dlań niezwykła, ani pojąć ani przedstawić nie może. Dla tego także opowiadanie jego jak w mgle błędzi, jak ślepy zawadza o rzecz swoją lub téż upada bez siły. A że z doświadczonej miłości stanu, w senacie nie rozprawił, lecz w domu podług pewnej formuły rzecz przedstawia, w opowiadaniu jego albo niema, albo jak są, to niezręczne tylko objaśnienia i błędzi w samym już założeniu opowiadania lub téż wpada w błędne sprzeczności. Tak samo rzecz się ma z mowami, dla których materyą nie bierze z tego co piérwój stało się i co się mówiko, lecz zapomina o niój. Dlatego więc nie może na długo przywiązać uwagi swego czytelnika, a mniój jeszcze wpływać na niego, i książka jego jest bez życia i bez barwy, bez téj porywającej siły zdarzeń i opowiadania, przezktóre historia tak bardzo ducha podnosi, wzbudzając w nas przerażenie lub litość, boleść lub smutek. Jeżeli rzeczywiście nie było większej mądrości w radach, wyższej odwagi w niebezpieczeństwach, wytrwałości w utrapieniach lub gorliwości we wszystkiém; jeżeli państwo nie myślało o powiększeniu swój sławy przez lepsze środki i rozporządzenia, jak te które przedstawia nam Wincenty, to zaprawdę musiałbym się wstydzić za własny mój naród." Piotr z Bnina opowiada dalej swemu gościowi, że te uwagi dały mu powód zachęcać Kallimacha, aby się podjął tego zadania, ten ostatni bowiem czytał mu niedawno „świeżo wydane swe dzieło: O usiłowniach Weneccyan i t. d." W pracy téj, uważa Piotr z Bnina, Kallimach okazał piérwsze zasady doświadczonego i znającego rzecz swą pisarza, dostateczny dając dowód swego talentu i wymowy, chociaż owe usiłowania za wcześnie były. Gdy jednak większy i bogatszej treści przedmiot obierze, spełni nadzieje na nim pokładane. Gdyż wielkość przedmiotu podnosi pisarza, a świetność i znaczenie inów i czynów pobudzają ducha. Na piérwsze nawowy Piotra, Kallimach nie dał stanowczej odpowiedzi, teraz gdy Drzewiecki powracał do króla, Piotr z Bnina prosił go aby znowu Kallimachowi rzecz tę przedstawił. Powróciwszy więc na dwór Drzewiecki mówił ze swym mistrzem o życzeniu Piotra, a zarazem bliżej poznać nieznane mu dotąd pismo Kallimacha. Ażeby opiekuna swego nie obrazić, Kallimach odmownie nie odpowiedział, lecz prosił aby w téj trudnej rzeczy której od niego wymagano, miano wzgląd na niedostatek jego zdolności i wiadomości. Uczniowi zaś swemu Drzewieckiemu chętnie udzielił swe pismo, ten znowu ze swój strony przestał je weneckiemu senatorowi Antoniemu Maurocenus. Rozmowa ta Piotra z Bnina z Drzewieckim musiała mieć miejsce na początku 1493 r., wówczas bowiem posłowie tureccy znajdowali się w Krakowie dla zamierzonego odnowienia pokoju. Godnym uwagi jest, iż w rozmowie téj wzmianki nie zrobiono o olbrzymim dziele Długosza, rozmawiającym bowiem obcém być nie mogło i odpowiadało potrzebom, które kronika Wincentego wypełnić nie była w stanie; dzieło zaś do którego Piotr z Bnina zachęcał Kallimacha, nie było zapewne dokonane.

Dla uzupełnienia pracy naszej o Kallimachu, pozostaje nam jeszcze rozpatrzeć jego poetyczne utwory, które należą do belletrystyki owych czasów, i wyjaśniają pod jednym choć względem humanistyczny kierunek ówczesnej oświaty w Polsce. Wiersze Kallimacha z razu rozrzucone długi czas w odpisach, tylko uczniom jego lub przyjaciółom były znane. O rękopiśmie zawierającym mały zbiorek jego wierszy a spisany na wyspie Chios, powyżej już mówiliśmy. Później sam Kallimach zebrał pewną ilość swoich wierszy i zbiór ten posłał Florenczykowi Ainolfowi Tedaldi, którego „bratem“ nazywa. Są to jak sam mówił, Elegie w ciągu bieżącego roku do Fannii Swentochy napisane. Zbiór ten przechował się dotąd w dwóch rękopismach; z tych jeden znajduje się w bibliotece Ricardi we Florencyi, a drugi w bibliotece watykańskiej; pierwszy na cienkim pergaminie bardzo starannie spisany, z nadzwyczaj ozdobną kartą tytułową, musi być oryginałem, pisany wprawdzie nie przez Kallimacha, lecz zapewne z jego polecenia.

Rękopism florencki zawiera 66 drobnych poezyi, elegie, epigramata, ody, pisane heksametrem dystychonem lub saficckim wierszem. Większa z nich część odnosi się do Fannii Swentochy (Fanniola, Anna Silvia), która go pocieszała w smutnych chwilach po najpierwszém przybyciu jego do Polski. Między wierszami temi, niektóre odznaczają się niezwykłą pięknoscia, jak np. w wierszu, w którym ją porównywa do bogini świata całego, również pieśni o wieńcu z kwiatów, którym Fannii czoło ozdobił, lub prośba do snu, ażeby na znużony jego powieki stąpił, i przedstawił mu w sennych marzeniach ukochany przedmiot, lub też wiersz do Fannii gdy chorą była. Przedewszystkiém jednak wspomnieć należy o wierszu, w którym Kallimach opowiada swęj kochance koleje swych losów, które wreszcie rzuciły go w jej śnieżne ramiona. Również przyjemnie odmalował pożegnanie z Fannią, która łzami się zalewała gdy jej szeptał „bądź zdrowa!“ Jeden z następujących w stanie cudzoziemca, to przecież ani wysokie wieżycy, ani Wawel przypominający Kapitol, ani zamek, ani szeregi domów, nic nie może wygnąć z serca jego wspomnień o wiejskich rozkoszach, które Fannii zawdzięczał. Później duch jego ucieka przed zgiełkiem stolicy, i odłączony od ciała, odwiedza wioskę ulubionęj dziewczyny.

Wszystko są to uczucia, które budziła w nim miłość dla Fannii; ich obraz świadczy o wewnętrznej prawdzie. Lecz z innego stanowiska spojrzmy na te elegie. Czy rzeczywiście wierzyć powinniśmy że owa Fania, której wdzięki i powaby w tyłu rymach uwielbiane były, upadła była w otchłań występku! Opierając się na dwóch ustępach, znajdujących się tutaj, mniemano dotychczas iż była karczmarką. W samej rzeczy spotykają się tu szczegóły wprowadzające na myśl tę, gdy poeta mówi że Fania rozdawała pocałunki darmo, a wino za pieniądze; w drugim znów miejscu, nazwana jest przynętą, zwabiającą gości szynkowych, w innych wreszcie pieśniach jeszcze cięższe

znajdują się oskarżenia. Ale niech nam wolno będzie odrzucić jako poetyczne tylko bujania, tego rodzaju zarzuty, a na innych opierając się podstawach, podać tu objaśnienie, które dałoby się także zastosować do znanych stosunków miłośnych słynnego Konrada Celtera z Hasiliną, oraz i innych tego rodzaju opiewanych przez humanistów. W dwojaki sposób powinniśmy przedstawić sobie Fannię: w niektórych elegiach żywo odmalowana jest jej postać powabna i skromna; w innych jest typem, któremu poeta dodać musiał silniejszej barwy i własności jakich w rzeczywistości nie miała. A że o niewierność, bo nawet dzieciobójstwo jest oskarżoną, to trudniej wierzyć temu w owych czasach naiwnych. Poeta przez to znalazł tylko sposób aby treść swych pieśni erotycznych rozszerzyć poza szczupłe koło codziennych zdarzeń. Ze dużo w tém wszystkiém wesołego humoru być musiało, dowodzi udział, jaki w tém wszystkiém wziął Grzegórz z Sanoka.

Do Krakowa wprowadzają nas pieśni pisane do owego Jana Mirica, w którego ogrodzie czytał Kallimach historię wenecką Sabellikusa. Dom jego jak pieśń jedna opisuje, tak był pięknym, że ptak w nim zamknięty, mógłby o lesie zapomnieć, a wszedłszy weń, chciałoby się być Filomeną, w więzieniu u właściciela. Znajdują się następnie epitafy dla różnych osób, pieśń do Długosza, epitaphium dla Anny córki Jana ze znakomitego domu polskiego herbu Lilije a żony Piotra z Fulsztyna, a także dla Jana z Tęczyna, kasztelana krakowskiego. W ten sposób Kallimach pochlebne rymy składając o zmarłych, chciał zjednać sobie łaski żyjących.

Zbiór ten powstał o ile się zdaje wkrótce po powołaniu Władysława na tron czeski, jak świadczy wiersz jeden dotyczący tego zdarzenia. W każdym razie żył jeszcze Grzegórz z Sanoka, o którym w dedykacji dla Ainolfa Tedaldi w gorących wyrazach poeta przemawia.

Największe podobieństwo, zwłaszcza pod względem następstwa pieśni, przedstawia rękopism watykański z rękopismem, znajdującym się w Parmie; nie idzie jednak zatém aby jeden z drugiego był przepisany, co z tego głównie okazuje się, że w tym ostatnim znajduje się wiersz (nr. 23), którego brakuje w rękopiśmie rzymskim. Również od rękopismu z biblioteki Ricardi w niewielu tylko punktach różni się rękopism watykański, gdyż zachowując ten sam porządek pieśni, niektóre znajdujące się w tamtym opuszcza, a w tamtym opuszczone dodaje. Tak np. brakuje tu kilka epitafów i wiersza do Jana Mirica. Przy końcu rękopismu watykańskiego znajduje się brakujący w innych rękopismach wiersz do Grzegorza z Sanoka, zachęcający go aby opuścił wiejskie mieszkanie i powrócił do miasta (Lwowa), gdyż brzydka pora jego wiekowi jest szkodliwą, a gmina chrześcijańska przybycia jego niecierpliwie oczekuje. Miejsce, gdzie wówczas przebywał Grzegórz, był zapewne Dunajów, zkąd, jak Kallimach w jego biografii wspomina, przybywał do Lwowa tylko na większe uroczystości, lub żeby

ceremonie odprawiać. Zbiór ten zawiera 63 kawałków i ma napis: „Fannietum.”

Cokolwiek później przyjechał do Polski Bernardino Gallo z Zary, ten sam który potem ułożył epitaf dla Kallimacha, człowiek wysoko wykształcony, a który zwiedzał kraje północne, ażeby poznać życie i obyczaje tych okolic, a głównie aby wysledzić związek zachodzący między Słowianami tych krajów a południowymi ich pobratymcami. W Polsce będąc odwiedził on ucznia Kallimacha, Macieja Drzewieckiego i zachęcił go do zbierania elegii jego mistrza. Drzewiecki spełnił to zlecenie. Gdy Kallimach powrócił do Polski po nieszczęśliwej wyprawie Jana Alberta (1491) i gdy u biskupa władysławskiego wypożyczynu szukał, Drzewiecki zwrócił się do niego z prośbą ażeby zajął się przejrzeniem swych elegii, a przypominając sobie czasy swęj młodości, odpędził wspomnieniami tego co w Węgrzech miało miejsce. Wprawdzie mniemał Kallimach że te pieśni niedobre czasy przypominały, i że dla niego mniej znaczyły słowa Epikura: przyjemnym niech będzie samo wspomnienie przyjemnych zdarzeń, jak zdanie Virgila: „Przyjaciele pamiętni bądźmy cierpień naszych.“ To też nie było to jego zamiarem, ażeby to co w Węgrzech dopiero doświadczył, wygnąć z pamięci; przeciwnie uważał on te wypadki jako godne być przekazanemi na piśmie potomności. „Gdyż, dodawał on, wiele tam zgrzeszono z chciwością przeciwko prawom rozumu i przekonaniu innych narodów, gardząc pobożnością i prawem natury.“ Ale obszernie o tém wtedy tylko miał rozprawiać, gdy w historii swęj dojdzie do tęg części panowania Jana Alberta. Mimo tych rozmyślań, przyrzekł Kallimach żadaną pracę przedsiębrać. Rezultatem dość długieg pracy był zbiór znajdujący się także w bibliotece watykańskiej a przypisany przez Drzewieckiego Wawrzyńcowi Medyceuszowi. Dedykacja jest bez daty, lecz bez wątpienia przypada na 1491—92 lata, gdyż właśnie Jan Albert powrócił był z Węgier, a Wawrzyniec Medyceusz zapewne najstarszy tego imienia, zmarł 8 kwietnia 1492 roku.

W zbiorze tym, powracają pieśni ze zbioru przeznaczonego dla Ainolfa Tedaldi, z małemi zmianami, ograniczającemi się do pojedynczych tylko słów lub wierszy. Następnie zmieniają się dedykacje pojedynczych pieśni, gdyż być może, ci dla których pierwotnie pisane były, już nie żyli. albo wedle ówczesnego zwyczaju, jedno i toż samo dzieło jednocześnie różnym osobom było przypisane. A może przestrzeń czasu, zmieniając położenie różnych osób, do zmian tych autora zmusiła. Szczególnieg różnica ta zachodzi w jedneg pieśni z tego zbioru do Jana Mirica. „Podczas gdy ty, zaczyna on tutaj, śledzites lot orła białego (Polski) w obce kraje i patrzałeś na wielkich wodzów zbrojących się na wyprawę, podczas gdy syn (Jan Alberta), chwytając berło swych przodków, mnie dawna miłość z mocą trzymała przy sobie i zamiast śledzić większe rzeczy zmuszała moje muzy, aby bezustannie myślały o mojeg pani i jég sławę głosiły. Ale gdy los mój nieprzyjazny złagodnym będzie i czas spokoju powróci, wówczas zobaczysz z jak szczt-

nym zapałem opiewać będę i kraj i ludzi i szlachtę! Jak bogowie z nieba, Kazimierz i syn jego będą mi tkwić przed oczyma, a czyny ich dostarczą mi przedmiot do hymnów pochwalnych. Więc będę opowiadał dzieła które Albert dokonał pierwój nim do lat doszedł, będę przedstawiać wdzięki młodzieńca, którego skronie zdobią korony państw sławnych współubiegających się o niego. Wyprawę jego porównywać będę z pochodem Bachusa, z Herkulesem, który przez swe walki dowiódł że jest prawdziwym synem Jupitera, i z Pyrrhusem który śmierć swego ojca w chwalebnych walkach „pomścił.“ Kallimach nie wątpi że Kazimirydom uda się pokonać wszystkich zaprzeczających im posiadanie państw do których mieli prawa, i że drogą usianą kwiatami wejdą do Panonii. Pieśń kończy się apostrofą do Germanii aby się nie ważyła walczyć przeciw młodemu królowi. W jednej zaś pieśni z poprzedniego zbioru, miejsce Jana Alberta zajmuje starszy brat jego Władysław, przedmiotem zaś jój jest pochód do Czech, i zamiast do Germanii, znajduje się tu wezwanie do Panonii ażeby przeciwko prawom Władysława oręża nie podnosiła. Ten drugi zbiór powstał pod świeżem wrażeniem węgierskiej wyprawy, która Władysława, obecnie króla Czech i Węgier, postawiła w stanowisku nieprzyjzłem względem Polski. Nie stosowném więc było w z biorze tym pomieszczać pochwalną pieśń dla niego, Kallimach bowiem opiewał teraz brata Władysławowego a razem jego przeciwnika.

Zbiór ten zawiera 164 pieśni, z nowo zamieszczonych wiele jest erotycznój treści, chociaż innego rodzaju większa jest liczba. Zdaje się iż zbiór ten jest późniejszym. Z erotycznych pieśni zasługują na wzmiankę „pocątunek Fannii“ (41), wiersz do Marsa (51), „do tego który szyję Fannii obrzucił gałkami ze śniegu“ (53, 90), i „do śniegu który dotknął szyi Fannii“ (54), śliczny wiersz „do wróbla Fannii“ (56), „do obrazu Fannii“ (64), sześćdziesiąty szósty ze zbioru i wreszcie wiersz „do siebie samego“ (90).

Przy tych możemy umieścić wiersze do Grzegorza z Sanoka. Są one treści żartobliwój (110, 111); jedna z nich, w imieniu Kallimacha do arcybiskupa skierowana, uskarża się, że teraz hołd piękności nie przez pieśni lecz przez złoto zniewalać je może; druga zawiera odpowiedź Grzegorza. Trzecia (112), dotyczy zmyślonych pieśni miłosnych Grzegorza, o których Kallimach mówi w jego biografii. „Mówiłem już, woła poeta, że to żart tylko o nim; Grzegorz ojciec wszelkich bonmots, przedstawia się tylko zakochanym, ale nie zapala go prawdziwy ogień Diany. Zabawia się tylko piórem, daje sobie pozór lekomyślności, i przez zmyślone historye miłosne pragnie rozweselić rzeczywistość. Przekonany jestem, że gdy uwiadomionym będziesz jak wiele zamków, murów, miast, wsi i domów spalonych jest, jak wściekle sroży się wszędzie niszczący pożar, to nie tylko słodkie płomienie miłości ciebie obejmą, lecz opanuje ciebie najsilniejszy.“ Wspomniane tu pożary odnoszą się zapewne do zniszczenia Czerwonej Rusi w skutek napadu Tatarów (1474).

Fannia była nie pierwszą miłością naszego autora, sam zeznaje że poprzedzała ją we Włoszech jakaś „Doris.“ Ostatnią też nie była. W pieśni przypisanéj do Jana Ostroroga opowiada on, że gdy Lachesis odcięła mu ścieżkę do miłości Fanioli, inna dziewczyna serce jego pozyskała. Zdaje się iż Fannia wyszła potem za mąż, przynajmniej we sele jój z „*Museusem*“ w najpiękniejszym wierszu jest opiewane. Ten nowy płomień miłości nazywa poeta Phryne. W wierszu do Kupida, odmalowywa on, jak z silném postanowieniem zamierzał służbę jego opuścić, gdyż teraz państwo wszystkie siły jego zabiera. Jednak piękne oczy Phryne znowu go złapały. Już dawno mówi on w pieśni „do Muz“ śpiewają po wszystkich ulicach i szynkach moje pieśni do Fanioli, a Dryady, Oready i Nimfy zazdroszczą losu wiejskiej Fannii; teraz miejska Drusilla powinna po kolei wystąpić, bo jak tony arfy arkadyjskiego króla przenoszą wszystkie melodye ludzkie, tak Phryne przewyższa Fannię w piękności. Phryne i Drusilla były to nazwy jednej i tój saméj osoby. Wspomina ją jeszcze Kallimach w dedykacyi swéj biografii Grzegorza z Sanoka, przypisanéj młodszemu Zbigniewowi Oleśnickiemu, mówiąc: „Czém Fanniella była dla mnie w mojem wygnaniu, tém jest dla mnie Drusilla w mojem niewolnictwie.“

Że jednak Phryne samo przez się rozumie się że było to imię zmyślane, „była żoną innego“ wybrał więc sobie Kallimach, jak sam powiada Roxanę, za przedmiot swych hołdów. Ztąd wiersze do niéj lub o niéj do późniejszój epoki jego życia należą. Dowiadujemy się że ojciec jój był garncarzem.

Do trzeciéj epoki należą wiersze do Piotra z Bnina oraz w związku z niemi będące do lub o Janie Ritifianusie. Piotr z Bnina nazywany tu jest biskupem władysławskim, którą to godność otrzymał w 1484 r. Pod nazwą Ritifianusa, rozumieć należy członka z zyczliwéj dla niego rodziny z Rytwian „Krwawe wojny, mówi on w jednéj pieśni do niego, grożą ztamtąd, gdzie wieczny pokój (z Prusami) stanął i z nad Dunaju, nie mniej także w skutek Skitów (Tatarów) gniewu.“ „A ty, woła poeta, który dotąd podporą państwa byłeś, w tych terażniejszych niebezpieczeństwach będziesz Camillusem. Późniejszy wiersz zawiera epitaphium zawczasie zmarłego męża. Podług pewnych własności nazwany on tu jest „*Claudus*“ w innych zaś rękopismach biskupem.“ Od śmierci jego, woła poeta, „milczą prawa; on był słupem Północy, i państwa ojcem.“ W ten sam sposób wyraża się o nim w trzech odach do Piotra z Bnina. Jeżeli przyjmie się że to nazwanie jego „biskupem“ jest błędem, to przypuścić można że była tu mowa o Janie z Rytwian, bracie Derstawa, który w rzeczy saméj w historii polskiej owego czasu nieraz występuje i który zmarł w 1480 roku kasztelanem sandomierskim. W tymże zbiorze jest jeszcze wiersz do Jana Ostroroga znakomitego męża stanu, kończy zaś go epitaf dla Macieja z Bnina wojewody poznańskiego, brata Piotra.

Do późniejszych także czasów należą wiersze, które dotyczą Węgiei, jak np. dla królowéj Beatrycy i Macieja Korwina, którzy się pobra-

li w 1476 roku. Tutaj także należą wiersze: „Dyament króla Macieja i Orzeł cesarza“ (150, 151), „Kruk króla Macieja i Orzeł cesarza“ (152), „Dyament, kruk i pierścień króla Macieja“ (153). Podczas pobytu Kallimacha w Wiedniu „po śmierci Macieja“ napisał wiersz „do Lucyny dziewczyny wiedeńskiej“ (39). Zajmującym jest także wiersz do Piotra Garasda (161), z którego dowiadujemy się że Kallimach miał stosunki z arcybiskupem Kalocsa, od którego otrzymał wiadomość o epigramatach Janusa Pannoniusa.

Oprócz wierszy do wielu włoskich przyjaciół, spotykamy tu jeszcze wiersze do krakowskiego przyjaciela Mirica, do N. Mergusa i do lekarza Jakóba Boxicza. Kopista nawet, Fabius Ambustus, który pergaminem, minium i pędzlem się zajmuje, dostał także kilka wierszy.

Wszystkie poezye Kallimacha pisane w duchu czysto humanistycznym. Kosmopolityzm, główna cecha humanizmu, najdokładniej określony w słowach, któremi nasz autor kończy wiersz swój do Głankusa Eneta. „Tylko słabe umysły ograniczają się na własnej tylko ojczyźnie i w miłości rodzinnego miejsca zasklepiają się, gdy tymczasem dla dusz wielkich cała ziemia jest mieszkaniem, a duchy potężne całe niebo napętniają.“

Najpełniejszy zbiór poezyi i listów Kallimacha zawdzięczamy krewnemu i przyjacielowi jego Lactantiusowi Thedaldus, który po śmierci poety wszystkie notatki tegoż, jakie tylko do rąk mu wpadły, własnoręcznie wpisał do znajdującego się dotąd w Bibliotece Barbarini w Rzymie kodeksu. Rozpoczyna się ten kodeks wierszami, których uporządkowanie różni się cokolwiek od dwóch wcześniejszych zbiorów, lecz zgadza się zupełnie z rękopismem Laurenziana. Oba te zbiory mają wiersze brakujące w innych, z których zasługują na wspomnienie: do Mergusa i do Jakóba z Dębna kasztelana krakowskiego. Wreszcie w tymże samym kodeksie Barbarini, znajdują się wiersze w liczbie 159, na dwie księgi rozdzielone. Po nich następuje wiersz do Kallimacha napisany przez brata jego Francesco Pierio Buonaccorsi i drugi takiż wiersz Lorenza Buonincontri z Miniato, dalej listy Kallimacha po większej części po włosku do Lactantiusa Thedalda i innych. Oprócz listów innych osób z późniejszego czasu, znajdujących się w tym zbiorze, a rzucających pożądaną wiadomość o humanizmie w Polsce, przy końcu rękopismu znajduje się czysto teologiczne pismo naszego Kallimacha: „*Homilie*“ przypisane wice-kanclerzowi, zapewne Drzewieckiemu.

W pismach współczesnych humanistów nie rzadko spotkać się zdarzy z inieniem Kallimacha. I tak znajdujemy o nim wspomnienie u Rafaela Volterry i w jednym z epigramatów znanego Jana Antoniego Campanusa, którego Pius II zrobił biskupem najprzód Cotrony a potem Teramo. Wyżej już nadmieniliśmy o Marsiliusie Ficinus. Oprócz jednak owego dość oryginalnego pocieszającego listu po spaleniu się ksiązek Kallimacha, znajdują się jeszcze trzy inne, które tak jak pier-

wsze zawierają żarty, w tonie platońskiej i nowo-platońskiej szkoły. „Kłamiesz—mówi on w jednym z nich—że demon w człowieku mieszkać może, a przecież twe pismo okazuje, że w tobie mieszka demon i to niebiański. Chętnie chciałbym z tobą obszerniej o tém pomówić, ale Plotinus woła mnie. Gdy więc Platonik Plotinus rozprawiać zenną będzie, niechaj Plato jedzie ku tobie i przez mą pracę niech w języku łacińskim z tobą rozmawia.“ Przy liście tym przysyłał Ficinus własny przekład Platona. Z innym znowu listym (1494), posłał Marsilius katalog swych książek i dzieło „*De sole et de lumine*“ w trzech egzemplarzach, aby dwoma drugimi mógł przyjaciół obdarzyć. Lactantius Thedaldus, gorliwy przyjaciel Kallimacha, wylicza podarki jakimi odwdzięczał się Kallimach za te dary: ubranie ze skóry kuny, drugie mniejsze ubranie i miecz, z rękojeścią rogową, podobną do jaspisu, oprócz tego parę trzewików ze scytyjskiej skóry.

Z Angelo Poliziano zamieniał Kallimach listy i podarki. Kallimach przesłał mu być jakąś szkatułkę; tamten odpowiedział przesyłając swego „Rusticus.“

O stosunkach Kallimacha z Wawrzyńcem Medyceuszem wyżej już wspomnieliśmy. Dowiadujemy się przez Lactantia Thedalda, że Kallimach darował mu scytyjskiego niewolnika (Tatara?), mającego lat 12, w scytyjskim ubiorze, z łukiem, kołczanem i strzałami, wraz z małym koniem na którym jeździł.

Dla Ugolina Verinusa przypisane były niektóre wiersze naszego autora, między innymi Epitaphium dla syna jego, lecz nie dla Michała, który o wiele przeżył Kallimacha. Pewnego razu Kallimach przesłał Ugolinowi całą torbę pachnących skór pruskich. Ten zaś przysłał Kallimachowi, a wybornemu poecie, przyjacielowi króla panańskiego „pierwszą księgę swych epigramatów przypisanych Maciejowi Korwinowi.“ Syn zaś jego Michał, posłał mu, jak sam opowiada w liście do Wawrzyńca Medyceusza łacińskie wiersze ojca Carlias. „Kallimach—mówi on—przeczytał je uważnie, poczem dał mi księgę swoich hendekasyłab i epigramatów, które z podziwieniem czytałem. Gdyż nic miłszego i przyjemniejszego nie widziałem i nic podobniejszego do Katalla i Martiala. Zresztą Kallimach jest człowiekiem wielkiego rozumu, a samo spojrzenie na niego wzbudza miłość i szacunek.“

Do czcicieli Kallimacha zaliczyć jeszcze należy poetę Jana Baptysta Cantalyciusa z przydomkiem Valentinus, nauczyciela Ludwika Borgia, który w 1513 r. umarł biskupem Atri i Penna. Onto następujący o Kallimachu napisał epigram:

Barbarzyńcem był, kto z Rzymu Kallimacha wypłoszył,
A on barbarzyńców na Rzymian przerobił.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg).

V.

Washington 15 marca. Otóż znowu wpadł mi w oczy rażący przykład, do jakiego kalectwa dojść może kobieta wtedy, gdy za poszeptem próżności pójdzie ślepo po drodze ekscentrycznej emancypacji i wyłamać się zechce z pod praw, które bądź cobądź, ale z woli Bożej sama natura dla niej ustanowiła.

Kilka dni temu znalazłam się w domu państwa H., ludzi już bardzo nie młodych, którzy przez pamięć patriotyczną na zasługi ś. p. dziada mojego, poniesione w wojnie o niepodległość Stanów-Zjednoczonych, okazują mi wiele przychylności i zdają się mocno mną interesować. Byłam tam w towarzystwie jednej ze znajomych mi pań; w niedługą chwilę po naszym przyjsciu, kiedyśmy właśnie rozpoczęli przyjemną rozmowę, bo sam pan H. człowiek, jak na tutejszą społeczność, wyjątkowo wykształcony, obficie ją podsycał; otworzyły się drzwi i weszła miss Mery Wocker doktor, tak mi ją zaprezentowała gospodyni domu. Ucieszyłam się bardzo, że spotkałam nareszcie miss Wocker, bo od dawna już wiele o niej słyszałam, jako o jednej z najbardziej uczonych kobiet tutejszych, a razem zapalonój Blumerystce. Potrzebowałam jednak chwilę czasu, ażeby się trochę oswoić, tak niezwykle wrażenie zrobił na mnie jój widok. Ubrana była w strój męzki, co przy jój szczupłej figurze i miernym wzroście, wydawało się dziwnie, że tak powiem niedołąźnie, zwłaszcza, gdy się przyłożyły do tego ruchy, przybranój jakiejś brawury i bezżeny, mających nadawać męzką manierę. Nie mogłam zrozumieć, jak przy wykształceniu umysłowém, może się znaleźć taka bez smaku arlekinada. Pod świeżém wrażeniem tego poznania, pisałam parę dni temu, korespondencyę do Gazety Polskiej, a w niej co do słowa zacytowałam całą rozmowę, jaką miałam z miss Wocker; ale całe zachowanie się miss Wocker było tak oryginalne, tak jasno charakteryzujące duch i wyobrażenie, a razem całą śmieszną i niedołążną stronę kobiet, będących pod wpływem szafu emancypacyjnego, że nie mogę ominąć i tutaj niektórych z niego ustępów. Najpierw więc rzuciła mi jak rękawicę wyzwania, pytanie: Czy w Europie kobiety zawsze są jeszcze niewolnicami? Na to starałam się jój wytłumaczyć, że społeczeństwo europejskie zanadto gruntownie jest cywilizowane, ażeby kobieta mogła tam być niewolnicą; że stanowis-

ko kobiety w społeczeństwie jest u nas uważane za równie ważne, jak stanowisko mężczyzny, bo jeżeli on działa w interesie bytu i spraw materialnych swego narodu, to w ręku kobiety cały kierunek moralny pozostaje; a według naszych pojęć, jedno bez drugiego istnieć nie może. Miss Wocker usiłowała przekonać mnie, że kobieta na ten kierunek wpływu wyrzec nie może, jeżeli jest związana krępującymi ją formami. „Nie wierzę, mówiła, ażeby kobieta mogła działać wpływowo tam, gdzie jęj nie wolno publicznie wystąpić ze swoim zdaniem i gdzie prace jęj zamknięte pozostają w ciasnym kółku prywatnego życia.“

Zwykły sofizmat zwolenników emancypacji, który odbierałam przedstawiając, że u nas wcale życie prywatne nie jest uważane za zbyt szczupłe pole dla działalności i wpływów kobiety, bo my życie prywatne uważamy właśnie za podstawę bytu i kierunku społecznego; ustrzedz je od zepsucia, to znaczy, całemu społeczeństwu dać zdrowy kierunek i silny byt. Kobiety wolne od naleciałości nowatorskich, pojmują u nas swoje posłannictwo i chętnie pracują w tym wydziale, który się zgadza z ich słabszą siłą fizyczną i usposobieniem uczuć wewnętrznych. Pan H. poparł silnie moją mowę, dodając kilka argumentów ze stanowiska fizyologicznego. Dysputa zaczęła być coraz żwawszą; wycofałam się z nięj i słuchałam tylko. Z początku miss Wocker dosyć poważnie broniła zasad emancypacji, ale stopniowo podrażniona, pokonywającemi dowodami pana H. zapalać się zaczęła, i rzucić sofizmata jedne od drugich bardziej bezzasadne; a w końcu wpadła już w zupełne niedorzeczności, na które i argumentować było trudno. Nakoniec, w najwyższym podrażnieniu stanęła przedemną w postawie dramatycznej, mówiąc: „Powiedz pani rodaczkom swoim, żeś widziała kraj, w którym kobiety poczuły już swoją godność, zrzuciły nienawistne jarzmo męczyzn, zdeptały krępujące je dotąd przesady i uzyskały swobodę, że się nie ograniczają na nikczemnej roli nianiek i kucharek. Powiedz, dodała wskazując na siebie, żeś widziała kobietę, która jest obywatelem swego kraju, równie potężnym i silnym jak prezydent Grant i inni! Tu już całego wyteżenia użyć musiałam, ażeby nie parsknąć głośnym śmiechem, patrząc na tę małą, drobną i wcale nie potężną figurkę, ubraną w przywłaszczoną odzież mężką, w której do niewypowiedzenia śmiesznie wyglądała; w dyspucie na wszystkich punktach przez pana H. pobita, a przy pierwszym silniejszym starciu się zdań, nie mająca dość siły, ażeby zapanować nad sobą, pohamować swoje nieukontentowanie, a chłodno i z zimną krwią wytrzymać opozycję. Pomyslałam sobie, że nietylko opowiedzieć, ale rada byłabym, ażeby moje rodaczki mogły widzieć naocznie, ten wydoskonalony już egzemplarz ekscentrycznej emancypacji, w całej jego śmieszności i niedołąztwie.

Kiedy miss Wocker spiesząc na miting, pożegnała nas niebawem, pan H. opowiedział mi pokrótce bieg jęj życia. Miss Wocker jest bliską jego krewną, znał ją więc od dziecka. Wcześniej objawia-

ła bystry umysł i wielkie zdolności do nauki; po ukończeniu zwyczajnej szkoły, zapragnęła koniecznie jeszcze przejść kurs wyższych nauk, a obrawszy wydział medyczny, przeszła cały kurs na uniwersytecie w Bostonie. Tam wśród swobodnych obyczajów młodzieży mezkiej, wśród różnorodnych teorii wygłaszanych przez takich, co niemieli jeszcze czasu do praktyki je zastosować; przejęła się ideą emancypacji kobiet, która się właśnie szerzyć zaczęła, i wkrótce stała się jedną z najczynniejszych jej propagatorek. Przyjęła odzież mezką, stanęła na czele kilku stowarzyszeń mających na celu wywrócenie dotychczasowego porządku społecznego i doszła do najwyższego stopnia ekscentryczności, w całym jej słałbém i smiesznm światle. W tych ostatnich kilku latach, coraz więcej się mnożą w Stanach-Zjednoczonych osobistości w rodzaju miss Wocker, z tą tylko różnicą, że w dodatku najczęściej nie posiadają jój nauki; gdyż pomimo, że jak wspominaliśmy już, zakłady naukowe dla kobiet dają możność szerszego rozwoju wiedzy, rzadko bardzo można spotkać kobietę z głębszym wykształceniem, i w ogóle kobiety, zwłaszcza średniej klasy, uderzają grubą niewiadomością w rzeczach elementarnych prawie.

Przypisać to należy zaniedbanemu wychowaniu domowemu. Nikt się zwykle tu w domu nie troszczy, czy dzieci się uczą i jak się uszą; ojciec cały zajęty interesami, a matka nie kłopotce się wcale o dzieci i zajmuje się nimi o ile tylko można najmniej. Wysyła je codziennie do szkoły, bo tak zwyczaj każe, a i rada jest pozbyć się na kilka godzin niesfornych dzieci, które hałas i kłopot w domu robią; ale czy te dzieci idą prosto do szkoły, czy czas na naukę przeznaczony przebawiają na ulicy, to już dla niej rzecz zupełnie obojętna. Często się zdarza, że dziecko wyszedłszy z domu z rana, nie wraca aż późnym wieczorem, a cały dzień spędzi po za domem u krewnych lub znajomych; matka nawet się nie zaniepokoi tak długą nieobecnością dziecka, tak to już zwyczajną rzeczą jest tutaj.

Wreszcie pospolitym jest tutaj zwyczajem, że dzieci wszystkich stanów, razem bawiają się tłumnie na ulicach miasta, bez żadnej kontroli, bez żadnej opieki, a przebiegając gromadkami z ulicy na ulicę, często się znajdują aż na drugim końcu miasta i wracają do domu, kiedy głód poczują. Nacisk kładę na to, że są to dzieci różnych sfer, a często nawet bardzo dostatnich. Trudno się dziwić, że dziecko tak nieograniczonej swobodzie zostawione, nie przykłada się do nauki a wzrasta w lekkomyślności. To téż kilkoletnie dziewczątka, samowolnie zabiera znajomości i stosunki, w które matka nie wgląda wcale. Najczęściej się zdarza, że dziewczeczka dwunasto-letnia ma już asystenta w tymże samym co ona wieku, i już zaczynają się miłostki, bileciki, schadзки. Więc i gdzież się ma znaleźć czas i ochota do nauki? I tak schodzą młodzieńcze lata, umysł się niebogaci, a młode dziewcze błąkając się po bezdrożach, tyra młode siły i uczucia, które spacone wytwarzają z niej tylko *bezmysłnego dzwóląga*

dla tego tylko, że matki niema, matki w moralném, poważném znaczeniu tego wyrazu.

Kobięta tutejsza pyszna swoim równouprawnieniem z mężczyzną, marzy o krześle w senacie, lub innej podobnej posadzie świecznika krajowego. Z pógardą i lekceważeniem patrzy na wszelką pracę w zakresie prywatnego życia, uważając ją godną tylko służących.

Jako charakterystyczną cechę tutejszego społeczeństwa, wymienić potrzeba, że tu dziecinnego wieku niema wcale. Przedwczesna dojrzałość dzieci jest zadziwiająca; chłopiec w dwunastym roku swego życia jest już mężczyzną i nie tylko że jest obyty z materyalną stroną życia, jak u nas nie zawsze jeszcze dwudziestoletni nim będzie, ale i radzić sobie umie dziwnie praktycznie. Widocznie że od najpierwszych lat swego życia, złudzeń młodzieńczych tu nikt nie miewa. O ile zbadać mogę, jestto wynikiem tak dziecinnéj zbyt wczesnej samowoli, jako téż ogólnego pozytywnego nastroju. Dziecię wzrasta, pozostając ciągle pod wpływem racjonalizmu i widzi około siebie tylko chłodną rozagę ku materyalnym celom skierowaną. Rodzice co chwila słowem i przykładem go uczą, że człowiek dążyć wyłącznie powinien do tego, ażeby zdobyć sobie jak najświetniejszy byt, że pieniądz tylko dać mu może stanowisko i poszanowanie. A że przemysł krajowy ułatwia nawet dzieciom wdzięczny zarobek, więc chłopcy zachęteni zrazu przez rodziców a potem i sami zasmakowawszy w rozkoszy niezależności, chwytają każdą zręczność zarobienia pieniędzy, któremi według przyjętego zwyczaju, mają prawo rozporządzać podług własnej woli. Z początku każdy z nich zarabia, ażeby używać niekontrolowanych przyjemności, a potem, nacieszywszy się dowoli tém wszystkiém, co pieniądze dać mogą, składać sobie na kapitał powoli zaczyna.

Szkoły specjalne, tak jak lekarska, farmaceutyczna, prawnicza, tak mają rozłożone godziny, ażeby nauka nie przeszkadzała młodzieży, niezależnie od niej poświęcić się innemu zajęciu. Nauka w tych zakładach wykładana jest bardzo pobieżnie, tyle jej tam dają, ile konieczném jest dla przyszłego specjalisty obeznac się z obranym przedmiotem; wydoskonalenie się zaś w nim pozostawione jest w zupełności praktyce. Nie mogą oswoić się z dziwném w téj mierze lekceważeniem rządu administracyjnego, który nie wymaga nawet wcale, ażeby ten co specjalność jakąś praktykuje, był opatrzony patentem egzaminu naukowego. Wolno jest każdemu wywiesić szyld i ogłosić się specjalistą; nikt ani jego kompetentności, ani czynności nie kontroluje. Administracya krajowa wychodzi zawsze z téj zasady, że człowiek obdarzony jest rozumem i wolą, i sam swoją własnością i swoim bezpieczeństwem opiekować się winia. Do publiczności więc należy przekonać się własnym doświadczeniem, o ile ów lekarz, prawnik i t. p. wart jest zaufania. Nie potrzebują dodawać, że doświadczenie to, niejednokrotnie bardzo drogo okupić przychodzi.

Znam tu w Washingtonie dwóch ziomków: jeden jest lekarzem ordynującym w szpitalu, i mający oprócz tego rozległą praktykę w mieście; drugi zaś aptekarzem i właścicielem apteki, jednej z najbardziej renomowanych. Oba z pewnym rodzajem chluby mówili mi, że sami sobie są winni swoją specjalność i stanowisko. Pan K. lekarz, zapewniał, że cała nauka jego medycyny, ograniczała się na pierwszym kursie, który przeszedł w Warszawie. Przybył do Ameryki na krótko przed ostatnią wojną domową; wszedł do służby ambulansowej i odtąd jest już lekarzem i bardzo szczęśliwie mu się powodzi, ale czy i pacjentom jego równie dobrze zawsze się powodziło? czy się nie douczał kosztem ich życia? o tym nie mogę stanowczo powiedzieć. Co zaś do aptekarza, to ten ani elementarnych nawet wiadomości dotyczących się jego specjalności, nie przywiózł z sobą do nowego świata, ale rozpatrzywszy się, że farmaceutyka dobrze się tu opłaca, wziął się do książek traktujących tę gałąź nauki, a że znać lotną miał pamięć i bystre objęcie, przyswoił więc sobie prędko, to co mu na razie pilnie było potrzebnem, a doświadczenie dało z czasem i resztę.

Prawnik jeszcze łatwiej może tu być samozwańcem. Lekarz i aptekarz potrzebują chociaż początkowych przynajmniej wiadomości odnoszących się do ich nauki; kandydat na prawnika potrzebuje zaledwie kilka miesięcy czasu, ażeby się obeznać z formami prawa krajowego; całkowity zaś kurs szkoły prawniczej ogranicza się na jednym roku, a cała nauka na znajomości prawa krajowego, bez żadnego odnoszenia się do studyów porównawczych i podstawowych. Oprócz dokładnego powiadomienia we względzie form prawniczych swojego kraju i do wysokiego stopnia podniesionej przebiegłości, prawnik tutejszy, zatopiony w kombinacjach rozmaitych wybiegów, zwykle pod względem wszelkiej innej wiedzy jest zupełnie ciemny. Bawiąc tutaj z powodu prawnego interesu, muszę przymusowo mieć z prawnikami stosunki, mam więc dobrą zręczność poznania ich w rozmaitych odcieniach. Niedawno, jeden z bardziej znanych tu adwokatów, widząc u mnie pełnomocnictwo napisane w języku niemieckim, wydane w Dreźnie, najnaiwniej w świecie zapytał, czy u nas w każdym mieście innego języka używają? i musiałam mu aż wytłumaczyć dokładnie, że Drezno nie jest miastem polskiem.

Niewyrobiany smak publiczności tutejszej, wymaga koniecznie, ażeby wszystko miało jak najwięcej zewnętrzznego blasku. Ludzie tutejsi, pomimo naturalnego sprytu, biorą się z zadziwiającą łatwością, jak muchy na lep, na zewnętrzną wszystkiego powłokę.

Przedstawić sobie niepodobna, do jakiej bezczelności dochodzi tutaj błaga, w narzeczu krajowem zwana humbug; bo też każdy, z całą swoją nawet istotną wartością zginie, jeżeli nie potrafi otoczyć się humbugiem i jaskrawy blichtr rzucić publiczności w oczy; bez szarlataneryi i rażących arlekinadą reklam, powodzenia mieć nie może, do nich też uciekają się i przemysł i wszelka specjalność.

Nauka medycyny nawet zbyt często w miejsce biretu, wdziewa poliszynela czapkę z dzwonkami, zniżając się do błazeństwa i bezczeszcząc powagę swoją i zacność powołania. Jeden z bardziej rażących przykładów tego, widziałem kilka dni temu jako fakt i muszę go przytoczyć. Na ulicach miasta ukazał się rydwan tryumfalny, starożytny, jaskrawo pomalowany, ciągniony przez dwunastu mułów; na rydwanie stał fortepian, na którym grał pajac ubrany w togę i biret doktorski, a kilku pajaców w takichże samych kostiumach, stojąc na rydwanie, z komiczną gestykulacją, śpiewało umyślnie ułożone śpiewki, sprzedając, tłumnie asystującej téj kalwakadzie, publiczności, recepty na jakiś uniwersalny środek leczniczy, który jeden ze znanych tutaj lekarzy wynalazł i chciał tym sposobem upowszechnić.

8 kwietnia. Tak uroczyste u nas święta Wielkanocy przechodzą tutaj niepostrzeżenie. Amerykanie do pamiętki Zmartwychwstania Pańskiego nie przywiązują żadnej uroczystości. Katolicy tylko święcą pierwszy dzień, o tyle wszakże, o ile kościół katolicki solennem nabożeństwem obchodząc te dni, zniewala swoich wyznawców do nabożeństwa, a że zwyczaj narodowy tych świąt nie obchodzi, więc i przez katolików nawet uważane są tylko za tak zwane kościelne. Przykro mi było do niewypowiedzenia, gdy na drugi dzień świąt poszłam do kościoła i o ósmej rano już zastałam kościół zamknięty, a w mieście wszystko w ruchu powszednim; ludzie zwykłą pracą zajęci i nic nie przypominało nawet, naszej tak uroczystej a razem tak wesołej Wielkanocy. Wszystkie wyznania religijne i sekty, jakie tylko mogą się gdziekolwiek na kuli ziemskiej znajdować, mają w Stanach-Zjednoczonych swoich przedstawicieli. Konstytucya Washingtonu zastrzega zupełną tolerancję religijną i ta zachowaną tu jest w całej swojej rozciągłości. Można tu dowolnie wierzyć we wszystko, albo w nic. Administracya kraju w to zupełnie nie wchodzi. Więc téż co chwila powstają i szeregą się nowe sekty, z najdziwniejszymi zasadami i formami, utworzone przestakich co pragną stanąć na czele nowego stowarzyszenia, mającego zwykle pod płaszczem fanatyzmu religijnego, jakieś materialne cele, albo téż takich, co pod wpływem ekstazy fanatycznej doszli do obłądu umysłowego. Każda z takich sekt szczyry dowolnie swoją propagandę jak i gdzie może. Nieraz przechodząc ulicą widzieć można stojącego na beczce apostoła Mormonizmu, spirytualizmu i t. d. wygłaszającego dogmata swego wyznania w kwiecistej przemowie, której tłum różnorodnej publiczności słucho z wielkiem zajęciem.

Téj zimy przybyło do Washingtonu dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy wzrosli w Jutach, a zdołali ujść z kraju Mormonów i mieli tu kilka publicznych odczytów, wykazujących w szczegółówóm opowiadaniu życie Mormonów, ich instytucye, dążenia, niegodziwości i zbrodnie do jakich się posuwają w interesie swojego stowarzyszenia. Odczyty te były niezmiernie interesujące z powodu, że Mormoni wszystko co się ich wewnętrznego życia dotyczy, starają

się okryć jak największą tajemnicą. Ułatwia im to bardzo samo położenie ich kraju.

Stan Jutach leży w miejscowości takiój, że zewsząd otaczają go niezmierne pustynie, na których przebycie potrzeba licznój, dobrze uzbrojonej i obficie w żywność zaopatrzonej karawany. Dostać się więc tam nie łatwo; ktokolwiek zaś z obcych przybędzie do kraju Mormonów, obaczy tam to tylko, co może być dla każdego widzialnym; ażeby więc znać wewnętrzne ich życie, instytucye i ważniejsze szczegóły, potrzeba być sprzysięgłym Mormonów. Ci co raz wcielią się w tę społeczność pozostają pod najściślejszą a tajną kontrolą starszyny i straszliwem teroryzmem. Najmniejsze przestępstwo przeciwko interesowi stowarzyszenia, zdradzenie tajemnicy, lub uśiłowanie ucieczki, karane jest śmiercią lub okrutną katuszą. Wydać się po zagranicę Stanu wolno tylko tym, co są już do starszyny zaliczeni; tym sposobem wszystkie nadużycia, jakie się tam dzieją, dzieją się arbitralnie i bez żadnego hamulca.

Mormoni mogąc rozporządzać dowolnie pieniędzmi, których mają wiele, będąc panami jednej z najbogatszych części Ameryki Północnej, werbują z łatwością niemało emigracyi rozmaitych narodowości, tem łatwiej, że obiecują wiele a dają jeszcze więcej, co się tutaj nie zawsze z emigracją zdarza. Takim sposobem, tworzą już nie stowarzyszenie, ale naród osobny, coraz liczniejszy, a wzmacniający się się z każdym dniem. Nowo przybyłym dają u siebie warunki życia tak łatwe, wygodne i swobodne, tak tam wszystkie instytucye skierowane są ku temu, ażeby człowiek w niczém hamować się niepotrzebował, że każdy, raz zasmakowawszy w tém życiu, całym jestestwem swoim wciela się w tę społeczność i staje się gorliwym wyznawcą sekty. Wszystkie te przywileje służą wszakże wyłącznie dla mężczyzn, kobieta zaś pomimo upowszechnionój we wszystkich Stanach emancypacji, u Mormonów pozostaje niewolnicą w najzupełniejszym poniżeniu. Takie to krańcowe ostateczności spotykają się z sobą w Stanach-Zjednoczonych, gdzie człowiek puściwszy wodze materyi idzie niczém niekrępowany za popędem złych namiętności i do potworności dochodzi, wyrzekając się swego człowieczeństwa i wzajemnych względem ludzkości obowiązków.

Niepodobna byłoby wymienić szczegółowo wszystkich sekt, jakie w Stanach-Zjednoczonych się znajdują, tak ich jest niezliczone mnóstwo. Jako medium pomiędzy sektą a wyznaniem postawić można Metodystów, którzy ekstaza fanatyzmu posuwają do szaleństwa. Pewnego razu pani S. namówiła mnie i poszłyśmy do bliskiego kościoła Metodystów na wieczorne ich nabożeństwo; wsunęłyśmy się cichaczem w najciemniejszy kątek, ażeby widzieć nie będąc widzianymi. Nabożeństwo właśnie się zaczynało. Była to jakaś niezwykła uroczystość; ławki były pełne modlących się, którzy kiwając się na obie strony, śpiewali psalmy, z początku zeicha, potem coraz głośniej, wrzaskliwiej; z ławek wyszło dwóch mężczyzn i kilka kobiet,

weszli za kraty prezbiteryum i jeszcze żarliwiej modlić się i śpiewać zaczęli. Głos ich coraz się podnosił i chwilami cały chór innych głosów przytłumiał. Ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze i w kurczowych konwulsyjnych drganiach i skokach rzucać się zaczęli, jakby w chorobie Św. Wita. Twarze nabrały wyrazu obłąkania, a z ust biała piana się toczyła. Trwało to długą chwilę, dla mnie aż nadto długą, bo widok ten robił wrażenie dziwnie przykre: potem stopniowo te spazmatyczne rzucania się słabły, aż nakoniec biędni fanatycy w omdleniu padać zaczęli bezwładnie na kamienną posadzkę. Nie byłam w stanie już dłużej wytrzymać, pociągnęłam panią T. i wyszłyśmy z kościoła, nie mogąc długo z wrażenia ochłonąć. Ci z Metodystów którzy w modlitwie dochodzą do takiej ekstazy, uważani są przez swoich współwyznawców za błogosławionych. Metodyści nadzwyczaj są surowi w zachowywaniu wszelkich form i praktyk religijnych; surowość tę posuwają często do dziwactwa: i tak np. miesiąc kilka temu, w Washingtonie zdarzył się fakt dla innych śmieszny, dla nich bardzo poważny. Metodyści nadewszystko przestrzegają, ażeby w niedzielę nie tylko strzedz się wszelkiej pracy i domowego, nawet najkonieczniejszego zajęcia, ale także nie pozwalają sobie najniewinniejszej rozrywki; dzień ten cały spędzają na czytaniu biblii i rozmyślaniu.

Otóż jednej niedzieli, pewna rodzina, bardzo pobożna, która szczyliła się tém, że kilku błogosławionych już wyszło z jej łona, zgromadzona w parloarze, zatopiona była w pobożnem rozmyślaniu. Ojciec stary i surowy Metodysta, trzymał na kolanach olbrzymią biblię i od czasu do czasu czytał z niej jakiś wyjątek, który przytomni w duchu swoim roztrząsali. Dotąd wszystko szło i poważnie i uroczyście, a nawet miało w sobie coś prawdziwie patryarchalnego. Ale zły duch co patrzy na to wszystko przez jakąś tam szparę i znać zaczęło go to korcić, postanowił więc spsościć po swojemu i zapewne z jego insynuacyi zdarzyło się, że kot, ulubieniec całej rodziny, opasły i poważny białośzy Puss, co siedział z podkurczonemi łapkami i mruczał usypiany monotonnem czytaniem, nagle zastrzygł uszami i jakby zaelektryzowany zwrócił całą bacność w jedną stronę pokoju, a po chwili, powoli, cichutko, zeskoczył z taboreta i usiadł w kątku koło komina, i znowu podkurczył łapki, odwrócił głowę na pokój i zdawał się znowu drzemać; a tymczasem pobożne rozmyślenia domowej drużyny nie ustawały, poważny patriarcha czytał z przejęciem. Wtém kot mgnieniem błyskawicy poskoczył, a przytomni mimowoli spojrzeli w tę stronę: w zębach kota, w śmiertelnych kurczach konała mysz. Na ten widok, Metodysta drgnął, z kolan jego zsunęła się z łaskotem biblia, on zaś wyciągając rękę, surowym głosem zawołał: „kot uroczystość niedzielną pogwałcił, dla przykładu powinien być ukaranym.“ W skutek takiego wyroku, rozkoszny, pieszczony Puss został pochwycony i zasadzony do ciupy. Stary wyszedł, a w godzinę potem, przed jego domem zebrała się liczna gro-

mada Metodystów i po dość długiej naradzie wydała wyrok tak brzmiący: że kot pochwycony na uczynku, w chwili kiedy w dzień niedzielny, gwałcąc uroczystość święta, złapał mysz, dla przykładu, pamięci i nauki ludzi, skazany zostaje na powieszenie. Jakoż w poniedziałek rano, przy licznie zebranych świadkach, wyrok spełniono; a fakt ten Metodysci sami podali do dziennika, ku ogólniej przestrodze.

Zdarzenie to najzupełniej prawdziwe, gdzieindziej za dowód waryacyi byłoby poczytaném, tutaj zaś tyle się dzieje dziwacznych ekscentryczności, że jedni z niego się uśmiechnęli tylko, a inni rzecz tę wzięli na seryo.

Washington prawodawca Stanów-Zjednoczonych powiedział kiedyś: „Bóg niepotrzebuje opieki“ sentencya ta stała się prawem i rząd nie tylko że się nie miesza, jak to pisaliśmy wyżej, w sprawy religijne swoich obywateli, ale nie opiekuje się nawet żadnym wyznaniem. Wszelkie koszta utrzymania kościołów i duchowieństwa, sami wyznawcy ponoszą. Przyjętym więc jest zwyczajem, że kościoły stawiają się przez kompanie akcyonaryuszów, którzy procenta i dywidendy swoje otrzymują z dochodów kościoła; dochody zaś są zapewnione tém, że tu płaci się albo za wejście do kościoła, albo téż za miejsce w kościele.

Nie mogę się oswoić z tym zwyczajem; kupować przy wejściu bilet do kościoła, jak na widowisko, lub téż kupować sobie miejsce tam gdzie każdy, czyto ubogi, czy bogaty, równym być powinien, razi to mnie do niewypowiedzenia; a jednak zwyczaj to tak powszechny i wynika z konieczności wynalezienia jakim bądź sposobem, funduszów potrzebnych do utrzymania duchowieństwa i publicznego nabożeństwa, że i kościół katolicki musi się do niego uciekać.

Religia katolicka bardzo licznych ma wyznawców w Stanach Zjednoczonych; już sami Irlandczycy stanowią ich zastęp nie mały, dochodzący do sześciu milionów; wiele téż jest tu klasztorów męskich i żeńskich a najwięcej Jezuitów i Dominikanów. Dotąd przy każdym klasztorze była szkoła, ale w czasie obecnego kongresu toczą się debata z usilnych poduszczeń protestantów, ażeby odjąć duchowieństwu katolickiemu prawo nauczania młodzieży. Na czém się skończy ta kwestya, dotąd niewiadomo, ale z zażartego antagonizmu jakim tchną w całym kraju stronnictwa obu wyznań, można nie dobrze rokować. Według wszelkiego podobieństwa przygotowują się tu bardzo gorące starcia.

Dałby Bóg ażeby krwawemi nie były, a tlejąca nienawiść nie wybuchła w nowej wojnie domowej, która w tym kraju ze względu na namiętny charakter narodu, niewątpliwie byłaby zapamiętałą. Dotąd katolicy z duchowieństwem swoim na czele, pomimo gwałtownych napaści protestantów zachowują się z godnością; oby i dalej tak było.

Duchowieństwo katolickie z wielkiém staraniem utrzymuje kościoły i dba o zewnętrzną ich okazałość, co istotnie jest konieczném, ze względu na upodobanie Amerykanów w tém co w oczy bije. Lu-

dziom tutejszym potrzeba koniecznie zewnętrznych oznak świętości, inaczej najświętszej prawdy uznać nie zechcą; jestto już rzecz można charakterem narodu. Stosując się do tego ogólnego usposobienia, nabożeństwo odprawiane bywa z niezwykłą okazałością; przepyszne chóry towarzyszą Mszy Ś-tój, asystencya przy celebrującym kapłanie liczna i okazale przybrana. Msza Ś-ta odprawia się tutaj znacznie odmiennym trybem, jak u nas.

W miastach gdzie jest więcej Polaków, księża polscy, za pozwoleniem miejscowych biskupów tworzą nowe, osobne parafie, funduszem zbiorowym akcyonaryuszów Polaków. Budują kościoły, w których odprawia się nabożeństwo według zwykłego naszego obyczaju. New-York ma już trzy takie parafie.

Protestantyzm tutejszy, rozpada się na kilkadziesiąt wyznań, a każde ma swoje kościoły i swoje duchowieństwo. Różnowierstwo tak tu jest powszechne, że bardzo często się zdarza, iż w jednej i téj samój rodzinie, kilka wyznań ma swoich przedstawicieli, a dzieci bywają często innej wiary niż rodzice. Z dziwną łatwością ludzie tutejsi zmieniają religię; znam takich co już po kilka razy przechodzili od jednego do drugiego wyznania, a wiele jest takich rodzin, co do żadnego wyznania wcale nie należą i nie zachowują żadnych prawideł religijnych, więc ślubów nie zawierają, ani dzieci nie chrzczą. Giętkie prawodawstwo tutejsze nie obowiązuje wcale do zachowania żadnych form w tym względzie i nietylko chrzest ale nawet śluby nie są koniecznymi. Na to ażeby dzieci były uprawnione, potrzeba tylko aby rodzice przez czas jakiś wspólnie z sobą mieszkali; wystarcza to w zupełności, ażeby w obec prawa tutejszego ich związek był usankcyonowany. Wśród tego różnowierstwa, na tle tego chaotycznego rozprzężenia pięknie odbijają kwakrowie. Zawsze surowi w obyczajach, sumienni w czynach swoich, oszczędni w słowach, a pełni miłosierdzia. Obyczaje ich proste a patryarchalne odznaczają się uczciwością i poszanowaniem wzajemnym. Kwaków zdaleka na ulicy poznać można: odzież ich ciemna, skromna a ruchy spokojne, znać od razu że duchem opanowali materję. Nie wielu ich tutaj naśladuje, ale wszyscy jednak powszechnie szanują; to daje świadectwo prawdy za nimi.

Żadne w świecie stowarzyszenie nie może się zapewne poszczycić tak ogromną liczbą członków i taką popularnością jak stowarzyszenie masonów (wolno mularzy); w Stanach-Zjednoczonych liczą ich na kilka milionów i istotnie niema domu prawie, żeby nie było w nim choć jednego przynajmniej masona. Wniknąwszy w główne zasady i dążenia tego stowarzyszenia, które tu wcale nie są tajemnicą, nie możnaby sobie wytłumaczyć dlaczego tutaj szerzy się tak bardzo, wtedy właśnie, kiedy tu mniej niż gdziekolwiek ma pobudek do istnienia, ze względu na ustalone już tu instytucje do których dąży. Zagadka ta wszakże, wyjaśnia się niejako tém, że propaganda ich jest czysto niemiecka i bardzo czynnie popierana w celu, jak się zdaje,

aby dla Germanizmu zjednać co najliczniejszy zastęp stronników, w interesie politycznym, nie zaś socyalnym, pod którego płaszczem się ukrywa. Wszystkie łoże, a jest ich moc wielka, w samym Wasbingtonie jest ich kilka, miewają bardzo regularnie swoje posiedzenia i od czasu do czasu obchodzą ulice miasta pochodem we właściwych sobie uroczystych strojach z muzyką i bębnami. Pogrzeby masonów także z wielką paradą się odbywają; tłumy ludu assistują zwykle takim pochodom, a w skutek szczególnego zamiłowania publiczności tutejszjej we wszystkich zewnętrznych okazałościach i manifestacyach, propaganda szerzy się łatwo i szybko; od niejakiego czasu starannie jest prowadzoną pomiędzy murzynami, co także daje wiele do myślenia. Żydzi tu zamieszkali powiększj części są téż masonami, których ustawę wszystkie wyznania tolerują oprócz katolickiego.

Żydów tu jest wielu i właściwie téż kraj ten i jego instytucje jakby dla nich umyślnie utworzone, dla handlu pole nieograniczone a spryt przemysłowy olbrzymie dzieła dokonywa. Świeżo przybyli, bardzo prędko dochodzą do majątków i znaczenia, zwłaszcza że powszechnie tu są dobrze uważani. Widziałam kilku żydów polskich, znać pochodzących z najprostszj klasy, którzy dziś mają piękne magazyny, swoje własne domy i żyją z szykiem i komfortem; wszędzie są dobrze przyjęci, a jeden z nich zajmuje nawet dosyć ważne stanowisko w hierachii urzędowj.

VI.

Niemcy i Irlandya ze wszystkich innych krajów najliczniejszą emigracyę dostarczają Stanom-Zjednoczonym. Niemców zwłaszcza, jest już osiadłych około ośmiu milionów, co na trzydzieści siedem milionów tylko, ogólnj ludności w całych Stanach, stanowi ogromny procent, i zapewnia Niemcom w każdym względzie silną przewagę; a znaną jest już światu całemu umiejętność tego narodu rosgospodarowania się wszędzie gdziekolwiek osiadą. Mają oni osobny dar zachowania wszędzie i zawsze wszystkich cech swj narodowości i niemiec wszędzie, zawsze pozostaje niemcem; tutaj więc także przechowują bardzo skrupulatnie wszystkie swoje zwyczaje, tworzą stowarzyszenia, komitety, swoje osobne mitingi, swoją prassę; słowem, wśród kraju w którym osiedli i którego przywilejów używają, stanowią jeszcze osobny zupełnie naród. Charakter taki i systematyczne jego utrzymanie jest nieobliczonj doniosłości dla Germanizmu, którego potęga wzmaga się w świecie całym.

Dnia 11 kwietnia. Święta Wielkanocy i tutaj wiosnę rozpoczynają; temperatura ustala się, dnie coraz pogodniejsze, drzewa zielenieją a raczj kwitnąć zaczynają, bo większa część krzewów i drzew tutejszych, pierwj niż liściem, kwiatem się okrywają, tak aromatycznym, że całe powietrze przepełnione jest zapachem przyjemnym, ale odorzającym, zwłaszcza w nocy. W tym roku wiosna

przyjemniejszą jest, niż zwykle jak mówią, bywa, gdyż nie tak nagłe jest przejście z zimy do skwarów letnich; i oto już kilka tygodni cieśzą się wszyscy jednostajnym ciepłem bez upałów, co nadzwyczaj podobno rzadko się na wiosnę zdarza. Roślinność powoli się także tój wiosny rozwija, zwykle zaś kilka dni wystarcza, ażeby nagie zupełnie drzewa pełną zielonością się okryły.

Ja rada jestem bardzo z tój wyjątkowo umiarkowanej temperatury tegorocznój; po całych dniach prawie przesiaduję w skwerach, wśród dziatwy i nianiek, któremi są przepełnione. Badam, śledzę i podziwiam świat roślinny tutejszy, w którym tyle nowych a przepysznych widzę rzeczy. Wiele wszakże odejmuje wiosnie tutejszój przyrodzie uroku, brak zupełny ptastwa ogrodowego, które swojem mięm szczerbiotaniem u nas, tyle powabu odradzającój się naturze, dodaje. Tutaj ptastwo innego jest zupełnie gatunku jak w Europie, prześliczne pierzem najrozmaitszych a żywych kolorów, ale nie śpiewające, trzyma się lasów i miejsc pustych, a do mieszkań ludzkich nie zbliża się wcale i chyba czasem przepędzone wichrem, albo przelatując jakieś stadko się pojawi; śliczne ptaszyny poskaczą milczące po gałęziach drzew na których jak kwiatki różnobarwne się wydają, i znowu gdzieś sobie odleca. W całym tutejszym kraju niema żadnego z tych gatunków ptaków, które u nas śpiewem się odznaczają; bardzo usilnie starano się sprowadzić niektóre, a zwłaszcza słowiki, ale te tutaj wychowywać się nie mogą i ani się rozmnażają ani śpiewać nie chcą. Jest wszakże ptak zwany przedrzeźniaczem, obdarzony dziwną zdolnością naśladowania wszystkich tonów ptasiego śpiewu; uczą go często za pomocą sztucznej gwizdawki, albo wieszają jego klatkę obok śpiewającego kanarka; głos ma nadzwyczaj mocny, ale nieprzyjemny i znać zaraz że nienaturalny. Amerykanie lubią go mieć w domu i często po trzydzieści dolarów płacą za dobrze śpiewającego. Brak ten ogrodowego ptastwa bardzo dotkliwie uczuć się daje roślinności, którą robactwo bezkarnie pożera. W skutek tego municypalność New-Yorku wpadła na myśl, ażeby sprowadzić z Europy wróble; próba wybornie się udała; sprowadzono kilkaset par z Francyi temu trzy lata zaledwie, a wróbel znać kosmopolita z natury i wszędzie mu dobrze gdzie ma żer, wybornie się zaaklimatyzował i tak swój ród rozmnożył, że dziś nie tylko w samym New-Yorku jest ich wiele, ale i w okolicach nawet już się pojawiają, a wkrótce zapewne w całej Ameryce się rozpowszechnią. Z pospolitszój naszój zwierzyny jadalnój, także wielu gatunków tu niema. W miejscu zajęty jest tu rodzaj królików, co siercią i składem przypominają wprawdzie zajęce, ale są o połowę mniejsze i smak mają inny zupełnie. Cietrzewi, przepiórek i bekasów nie znają tu także; a do bardzo poszukiwanej zwierzyny liczą pewien gatunek olbrzymiej żaby, którą Amerykanie za wielki przysmak uważają; widziałam ją, ale skosztować nie miałam odwagi.

Z wiosną i ogrodowe nowalie zaczynają się pojawiać, więc szparagi, sałata, groszek zielony, wszystko to przywożone z miejscowości więciej ku Południowi posuniętych. Na deser jadamy codziennie ananasy, tanie tu bardzo, ale nie dające się jednak jeść bez cukru; dostarczane są do Stanów Północnych przeważnie z Florydy i Luiziany. Już i truskawki jedliśmy kilka razy, bujne, piękne są napozór, ale także zbyt kwaśne. Wszystko to rośnie na gruncie, inspektów nie urządzają a chociaż i ziemia nie wysilona i klimat gorący, bardzo przyjazne są dla wszelkiej roślinności; z produktów znających jednak, że ogrodnictwo nie jest ani wczesni tak starannie prowadzone jak w Europie i wszelkie jarzyny nie mają tego wytwornego smaku jak u nas. Prawda że i publiczność tutejsza nie nazbyt jest wymagająca we względzie stołu; kuchnia Amerykanów pozostaje jeszcze w pierwotnym stanie, a co gorzej że i te kilka potraw, które tu zawsze jedne podają, tak są niedbale przyrządzone, że je przełknąć trudno: bez żadnej uwagi na względy sanitarne, bywają w potrawach komplikacje takie, że delikatniejszy, nieprzyzwyczajony do nich żołądek przenieść nie może. Amerykanie jedzą bardzo wiele ciasta i to koniecznie gorącego, prosto z pieca; pospolitą też tu jest chroniczną chorobą tak zwana „dispepsya”, rodzaj zupełnego odrętwienia systemu trawiącego. Cały tryb zastawy stołowej dosyć jest oryginalny, a że rzuca pewne światło na życie domowe, nieodrzeczy więc zapewne będzie wspomnieć o nim. Zwyczajem jest powszechnym i we wszystkich domach stanowczo przyjętym, że na stole zastawione są wszystkie potrawy odrazu; więc na środku figuruje półmisek mięsny z befsztykiem, rostbefem lub jakimś pieczonem ptastwem, są to bowiem jedyne znane tu mięsne potrawy; w około tego półmiska stoi kilka małych talerzyków, na których są ostrygi, kompot, jarzynka jakaś w wodzie odgotowana, ryż lub kasza z kukurydzy, sałata, szpinak i t. p.: zupy Amerykanie nie jedzą wcale. Kiedy już wszyscy zasiądą do stołu, gospodarz zabiera się do rozdawania wszystkim na talerze, na środku kładzie kawałek mięsa, a w około na tymże samym talerzu potrosze wszystkiego co się na stole znajduje: więc ostrygi, kompot, kukurydzę, sałatę, a wszystko to razem się łączy z sobą i tworzy tak okropną mieszaninę różnorodnych a sprzecznych sobie smaków, że podniebienie Europejczyka znieść tego nie może: co do mnie, to przechorowaawszy pierwsze dnie, potem zdobyłam sobie to przynajmniej, że brałam sama potrawy i chociaż na tym samym talerzu, ale każdą rzecz osobno jadłam. Całe towarzystwo domowe dziwiło się bardzo mojemu jak nazywali kaprynowi i usiłowali wytłómaczyć mi, że wszakże to wszystko razem pomiesza się w żołądku, dlaczegóż więc jeść każdą rzecz osobno.

Jedyne potrawy czysto narodowe są: kasza z kukurydzy i fasola z wieprzowiną; są to ulubione przysmaki Amerykanów, którzy gotowi jeść to dzień po dniu, chociażby okrążyli rok cały. Takie zaniedbanie sztuki kucharskiej i takie obywanie się lada jakim jedze-

niem, ztąd pochodzi, że kobiety nie zajmują się wcale domem. Kobięta amerykańska za niewłaściwe dla siebie uważa, zajmować się tępem co do wygody życia męża, kolegi lub dzieci potrzebne; obowiązek ten pozostawiony jest sługom, które jak to zwykle i wszędzie bywa, najpierw o sobie pomyślą, a nie zadają sobie zbytecznych trudów, ażeby jedzenie dla państwa przyrządzić starannie, kiedy wiedzą że nikt się o to nie dopomni i nie dopilnuje. U nas kuchnia jest staranna i coraz się jeszcze udoskonala, dla tego, że u nas kobiety gospodynie domu, żony i matki same czuwają nad tępem, ażeby posiłek domowników był zdrowy i pożywny; serce zaś jęj pragnie, by jakimkolwiek sposobem choć chwilową im przyjemność sprawić, więc sama dochodzi rozmaitych ulepszeń w tęp gagęzi swoich prac domowych i pod wpływem tego celu, rzemiosło kucharskie do sztuki podnosi: tutaj zaś dzieje się zupełnie przeciwnie. Mam wlaśnie dobrą zręczność w domu gdzie mieszkam przypatrzenia się zadziwiającej obojętności i niedbałości żony o wygody męża, a nawet chociaż o konieczne życia jego potrzeby. Pan T. jest adwokatem, bióro swoje ma w innej części miasta; w czasie kongresu z powodu napływu spraw procesowych, pracy ma wiele, wychodzi więc z domu o ósmęj z rana, a nie wraca aż około szóstęj wieczorem; tak jest zajęty, że niema chwili czasu wolnego, ażeby przyjść z bióra na śniadanie, przychodzi więc do domu głodny i z wyrazem takiego zmęczenia na twarzy, że litość bierze patrząc na niego, a w domu zadowolnić się musi ziemni resztkami obiadu, których odegrać nawet nikt sobie pracy niezadaje: część pozostała od obiadu przeznaczona dla niego, zakrzepła czeka jęgo przyjścia na stole, przykryta tylko od much serwetą. Mnie to oburza i raz już nawet starałam się zwrócić uwagę jęgo żony na to, że należałoby jakoś staranniej dawać mu to jedzenie: on tak pracuje—dodałam. Ale pani T. odpowiedziała mi na to: „To trudno, ażeby dla niego po raz drugi palić w kuchni, a że pracuje, to cóż dziwnego? wszakże to jęgo obowiązek: on mężczyzna.“

Dziwna rzecz, że pomimo tych wszystkich przywilejów równouprawnienia z mężczyzną jakie posiada kobięta tutejsza i wdzieranie się jęj w życie publiczne, wszakże cały ciężar pracy spada wyłącznie na ramiona mężczyzny, kobięta zaś prowadzi życie tak beczynne, że mało naszych wytrzymałoby potrafiło w takięj roli pasozyta.

Całe wytężenie młodej panienki jest skierowane ku temu, ażeby wyjść za mąż i mieć kogoś coby na zaopatrzenie jęj potrzeb pracował; wcale się z tępem nie tają i sam zwyczaj nawet uświęcił już zadanie kobiety, ażeby miała wszystko gotowe i nie potrzebowała niczępem sama się trudzić; mężczyzna zaś który nie jest w stanie na wszystko pracą swoją wystarczyć, uważany jest za niedołęznego, a żona i jęj rodzina robią mu zato gorzkie wymówki, które ten z pokorą znosi, poczuwając się do winy.

Pomimo że i rozgałęziony przemysł, i sama nawet administracja krajowa otwierając dla kobiet swoje bióra dają im możność i sze-

rokie pole do różnorodnej pracy; wszakże nigdzie podobno nie bywa mniej kobiet pracujących jak tutaj. Rząd Stanów w skutek niedostatecznej pracującej ludności usiłuje i pracę kobiet ułatwić i spożytkować; więc oprócz tego, że każda specjalna gałąź naukowa jest przystępną kobietom, są jeszcze osobne dla nich szkoły handlowe, gdzie wykładaną jest buchalterya i to co w skład kupiectwa wchodzić może. W biurach rządowych, ponieważ jest inne zupełnie urządzenie jak u nas, i każdy wydział administracyjny, oprócz kilku naczelników, którzy są urzędnikami elekcyjnymi, zresztą w całej pracy biórowej posługuje się pracą prywatnych klerków, więc ustanowiono ażeby miejsca takie przeważnie zapełnić kobietami. Pomimo to wszystko kobiety próżnują; wprawdzie dobra płaca (siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie) ściąga do bióra pracownice, ale to nie jest tak ogólne, ażeby stanowiło jakiś wybitny zwrot ku pracy lub cechowało w niej zamiłowanie; w gruncie rzeczy ta praca kobiet w biurach jest tylko pomocniczym środkiem dla młodych panien chcących się modnie i zawsze świeżo ubierać a nie mających na to fundusów.

Zwykłym codziennym trybem życia klasy średniej jest, że zrana gospodarz domu wstaje najwcześniej i zajmuje się ze służą przyrządzeniem śniadania; poczem bierze kosz na rękę i idzie na targ dla zakupu potrzebnych na cały dzień produktów, a do tego stopnia kobiety wstydzą się wszelkiej pracy domowej, że od czasu ostatniej wojny, nawet murzynka służąca, za swoim panem kosza nie poniesie i miałaby to sobie za wielkie ubliżenie. Otóż pan domu obarczony rozmaitemi prowizjami wraca, a oddawszy je słudze zjada śpiesznie swój breck-fest (śniadanie) i coprędzej odchodzi do zwykłej swojej całodzienniej pracy. Pani tymczasem schodzi na śniadanie, a po śniadaniu uzbrojona miotełką i ściereczką zabiera się do uprzątnięcia pokoiów a mianowicie parloaru. Widząc tak zrana amerykańkę zajętą około utrzymania porządku w domu, możnaby nabrać bardzo pochlebnego wyobrażenia o jej gospodarności, nie słusznie wszakże, bo na tém zajęciu kończy się już cała jej praca domowa, gdyż resztę dnia przepędza patrząc przez okno, kołysząc się w fotelu na biegunach, albo ustroiwszy się starannie wizytuje swoje znajome lub przyjmuje je u siebie. W czasie miesięcy wiosennych i Indyjskiego lata, uprzywilejowaną rozrywką kobiet jest zwiedzanie magazynów i przeglądanie wszystkich nowości mody; a że takie przepatrywanie prowadzi za sobą pokusę, której oprzeć się trudno, więc też kupcy na przynętę wywieszają kartę z napisem, że wolno wszystko co jest w sklepie kazać sobie pokazać, nie będąc obowiązany do kupowania.

Jak rybki łapią się na ten haczyk kobiety, a wracając z takiego przeglądu, chyba już bardzo *nieszczęśliwa* przychodzi do domu bez mniejszej lub większej paczki, a kupiec tymczasem zsuwa dolary do kassy. Moda tu jest potęgą tak wszechwładną, że bez narażenia się na otwarte pośmiewisko niepodobna jest uchylić się

z pod jęj despotycznych fantazyi. W przekonaniu żeńskiej publiczności tutejszj to co jest modnęm, musi bydź pięknęm, chociaźby to robiło z kobiety karykaturę najsmieszniejszą w świecie. Toaleta młodszych kobiet jest w wysokim stopniu przesadna, bo zwiększona jeszcze tęg, że mają szczególne upodobanie w świecidłach wszelkiego rodzaju, których bez miary kładą na siebie. Starsze wiekiem a mianowicie wyższj sfery towarzyskięj ubierają się zupełnie inaczej, zwykle czarno, poważnie i jakby z innego zupełnie były kraju; odrębną wcale mają powierzchowność na ulicy, a powagą swego układu uderzająco się różnią od młodszych kobiet. W gruncie rzeczy mają one taką samą powierzchowność, jak i u nas ją mają starsze wiekiem panie, ale tu uwagę zwracają na siebie wydając się dziwnie korzystnie wśród młodej generacyi rażąco rozrzucouj w manierach, z efronterją wyzywającj, a pewnej siebie.

Łatwość dorobku i brak ludności sprawia, że wiele jeszcze gałęzi przemysłu pozostaje nie tylko że nie wyczerpane, ale nawet nie tknięte. Pomiędzy innemi zaniedbane tu jest jedwabnictwo i hodowla owiec: Stany-Zjednoczone nie mają wcale ani własnego jedwabiu ani wełny, pomimo że i jedno i drugie wybornie się produkować mogło; niedostatek tych dwóch tak ważnych materyałów bardzo dotkliwie daje się uczuć i stawia o wiele na niższym stopniu jak europejskie, wszelkie tutejsze wyroby łokciowych materyi. Fabrykańci wełnę i jedwab sprowadzają z zagranicy, lecz że to połączone z wielkim kosztem, o ile można więc starają się zastąpić je bawełną, i doszli do zadziwiającej doskonałości w nadawaniu jęj pozoru jedwabiu lub wełny. Zbyteczne używanie bawełny sprawia, że wszelkie wyroby tutejsze są w złych i nietrwałych gatunkach. Ludzie bogatsi posługują się towarami tylko zagranicznemi, które niewypowiedzianie są tu drogie. Rząd w celu powiększenia funduszów skarbu, jako też podniesienia rękodzielni krajowych, ustanowił niesłychanie wysokie cło od wszelkich towarów przywozowych; są produkta od których połowę właściwej wartości się płaci. Instytucya ta wprawdzie niepołamał skarb zasila, ale na przemysł rękodzielniczy bardzo szkodliwie oddziaływa. Wszelka produkcya zagraniczna będąc niezmiernie drogą, niej przystępną jest dla ogółu publiczności, a przemysłowcy krajowi nie będąc naciskani konkurencyą obcych fabryk, dają wyrób nędzny, tandetny, którym kupujący pomimo woli musi się zadowolnić w braku lepszego. Przytęg jest jeszcze jedna strona ujemna tego systemu administracyi, a to, że się nie kształci smak publiczności, która rzadko widując produkcye zagranicznych rękodzielni, niema zęcności porównać postępu i zadawalnia się tęg co widzi u siebie niedomyślając się nawet swego zacofania.

Widząc niedbałe i fuszerskie po większj części produkcye fabryk krajowych, a zupełne magazynów ubóstwo w towary rzeczywistj wartości, długo nie mogłam sobie wytłómaczyć jak to się dzieje, że wszakże w naszym kraju, a nawet po części i w całej Europie

wiele rzeczy z lepszych wyrobów, kupcy podają nam za wyrób amerykański. Objaśnił mię w tém niedawno pewien Niemiec oddający się specjalnie przemysłowi. To co my widzimy u nas noszące nazwanie wyrobu amerykańskiego, pochodzi istotnie z Ameryki, ale nie ze Stanów-Zjednoczonych, lecz z fabryk w posiadłościach angielskich, które rzeczywiście mają być znakomite i tak jak wszystkie fabryki angielskie celują doskonałością wyrobów i wykształconym smakiem; wyroby zaś amerykańsko-angielskie tém lepsze być mogą, że na nie i surowy produkt Indyów się składa.

Podobnie się téż dzieje z tytuniem, i przybywszy do Ameryki dowiedziałam się że te same gatunki amerykańskiego tytoniu o wiele są droższe w Stanach-Zjednoczonych aniżeli u nas w środku Europy. Stany w bardzo małej ilości produkują tytuń, i to w gorszych gatunkach, bo uprawa jest niedbała i nieumiejętna; ojczyznę zaś tych wyborowych cygar Amerykańskich, które na świat cały słyną jest Ameryka południowa, a mianowicie Antylle, że zaś od tego produktu większe jeszcze aniżeli od innych cło przywozowe w Stanach-Zjednoczonych opłacać potrzeba, więc lepsze cygara są tak drogie, że stanowią przedmiot zbytku, którego nie wiele osób pozwolić sobie może. Ztąd palenie cygar i papierosów nie jest tutaj tak powszechném jak u nas; ale zato Amerykanie mają zwyczaj żucia tytoniu, co i nie miłe jest do widzenia i bardzo szkodliwe ze względów sanitarnych. Zwyczaj to tak powszechny, że bardzo małe wyjątki nie ulegają temu nałogowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kongres geograficzny w Paryżu. Wystawa geograficzna w odbudowanej części pałacu Tuilleryjskiego: charakter jej międzynarodowy:—Cesarstwo Rosyjskie—Szwecya i Dania—Holandya—Belgia—Anglia i Indye Wschodnie—Niemcy—Austria i Węgry—Włochy—Szwajcarya—Hiszpania—Brazylia—Turcy—Rumunia—Egipt—Japonia—Stany-Zjednoczone—Chili i Argentyna—dział francuzki. Missye naukowe: sekoya szkoły języków wschodnich.—Wyprawa do Sahary.—Publikacye geograficzne.—Dzieła współczesnych podróżników.—Monografia miast i miasteczek.—Wystawa archeologiczna w pałacu Biblioteki Narodowej.—Wspomnienia mego życia artystycznego, przez Karolinę Bauer.—Poezye Juliusza Bretona.—Felicyano Castello, uczony Portugalczyk.—Szkoła archeologiczna w Atenach, inaugurowana przez Niemców w rocznicę śmierci Winkelmana.—Dramat muzyczny, przez p. Sohuré.—Opery Ryszarda Wagnera.—Les convoitises: powieść Tony Revillon. Voyage au pays des chimères, Antoniego Rondelet.

W chwili gdy rozpoczynamy kronikę naszą, Paryż przyjmuje reprezentantów całego świata naukowego, równie jak ich przyjmował w roku 1867; przyjmuje ich w części pałacu Tuilleryjskiego, świeżo odbudowanej z gruzów. Od lat ośmiu nie widział Paryż tak wielkiej uroczystości; kongresa bowiem i wystawy, jakie się w tych kilku latach powtarzały, nie wyłączając nawet kongresu orientalistów, którego ważność zaznaczyliśmy w swoim czasie, nie miały tak wielkiego znaczenia, jakie ma dzisiejszy kongres geograficzny. Tę wielką doniosłość nadaje mu jużto sam szeroki zakres geografii, ogarniający tyle gałęzi nauk, jużto współdziałł tylu uczonych towarzystw i samych nawet rządów.

Rozprawy kongresowe będą zapewne przedmiotem osobnego sprawozdania w Bibliotece, skoro ukończone zostaną. My ograniczymy się pobieżnym rzutem oka, na samą wystawę geograficzną, otwartą z powodu tegoż kongresu. Ta wystawa mieści się na pięciu piętrach, odbudowanego pawilonu Flory, równie jak w oranżeryi ogrodu Tuilleryjskiego i innych, zbudowanych na ten cel galeryach.

Każde państwo osobną zajmuje salę; przebiegnijmy długi ich szereg, zaczynając od krajów północnej Europy. Cesarstwo Rosyjskie przysłało ogromny zbiór kart i okazów etnograficznych. Opuściliśmy je, ponieważ dzienniki i pisma krajowe, zajmowały się już szczegółowo tym przedmiotem; idźmy więc do sal, przeznaczonych dla krajów skandynawskich. W pierwszej widzimy na ścianach ogromne mapy szwedzkie, wśród których panuje geologiczna karta Erdmana.

W wielkiej kolekcji minerałów, zwierząt i roślin kopalnych, uderza odlany z gipsu olbrzymi meteoryt, znaleziony w Grenlandyi, przez profesora Nordenskiöld, ważący do 20,000 kilogramów. Oryginał zachowany w Muzeum Akademii Nauk w Stokolmie. Zwraca także uwagę powszechną, wielki zbiór fotografii, przedstawiających grenlandzkie i lapońskie skały, wiecznym pokryte śniegiem.

Owe śniegi i lody, zaścieniające Skandynawią, nie wstrzymują przecież zamieszkujących ją ludów, od szybkiego i wszechstronnego postępu. Dość spojrzeć na ten statystyczny wykaz ludności szwedzkiej, wykonany z tak ścisłą dokładnością. W roku 1850, na jeden kilometr kwadratowy, liczono czterech zaledwie mieszkańców; dziś liczba ich dochodzi do dziesięciu!

Pomiędzy zabytkami archeologicznymi widzimy tu ciekawy atlas, nakreślony w roku 1698, ręką hrabiego Dahlberg: był on własnością Karola XII-go.

Sala duńska nadzwyczaj też zajmująca. Duńczycy jak wiadomo, dowiedli, że chwała z odkrycia Ameryki należy skandynawskim ich naddziadom, z X-go wieku. Uczony Krystyan Rafn, autor dzieła *antiquitates americanoe*, poświęcił długie lata, na udowodnienie tego faktu. Wszystkie prace Rafna, zebrane są na wystawie, a obok nich szczątki starego kościoła skandynawskiego, z runicznymi napisami, odkryte w Kakortoku.

Dział archeologiczny w ogólności bardzo bogaty. Zebrano tu wszystkie starożytne księgi i manuskrypta, traktujące o Danii, zaczawszy od Adama z Bremy z XI wieku, aż do wielkich atlasów nowoczesnych. Ciekawa nadzwyczaj mapa archeologiczna, jak niemniej rysunki dolmenów, tumuluzów, napisów runicznych, i t. p. wydane przez Towarzystwo starożytnicze w Kopenhadze.

W sali duńskiej widzimy malowane krajobrazy, pokazujące geologiczną formację skał, równie jak odrębną roślinność Północy. Obrazki rodzajowe dają poznać życie Grenlandczyków: płasy dziewcząt, podczas krótkiego lata, prace przy ognisku w ciągu tak długiej zimy. Mamy przed oczyma odzież ich ze skóry foków, narzędzia kamienne do dziś dnia używane, rzeźby na drzewie i kości, wykonane z pierwotną naiwnością. Widzimy wreszcie, pierwszy ich druk, słaby przedświt cywilizacji, datujący ledwie od roku 1856!

Wystawa holenderska ważna szczególnie dla erudyty! Wielkie jej bogactwo stanowią zabytki archeologiczne: pierwsze wydania Mercatora i Orteliusa, oraz znakomita kolekcja mapp Bodela z Leydy, obejmująca nie tylko starożytną geografią Niderlandów, ale niemniej geografią Galii, Italii, a nawet Indyi Zachodnich. Niepodobna nam opisać szczegółowo, skarbów crudycy tego wytrwałego ludu, który wykonał tyle dzieł wiekopomych, i umiał je przechować. Wspomniemy tylko: Memoryał Korneliusa Meyera, podany przed dwustu laty, papieżowi Inocentemu XI, wskazujący jakby uczynić Tyber spławnym i osuszyć Pontyjskie bagna. Inny rysunek własnoręczny Lcegwatera,

z 1640 roku świadczy, że Holandia przed dwoma już wiekami powzięła myśl osuszenia morza Harlemskiego, myśl urzeczywistnioną za dni naszych.

Obok tych starożytnych pomników, widzimy prace geografów dzisiejszych, odpowiadające godnie wielkim tradycjom przeszłości. Do tych należy mapa sztabu głównego, wykonana z drobiazgową ścisłością oraz kolekcya dzieł kart i rysunków, odnoszących się do Indyi Zachodnich, mianowicie do Jawy.

Belgia nie ustępuje Holandyi pod względem wartości nadesłanych przedmiotów; liczba ich tylko mniejsza. Królewska Biblioteka Brukselska nadesłała ze zbiorów dwa globy, niebieski i ziemski Merkatora, pyszne wydanie Ptolomeusza, z początku XVI wieku, z ozdobnemi mappami, oraz liczne plany i rysunki miast swoich, z czasów hiszpańskiego panowania. Ministeryum wojny przedstawia mappy na rozmaitych skalę i ministeryum prac publicznych znakomite karty mineralogiczne. Jest tu niemniej archeologiczna mappa Van der Maclena, i mnóstwo prac sławnych belgijskich geologów i etnografów, jak Omalus d'Halloy, Quetelet, Le Hou i t. p.

Dział angielski na pierwszy rzut oka przedstawia się wspaniale, a jednak specjaliści niezupełnie z niego zadowoleni. Ministeryum wojny, nie przysłało nawet swojej *Ordinance map*, któraby mogła współzawodniczyć z wielką kartą sztabu francuzkiego. Kraj arystokrata nie pragnie świecić w oczy drugim; nie dba o poklaski, zostawiając je chciwym hołdów parweniuszom. „Kto chce poznać skarby nasze, mówią Anglicy, niechaj przyjedzie do Londynu.“

Widzimy jednak w dziale angielskim, prawdziwe osobliwości nadesłane przez rozmaite ciała naukowe. Towarzystwo geograficzne londyńskie przedstawia w oryginalnych rękopismach mappy sławnych podróżników: Liwingstona, Burtona, Speka, Kirka, Bakera i t. d. oraz wielki zbiór wszystkich swoich publikacyi. Towarzystwo eksploatorów Palestyny, nadesłało liczne dzieła, karty i plany, a między i temi wielki plan *en relief* Jerozolimy, Góry Sinai, i innych sławnych miejsc Ziemi świętej.

Sekcyja indyjska, włączona do angielskiej wystawy, niesłychanie ciekawa z wielu względów. Widzimy tu szereg mapp, rycin i malowanych krajobrazów, przedstawiających sferę himalajską; wszystko to wykonane ręką młodych tubylców indyjskich.

Ogromna kolekcya etnograficznych typów, złożona z ośmiuset fotografii, stanowi ozdobę sali angielskiej i powszechną ściągę uwagę.

Niemcy większą jeszcze okazały wstrzemięźliwość. Znać wystawa paryzka jest dla nich solą w oku. Oprócz publikacyi statystycznego bióra pruskiego i bawarskiego, oraz małej liczby mapp geologicznych, królewskiej akademii w Berlinie, żadnych tu nie widzimy urzędowych dokumentów. Żadne też geograficzne towarzystwo z całych Niemiec, nie odpowiedziało na wezwanie Paryża. Sławni geografowie niemieccy Kiepert, Wappaus, Petermann, Stieler, Berghaus, Vogel,

Menke nie nadesłali bynajmniej prac własnych. Imiona ich figurują tylko na okładkach dzieł wystawionych przez domy handlowe. Z pomiędzy tych licznych publikacyj, zasługuje szczególnie na uwagę trzytomowe dzieło Petermanna, obejmujące zbiór materyałów do historyi poszukiwań, dokonanych w Australii, Afryce i pod biegunem północnym. W świeżo wydanym atlasie podręcznym Kieperta, Francuzi spostrzegli nie bez podziwu miasta Tuluzę i Bordeaux, zapisane po hiszpańsku, Marsylię i Niceę po włosku, miasto Lille w języku flamandzkim. Czyżby Niemcy w przewidywaniu nowego kataklizmu, obmyślali już podział Francyi? Takiz byłby cel nauk lingwistycznych, uprawianych w Niemczech z taką gorliwością? Francuzi jednak uważają już za ustępstwo ze strony zareńskich sąsiadów, że nie pokazali na wystawie mapp, na których wcielono do Niemiec te nawet części Lotaryngii i Alzacyi, które dotąd przy Francyi pozostały.

Z zabytków archeologicznych, Niemcy przysłały tylko dwie starożytne mappy Ameryki, wykonane w XVI wieku na rozkaz Karola V.

Węgry z Austryą tworzą nierozłączną jedność, tak na wystawie, jak i w polityce dzisiejszej. O ile Prusy z całym szeregiem aneksów okazały niechęć ku paryżkiej wystawie, o tyle znów Austrya okazała gotowość do jej uświetnienia; ministerya obu złączonych krajów, a za niemi towarzystwa naukowe i municypia, pośpieszyły z nadesłaniem tak starożytnych zabytków, jak i nowoczesnych prac swoich. Zwraca tu najsamprzód uwagę, wielka mappa geologiczna Austrii Hauera, wydana przez Instytut geologiczny w Wiedniu. Ciekawe niemniej plany *en relief* Budy-Pesztu i dalmackich portów Tryestu, Spaletro, Cattaro i t. d. Wśród niepoliczonych wydawnictw, uderza w oczy chromolitografowana mappa środkowej Europy, złożona z dwudziestu pięciu tablic, wykonana z wielką dokładnością. Żadne z państw nie przedstawiło tak zupełnej kolekcji dzieł statystycznych. Archeologia niemniej bogato reprezentowana. Widzimy tu planisfer wykonany na pergaminie r. 1553 w Arqua, przez Francuza Piotra Dessellier: podziwiamy w nim świeżość kolorytu wybornie zachowaną; uczeni zaś specjaliści zdumiewają się nad tém, że brzegi Afryki znane zaledwie od pół wieku, oznaczone tu z matematyczną niemal ścisłością. Przypisać-że to prostemu przypadkowi? czy też owe brzegi nie były już obce dawnym geografom? Pozostaje to zagadką dla nauki!

Wspomniemy tu jeszcze wielki zbiór zegarów astronomicznych, astrolabów i innych narzędzi, wyrobu niemieckich, włoskich i francuzkich mistrzów.

Jeżeli możemy zrozumieć wyrafinowaną niechęć Niemców do wystawy francuzkiej, nie umiemy sobie wytłumaczyć obojętności Włochów, od których mamy prawo wiele wymagać, z powodu wielkiej ich przeszłości historycznej. Byłaby to chęć naśladowania Niemców? Tak niestety sądzić należy, bo jeżeli Włochy w czasach najnowszych, oddani głównie polityce, nie mają z czém popisać się przed światem

naukowym, nie brak im przecież dawnych zabytków, przechowanych po tyłu starych grodach, nawet w oddziale geografii i etnografii.

W części Włoch, najważniejsza karta Piemontu, z końca XVII wieku, oraz mapa głównego sztabu piemonckiego, która posłużyła za wzór dla innych prowincyi.

Jeden z inżynierów medyolańskich przysłał ciekawy projekt drogi żelaznej przez górę Mont-Blanc.

Skromna Szwajcarya wyścignęła nietylko Włochy ale i nie jedno z wielkich państw, przedstawieniem doskonałej mapy sztabu, wykonanej przez generała Dufour, którego śmierć tak poruszyła niedawno świat naukowy. Obok tej zwraca uwagę karta geologiczna Szwajcaryi i atlas historyczny Voagego. Widzimy tu jeszcze plan tunelu pod górą św. Gotarda, maszynę do przebijania skały i wielki zbiór kryształów wydobytych z wnętrza ziemi. Szczególne zajęcie w dziale szwajcarskim, budzi znaczna kolekcya mapp, wystawionych przez nauczycieli wiejskich: mapy te wypracowane ręką uczniów, okazują wymownie postęp geograficznych nauk między ludem szwajcarskim.

Hiszpania jakkolwiek szarpana wojną domową, nadesłała jednak dwa pierwsze arkusze wielkiej mapy sztabu głównego rozpoczętej pod dyktando generała Ibanez, znakomity atlas pułkownika Coello, liczny zbiór kart morskich i hydrograficznych, oraz szczegółową mapę Fillipinów. Piękny plan Madrytu, zasługuje także na uwagę.

Brezylia nadesłała ważne dzieła statystyczne i mapy. Wśród tych odznacza się atlas Emanuela Liais, dyrektora obserwatorium w Rio Janejro.

Grecya nie dała znaku życia, chowa zapewne archeologiczne zabytki swoje na uświetnienie przyszłej niemieckiej wystawy, aby zapłacić Niemcom *kreu przelaną w sprawie jej niepodległości*. Są to słowa jednego z profesorów, wyrzeczone świeżo przy inauguracji archeologicznej szkoły niemieckiej w Atenach. Powiemy o tem niżej.

W dziale tureckim widzimy tylko fotograficzne panorama Konstantynopola, wykonane przez Francuza. Katalog jednak zapowiada rozmaite miejscowe wyroby, które wkrótce zapewne nadejdą.

Rumunia wystąpiła z częścią mapy sztabu przedstawiającą Wołoszczyznę. Mały ten kraj szarpany długą wojną, później pozbawiony niepodległego bytu, niewiele mógł dotąd uczynić dla nauki, dźwiga się jednak wszelką siłą, aby powetować czas stracony. Dowodzi tego zawiązane świeżo w Bukarescie Towarzystwo geograficzne. W stosunku do szczupłego rozmiaru jaki zajmuje na karcie Europy, kraj ten najliczniej może reprezentowany na kongresie paryzkim.

Rzecz dziwna, dlaczego Egipt tak zwykle skory do łączenia się z ruchem europejskim, nie przysłał nic na francuską wystawę? Nowo zawiązane Towarzystwo geograficzne w Kairze, chlubi się przecież prezydentem swoim Schwenfurchtem, sławnym ze świeżo odbytych podróży po Afryce środkowej. Chwilowe stosunki polityczne Egiptu do Francyi, tłumaczą ten stan rzeczy. Wiadomo że Francya nie chce

dotąd zrzec się przywilejów jakie otrzymała od sułtanów tureckich, pozwalających jej sądzić sprawy poddanych swoich, w obrębie państwa Ottomańskiego.

Co do krajów azyatyckich, widzimy tu Indie Wschodnie obok Anglii, Indo-Chiny obok Francyi, wyspy Fillipińskie przy Hiszpanii, Malezją przy Niderlandach. Sama tylko Japonia pokazuje się samodzielnie. W jej mappach wykonanych w XVIII wieku, uderza nadzwyczajna precyzya topograficzna. Uчени francuzcy zauważyli, że te mapy japońskie dokładniejsze od mapp francuzkich z tegoż wieku.

Ameryka słabo wogólności reprezentowana na wystawie. Stany Zjednoczone nadesłały zaledwie zbiór mapp Koltona, i kilkanaście rycin kolorowanych, a między niemi, widok międzynarodowej wystawy w Filadelfii. *Prima charitas ab ego*; idąc za tém przystowiem, Ameryka co ma najlepszego schowała na przyszłoroczną swoją wystawę.

Z południowych republik, dwie tylko, Chili i Argentyna, nadesłały mapy i dzieła geograficzne. Ostatnia przedstawia kilka ważnych zabytków z przeszłości, mianowicie wielką mapę Ameryki południowej z roku 1775, i rękopis przypisywany Kolumbowi.

Obiegwszy świat dokoła, przystąpmy wreszcie do Francyi; przystęp tu wcale nie łatwy, Francya bowiem, jako uprzejma gospodyni, przeznaczyła gościom honorowe miejsca, przy wielkiej duchowej biesiadzie, sama zaś pomieściła się gdzie mogła i jak mogła. To téż widzimy zbiory jej rozproszone po pięciu piętrach pawilonu Tuilleryjskiego, ale moźół hojnie się opłaci dla każdego kto go podejmie. Nowa tu jednak przedstawia się trudność. Jak mówić o tylu przedmiotach, z których każdy godzien szczegółowego opisu, gdy tymczasem, proste nawet wymienienie wszystkich przeszłoby o wiele ramy kroniki naszej!

W wielkiej sali pawilonu, przeznaczonój na posiedzenia kongresowe, główną ścianę zajmuje ogromna mappa sztabu, owoc kilkudziesięcioletniej pracy najbieglejszych inżynierów francuzkich, prawdziwe arcydzieło. Po raz pierwszy wystawiono ją całą na widok publiczny. Serca francuzów ścisną się na ten widok. Mappa wystawiona w całości, wówczas kiedy kraj szarpnięty w dwówiekowej catości swojej.

Pomijamy liczne kolekcyje ministerium oświecenia, i ministerium wojny, rozrzucone po różnych miejscach, przejdźmy na najwyższe piętro. Tu w ogromnej sali zobaczymy liczne przedmioty, zgromadzone przez członków sześciu missyi francuzkich, wysłanych w końcu zeszłego roku na wyspy Ś-go Pawła i Campbell, do Numei, Nangasaki, Pekinu, i Sajgonu, w celu obserwacyi nad przejściem planety Wenus przez tarczę słoneczną. Widzimy tu plany zwiedzonych stacyj, tablice meteorologiczne, okazy fotografij, oraz niezliczone zbiory z wydziału nauk przyrodzonych.

W inném miejscu, sekeya szkoły języków wschodnich, obejmuje liczne *fac simile* i oryginały kart arabskich, tureckich i chińskich. Gdzieindziej znów widzimy prace missyi naukowych, przedsięwzięte

pod opieką rządu przez uczonych jak Rey, Saulcy, Guerin, Perot, Gradidier i innych; dalej prace archeologów wydziału galskiego; niezliczone mappy dawniej Galii, reprodukcje starożytnych pomników i napisów.

Szczególną uwagę tak kongresu jak i zwyczajnych widzów, zwraca na siebie mappa kapitana Boudaire, wykonana z pomocą członków komisji, wysłanej do Afryki przez Towarzystwo geograficzne paryzkie, dla sprawdzenia, czyli podobna utworzyć morze na piaskach Sahary. Otóż więc badania na miejscu dowiodły w nieomylny sposób, iż większa część tego kraju niższą jest niż poziom morza Śródziemnego. Połączenie jednak nastąpić nie może, dopóki odpowiednie prace rozpoznawcze towarzystwa włoskiego przedsięwzięte, nie zostaną wprzód dokonane.

Wielcy wydawcy francuzcy wystawili w osobnych salach ważne publikacje: Hachette liczne książki i mappy Eugeniusza Cortemberta, nestora geografów francuzkich. Wielki atlas p. Vivien de st. Martin, *Tour de monde* pod redakcją Chartona, ogromną kolekcją przewodników Joanna, złożoną ze stu tomów, geografiją powszechną Reclusa i wiele innych dzieł równiej doniosłości. Delagrave wystawia kolekcją globów L'Assolant i Perigota, niezliczone karty, a między niemi wielką szkolną mappę Francji *en relief*, wykonaną przez L'Assolanta, i uczennicę jego pannę Kleinhaus. Belin, ukazuje atlasy geografii fizycznej i historycznej oddawna ocenione, Bertrand, pomnikowe publikacje Jomarda, Viquessnela i innych. Z pomiędzy tych dzieł, największe dla nas ma znaczenie podróz Viquessnela do Turcji, w której znakomity erudyta bada szczegółowo etnografią plemion słowiańskich i oznacza dawne wędrówki tychże ludów.

Wielu uczonych nie za pośrednictwem wydawców, ale na własną rękę wystawia swoje prace. Znajdziemy w tych stosach książek i rozpraw, ozdobionych mappami, planami i rysunkami, nadesłanych ze wszystkich części Francji, monografią szczegółową każdej okolicy, każdej góry i doliny, każdego miasta i miasteczka, każdej ważniejszej wioski. Takie to pojedyncze dzieła, opracowane dokładnie pod względem historycznym, etnograficznym i topograficznym, okazujące stosunek mieszkańców do miejscowości, i ich tradycje i zwyczaje, stanowią zbiorowo najznakomitszy pomnik geograficzny, jakim kraj pochlubić się ma prawo. Przekonani jesteśmy, że cudzoziemcy patrząc na taki ogrom prac zbiorowo dokonanych, na taką decentralizacją naukową, która przedewszystkiem daje rękomię prawdziwego postępu, odwołują zdanie lekkomyślnie powtarzane za Niemcami, że Francuzi nie znają geografii kraju swego. Wprawdzie ta nauka, nie jest tu jeszcze tak popularną jak w Szwajcaryi, Holandyi, Szwecyi i innych skandynawskich krajach, nie sądzimy jednak aby wieśniak z Brandeburgii lub Pomorza, lepsze miał wyobrażenie o całości Niemiec, niż Bretończyk lub Awerniak o całości Francji.

Liczni podróżnicy i eksploatatorowie przynoszą tu swoje plony, zebrane na całym obszarze kuli ziemskiej: Beauvoir trzytomową, a tak popularną podróż w około świata, i obok niej znakomitą kolekcją etnograficzną zebraną u rozmaitych ludów; ksiądz Durand opis misji katolickiej, w Południowej Ameryce z bogatym atlasem.

Pinard podróże po kraju Alaski; Tremcane po Sudanie i Azji Mniejszej; admirał Dupre, mapę Kochinchiny; Mariette, Bey, kartę Palestyny i Etyopii, według starożytnych egipskich pomników.

W jednej z sal uderza w oczy, wielka biograficzna mapa Eugenia Cortemberta; przed kilku miesiącami byliśmy obecni na zwyczajnym zebraniu Towarzystwa geograficznego, kiedy uczony ten przedstawiał członkom ową mapę, zaledwie naszkicowaną, oznaczającą siły intelektualne Francji, rozrzucone po całym jej obszarze. Mówiliśmy już o tej ciekawej pracy która nasuwa tyle nowych pytań, co do stosunku człowieka z ziemią macierzystą. Żałujemy że nam niepodobna zatrzymać się dłużej nad tak znakomitą dziełką, godną szczególnego zbadania.

Z tego pobieżnego rzutu oka, widzimy jak niezmordowaną działalność okazała Francja, w obec cudzoziemców zebranych na kongres geograficzny. Obok tych dowodów żywotnej pulsacji, niesparaliżowanej skutkiem kłesk i tak obitego krwi upływu, Francja przedstawiła jeszcze obcym erudytom, bogate zasoby naukowe, nagromadzone w pasmie wieków. Te starożytne pomniki zapełniają szereg sal w pałacu Biblioteki narodowej. Wystawiono je tam z powodu, że statuta Biblioteki zabraniają wyraźnie, wyprowadzać za obręb gmachu, zachowywanych w nim skarbów. Eugeniusz Cortembert, bibliotekarz sekcji geograficznej zajął się sam urządzeniem tego działu wystawy.

Pierwsza sala wyłącznie poświęcona pracom ekspedycji Egipskiej z roku 1798. Wśród mnóstwa ksiąg, planów map i rysunków, widzimy portrety wszystkich członków ekspedycji, wodzów wojskowych, uczonych i inżynierów, wykonane pędzlem Dutetra, który należał także do wyprawy. Z nowych pomników pomieszczono tu tylko panoramę kanału Sueskiego, ofiarowaną bibliotece przez Lesepsa, którą widzieliśmy na wystawie powszechniej w roku 1867.

Druga sala poświęcona Chinom i Japonii. Ściany całe zawieszono mappami niebieskiego państwa i Niponu. Wiele z nich wykonali misjonarze Jezuitów w ciągu wieku XVII.

W galerji Mazaryn niesłychana panuje rozmaitość. Spozrzegamy tu ogromną kolekcją mapp d'Anvilla złożoną z trzechset arkuszy, nakreślonych ręką wielkiego geografa XVIII wieku. Na ścianach gdzie rzucić okiem porozwieszane karty różnych krajów i wieków, najrozmaitsze formą i wykonaniem, okrągłe, podługne, czworokątne, w kształcie serca i t. p. W pośród nich świeci kruk biały, mappa świata Merkatora z roku 1569, jedyny egzemplarz jaki istnieje w świecie. Równie ciekawy unikat Sebastjana Cabot z końca XV wieku; zamieszczony poniżej napis oznajmia, że Jan i Sebastian Cabot pierwsi do-

płynęli do stałego lądu Ameryki, w roku 1494, to jest na lat cztery przed Krzysztofem Kolumbem.

Do najrzadszych osobliwości należą mapy trzech części starożytnego świata, na których *Pater Noster*, wypisany w rozmaitych językach, stanowi linię graniczną, pomiędzy jednym krajem a drugim. Ciekawa także mappa pomysłu Mahe de la Bourdonnaie, wziętego w Bastylji, narysowana sadzami i fusami od kawy na dwóch chustkach do nosa.

Widzimy tu liczny zbiór portulanów, czyli mapp morskich i portowych z XV wieku, wykonanych na wyspie Majorce, tém sławném gnieździe żeglarzy średniowiecznych; widzimy bogatą kolekcją egzemplarzy Ptolomeusza, po grecku i łacinie. Jeden z nich nadzwyczaj ozdoby, nosi cyfrę Henryka II, inny był własnością Macieja Korwina. Ważny niemniej arabski rękopis geografii Edrisiego, zabytek z XII wieku. W wielkim zbiorze globów, uderzają dwa olbrzymie Coronalego z 1683 roku, liczące blisko cztery metry średnicy.

Patrząc na te nieocenione skarby erudycyi, pielęgnowane troskliwie w długim szeregu wieków, dreszcz przechodzi na myśl, że mało brakowało, aby te wszystkie drogocenne zabytki nie stały się garścią popiołu, przez szaleństwo nihilistycznych reformatorów, którzy zamierzili odbudować społeczeństwo, zacierając ślady dwódziesięciowiej cywilizacyi.

W bieżącej literaturze niemieckiej, mało publikacyi zyskało tak wielki, a zarazem tak zasłużony rozgłos, jak dwutomowe dzieło pod tytułem: *Wspomnienia mego życia artystycznego*, przez Karolinę Bauer. Pierwszy tom drukowany był przed trzema laty, w peryodycznym piśmie: *Ueber Land und Meer*; drugi wyszedł w Berlinie kilka miesięcy temu. Trzydzieści kilka dzienników, gorącym pochlaskiem przywitało ten utwór: pierwsi pisarze niemieccy, jak powieściopisarze Freitag, poświęcili mu rozbiór obszerny i szczegółowy.

Pochwały te nie dziwią nas bynajmniej. Znakomita artystka która nakreśliła te wspomnienia, przez lat dwadzieścia dwa była pierwszorzędną gwiazdą sceny niemieckiej. Podziwiano jęj grę, tak w Berlinie, jak w Dreźnie, Wiedniu, słowem we wszystkich miastach od Renu po Dunaj i Wartę. Gdziekolwiek przebywała, żyła otoczona gronem pierwszych pisarzy i poetów. Było to w czasach najbujniejszego rozkwitu sztuki dramatycznej w Niemczech, w chwilach pamiętnych walk, kiedy romantyzm, reprezentowany przez Ticka i jęgo szkołę, zatriumfował nad zużytym klasycyzmem. Autorka obszerne miała pole do zbierania bogatych wspomnień, a pełna zapatu dla sztuki, obdarzona prawdziwym talentem pisarskim, umiała ożywić te wspomnienia i upleść z nich najpiękniejszą wiązkę. Wybornie określił ową pracę, znany krytyk berliński Ludwik Schnejder:

„Jestto—mówi on—pełne wdzięku zjawisko w literaturze, autorka zachowała gorącą miłość sztuki, lubo oddawna oddalona od te-

atru, żyje dziś w innych sferach. Główną zaletą ślicznego dzieła, jest wdzięk połączony z taktem. Wszystko tu harmonijne, niedopatrzyć nigdzie sarkazmu, ani złośliwości, prawda odbija w każdym słowie, opowieść wymowna a zarazem pełna prostoty, zachwyca czytelnika.“

Widzimy tę prostotę w pięknym liście, który autorka posłała razem z rękopisem redaktorowi przeglądu: *Ueber Land und Meer*; list ten zamieszczony przy osobnym odbiciu dzieła, zasługuje na powtórzenie.

„Nie byłam ja najpierwszą ani najstawniejszą w gronie artystów mego czasu, ale miałam szczęście współdziałać w chwili rozkwitu sztuki dramatycznej w Niemczech z najświetniejszymi jej przedstawicielami. Niezwyciężony popęd zmusza mnie do mówienia o nich i o życiu artystycznem tej epoki. Z najżywszym zapałem dla sztuki, wypłacam dziś dług serca, odzywając pamięć wiosennych dni życia mego. Obrazy te wzięte żywcem z natury, starałam się kreślić je wiernie, bez pretensyi, z zupełną bezstronnością. Może te wspomnienia potrafią jeszcze zająć dzisiejsze pokolenie.“

Nie omyliła się autorka. Wspomnienia jej zajęły żywo wszystkich: starsi czytając je, przypominają sobie wielką artystkę, która ich niegdyś zachwycała nieporównaną grą, a zarazem pięknością oblicza i postawy; młodzi znajdują w nich wierny obraz świetnej epoki dramatycznej, której blask zatarł się od lat wielu.

Dzieło Karoliny Bauer wybornie odpowiada tytułowi. Nie są to pamiętniki pisane systematycznie z roku na rok, ale raczej wspomnienia kreślone swobodnie w miarę jak się nasuwały na pamięć. Gorące słowa które autorka na samym wstępie poświęca ukochanej matce, chwytają odrazu za serce czytelnika. Piękna to w rzeczy samej postać, ta matka, wdowa od dwudziestu trzech lat życia, gdy mąż walczący w szeregach Napoleona padł ugodzony kulą pod Aspern, młoda, dorodna, a tak wyłącznie poświęcona czworgu małym sierotkom. Co chwila spotykamy w wspomnieniach ową matkę, która ani na chwilę nie opuszczała córki i przez cały ciąg artystycznego zawodu otaczała ją najtroskliwszą opieką. Z wielkim życiem kreśli autorka obraz lat dziecinnych i zabawy z braćmi, którzy przezwali ją małą komedyantką i publiczne wystąpienie w Carlsruhe, i wielką radość, gdy w szesnastym roku życia odebrała pierwsze oklaski i pierwsze pięćdziesiąt guldenów z dyrekcji teatru. Wspomina potem pobyt swój w Paryżu, gdzie przebywała rok cały, dla zbadania gry sławnej panny Mars i innych artystów tej epoki. Opisuje dalej wystąpienia swoje w Berlinie, Dreźnie, Wiedniu, Królewcu i innych miastach niemieckich.

Sztuka dramatyczna, kwitnąca podówczas w całych Niemczech, najświetniej reprezentowaną była w Dreźnie, pod kierunkiem sławnego dramaturga, krytyka i poety Ludwika Ticka. Tu Karolina Bauer przybyła w roku 1835, w całej pełni talentu i sławy; tu spędziła lat dziewięć i tu ze śmiercią matki zakończyła świetny swój zawód. Dre-

zno téż najżywiej odbiło się w jéj pamięci: najciekawsze poświęca mu wspomnienia.

Przybyła do Drezna w chwili gdy sławna artystka Rettick uczennica Ticka, opuszczała scenę w skutek nieporozumienia z mistrzem swoim. Potrzeba było przedewszystkiém zjednać sobie względy słynnego dramaturga, lecz jak tu do niego przystąpić. Młoda artystka udaje się kolejno do rozmaitych osób, to do dyrektora teatru Bottigera, to do sławnego artysty Devrient'a, z prośbą by ją przedstawili Tickowi. Ale każdy wymawia się grzecznie, każdy z nim poróżniony! Strach ogarnia artystkę!.. jak tu szukać znajomości z człowiekiem, który z nikim zgodzić się nie może? a jednak bez Ticka, wstęp do teatru niepodobny! Baron Sternberg poprowadził ją wreszcie do domu straszego dramaturga.

„Tick—mówi autorka—liczył wtedy z górą lat sześćdziesiąt, ale cała jego postać miała w sobie coś młodzieńczego. Czapeczka czarna włożona fantastycznie, pięknie odbijała przy kształtnych rysach i ciemnym wyrazistém oku. Ręce miał alabastrowej białości, troskliwie wypielegnowane; czarujący uśmiech igrał na świeżych jego ustach; głos metaliczny mile potęrać ucho.”

Przyjęcie odbyło się w sposób prawdziwie uprzejmy. Tick sły-szał już o panie Bauer, pragnął więc zatrzymać ją w Dreźnie, obiecał wszelką radę i pomoc. Zaprosił ją wraz z matką na wieczorne odczyty.

Te odczyty sławne były w swoim czasie. Podróżni nawet zwiedzający Drezno, uważali za obowiązek słuchać czytającego Ticka, tak samo jak obejrzeć Grüne-Gewelbe lub galerie obrazów. W żywy i zajmujący sposób autorka opisuje te wieczorne zebrania. Pani Tick z dwoma córkami, przyjmowała gości w salonie. Przed siódmą wchodził Tick z powagą monarszą, okrzyki dokola sałę, tu mile się uśmiechnął, tam wyrzekł grzeczne słówko, z postawy jednak i obejścia, znać że wszystkich traktował z góry nie wyłączając ludzi prawdziwej zaskugi i talentu.

Wśród gości zajmowała honorowe miejsce, chuda, wysoka hrabina Finkenstejn, od lat trzydziestu przyjaciółka poety, zagorzała jego wielbicielka. Tick był dla niej istném bożyszczem.

O siódméj stawiano przed poetą stolik i dwie woskowe świece. Następowala w sali wielka cisza. Tick otwierał książkę lub rękopism. Co będzie czytał? pytali wszyscy w duchu, nikt przecież nie ośmielił się wyrzec słowa. Sala zwłaszcza latem przepelniona była duszącą atmosferą, lampy gasły od upału i wilgotnych wyziewów.

Tick czytał w nieporównany sposób, zmieniał głos stosownie do przedmiotu. Umiał podnieść każde słowo, uwydatnić każdy celniejszy ustęp. A jednak gdy przyszła kolej na szekspirowskiego Ryszarda albo Henryka, lub co gorsza na jaką starą komedię tłumaczoną z hiszpańskiego, słuchacze byli na torturach. Tropikalny upał oddziaływał na nerwy. Nad tę duszącą atmosferę, stokroć bardziej ciężką

argusowy wzrok hrabiny Finkenstejn. Przez trzy godziny, ta kobieta istna mumia, prowadziła oczyma po wszystkich, śledząc badawczo ażali kto nie popełnił zbrodni przeciwko uwielbionemu jej bożyszczu. Biada temu kto ziewnął albo senną pochylił głowę, biada temu na których ustach zaigrał niewinny uśmiech, biada temu kto opuścił salę! Nic nie uszło oka hrabiniej, pełniącej obowiązki nieprześląganego a co gorsze dobrowolnego policyanta!

Hrabina od trzydziestu lat nie opuściła ani jednego odczytu, każdą sztukę Szekspira słyszała przynajmniej po sto razy, na twarzy jej odbijał przecież zawsze gorący entuzjazm, ona pierwsze dawała hasło do oklasków.

Cóżto dopiero kiedy Tick odczytywał własny swój utwór! Byłaż to prawdziwa uroczystość. Sala oświetlona była wspanialej, nawet świece woskowe grubsze. Do herbaty podawano ciasta w miejsce bułek. Kto nie przyszedł, wpadał w niełaskę, poeta temu przebaczał takiej zniewagi. Owe to nieszczęśliwe odczyty, pokłóciły go z całą niemal inteligencją drezdeńską.

Kiedy Tick czytał własny dramat, ubierał się we frak, wiązał na szyi krawat biały. Hrabina Finkenstejn stroiła się także jak do dworu. Wówczasto oczy jej pilniej jeszcze śledziły każdy ruch audytoryum, chude jej ręce tém mocniej klaskały, z piersi jej tém głośniejsze wybiegały okrzyki. Do ulubionych jej sztuk należał dramat *Siwobrody*, słuchając go wpadała w zachwyty dochodzący do szału.

Karolina Bauer umiała panować nad sobą; nigdy argusowy wzrok hrabiny nie dopatrzył uśmiechu na jej ustach, mimo że ta zmuszona powaga wiele nieraz kosztowała wesołą i pełną życia artystkę. Pilniej ona czuwała nad matką: aby odegnąć nieproszony sen od jej powiek, przed każdym odczytem rozbudzała ją filiżanką najmocniejszej kawy. Umiała też zniewolić sobie poetę i groźną hrabinę. Tick coraz większe okazywał jej względy; onto ośmielił ją do poprobowania się w dramacie, dotąd bowiem grywała tylko w wyższych komedjach; przy nim panna Bauer wystudowała rolę Maryi Stuart, w której zdobyła nowe tryumfy i wieńce. Uszczęśliwiony Tick, widział w niej godną zastępczynię panny Rettich; sam więc skłonił ją do układu z dyrekcją teatru drezdeńskiego, na którym miała świecić przez lat dziewięć jako pierwszorzędną gwiazda.

Artystka wdzięczna poecie odwiedzała go często; powtarzała przy nim role, skłaniała ucho na doświadczone jego rady. Zawięzała przyjacielskie stosunki z jego dwoma córkami, mianowicie starszą Dorotą, znaną w literaturze z przekładów Szekspira. Nie opuszczała żadnego odczytu; nad te jednak urzędowe a tak pretensjonalne zebrania, wołała stokroć wieczory w kółku rodzinném poety. Wówczasto Tick prawdziwie był przyjemnym. Opowiadał o dziecińczych swych latach spędzonych swobodnie, o burzliwej młodości, o dalekich podróżach, o zaciętych walkach z klasykami, zwłaszcza z satyrycznym Falkiem i z Iflandem, autorem *Kamelcony*, nieprześląganym wrogiem szkoły

romantycznój, którój Tick głównym był przedstawicielem. Nieraz poeta ciekawe opowiadał szczegóły o wielkich pisarzach, których spotykał w ciągu życia. Wielbiciel Klopstoka odwiedził go w Hamburgu; w młodzieńczej wyobraźni stworzył sobie idealną postać wieszczą; jakież był jego zawód, kiedy przestąpiwszy próg autora Messyady, ujrzał prawdziwy typ starego profesora niemieckiego w poplamionym szlafroku, z fajką w ustach. Łatwo pojąć, jak wytworny poeta z rękoma alabastrowemi, dbały do zbytku o własną powierzchowność, zgorzony być musiał tym widokiem!

Z poglądem głęboko psychologicznym autorka kreśli obraz Ticka; najmniejszy rys nie uchodzi jój uwagi. Patrząc na odmalowanego przez nią poetę, widzimy w nim szczególne podobieństwo z Goetem, Jowiszem wejmarskim. Obaj zimni samoluby, poglądali na życie przez osłonę gazy różowój; obaj wyrobili w sobie stoicką filozofią, podnosząc się myślą nad poziom, w obawie aby kolce żywota nie stargały olimpijskiego ich spokoju. Ilekroć spotkała Ticka jakaś przygoda, powtarzał chłodno: „mogło być jeszcze gorzej!” Kiedy mu ludzie dokuzyli odpowiadał: „nie zmienię tego co się stało, mamże się próżno skarżyć?”

„Nie widziałam człowieka—mówi autorka—aby tak był z siebie zadowolony. W późnym wieku czuł się szczęśliwy, jakby w latach najpiękniejszej młodości. Starość to przesąd, mawiał, serce może zachować świeżość młodzieńczą. Przed okiem prawdziwój miłości włos siwy nie istnieje!”

„Tak myślał Tick, tak myślała hrabina Finkenstein—dodaje do wpinie Karolina Bauer i opowiada scenę jakiej była naocznym świadkiem. Razu jednego powtarzała rolę w gabinecie Ticka, było to w piękny dzień majowy. Poeta w wybornym był humorze. Nagle otwierają się drzwi biblioteki, ukazuje się wysoka, chuda postać w białej sukni przestarzałego kroju, opasana szarfą różową, w stroiku z różowemi wstążkami, przy których przykro odbijała pargaminowa cera. Artystka onemiała na ten widok; zdało jój się że widmo *Prababki* Grillparzera stanęło jój przed okiem.

Była to hrabina Finkenstein. Przystąpiła do poety, powitali się oboje najmiłszym uśmiechem.

— A co? wszak hrabina zachwycająca—rzekł Tick—zwracając się do artystki; ustroiła się tak pięknie, gdyż mamy być razem na *Zaczarowanym flecie* Mozarta.

Artystka wlepiła oczy w Ticka, nie znajdując słów na odpowiedź. Serce jój ścisnęło się na myśl, że kiedy wieczorem zasiądą w teatrze, on złamany podagrą, ona w tych różowych wstęgach przy trupiěj twarzy, tak weseli i uszczęśliwieni z siebie, będą celem ogólnego pośmiewiska. I tak też bywało w rzeczy samój!

Karolina Bauer nie mogła przebaczyć hrabinie śmieszności jaką rzuciła na starego poetę. Gniewał ją ten dym kadzideł, sypany zbyt szczerą ręką, który upajał Ticka. Hrabina była dlań pochlebném

zwierciadłem: poeta patrząc od lat trzydziestu w to zwierciadło, urosł w pychę, stał się pretensjonalnym i niezdolnym dla wszystkich. Córka jego Dorota, czuła ten stan anormalny w bardzo dotkliwy sposób. Ona jedna w domu przeciwważyła wpływ hrabiny, lecz walka była trudna. Tick coraz bardziej był wymagającym, coraz drażliwszym na najmniejsze uchybienie. Wkrótce i panna Bauer popadła w niełaskę. Raz podczas odczytu, odsunęła się nieznacznie od stolika; tegoż wieczoru spotkała groźny wzrok hrabiny. Tick grzecznym był wprawdzie, ale pod tą pozorną słodyczą czuć było widoczne oziębienie. Młoda uczennica która, jak mawiał, wносиła słońce do jego gabinetu, otąd znajdowała nieraz drzwi zamknięte przed sobą. Coraz grubszy cień rozpościerał się pomiędzy nią a mistrzem. Nie przyszło do zerwania, ale dawny stosunek nigdy już nie powrócił. Artystka cierpiała na tém wiele, gdyż oceniała literackie zasługi Ticka; on zaś okazał zupełną obojętność.

Samolubny ten człowiek zimno przyjął także śmierć żony, z którą przeżył lat wiele. Cięższa próba miała go wkrótce dotknąć: po matce umarła Dorota w r. 1841. Dorota była mu nie tylko córką, lecz i dzielną pomocą w literackiej pracy. Ona jedna przywodziła go niekiedy do upamiętania w szalonej pysze; łagodziła w stosunkach z ludźmi, osłaniała jego dziwactwa; ona sama ośmielała się czasem występować do walki z hrabiną.

Dorota unierała spokojnie; zmordowana życiem, zdawała się szczęśliwa, jak żeglarz, który po mozolnej żegludze przybija nareszcie do lądu.

Patrząc na córkę konającą i szczęśliwą ze śmierci, Tick poraz pierwszy może spojrzął w głąb duszy własnej; poraz pierwszy uczuł, jak straszno samolubstwem swoim ciężył każdemu kto się zbliżył do niego. Gdy Dorota skonała, zamknął się w swym gabinecie; tam wylewał samotnie łzy boleści i gorzkiego wyrzutu.

Przyszły inne jeszcze kłopoty. Hrabina straciła majątek, nie mogła jak dawniej śpieszyć z pomocą w każdej chwili; zdrowie ją opuszczało, oczy gasły; Tick starzejący się coraz bardziej, pozbawiony prawej ręki w zdolnej Dorocie, nie był w stanie zapracować na konieczne potrzeby życia. Młodsza córka poszła zamąż, dom opustoszał; odczyty powtarzały się jeszcze, lecz na każdym z nich więcej było próżnych niż zapełnionych krzesel.

Tick przecież pod szczęśliwą urodzony gwiazdą, miał jeszcze wpłynąć z oddechu. Fryderyk Wilhelm IV, miłośnik literatury i nauk, wstąpił na tron w tych czasach; powołał go do Berlina, ofiarował trzy tysiące talarów pensyi; słynny poeta został królewskim czytelnikiem. Umarł w roku 1853; na kilka lat przed nim umarła ociemniała hrabina. Do ostatniej chwili wykwinął starzec zachował niejaką świeżość młodzieńczą, tak w umyśle jak i w powierzchowności. W ostatnich czasach złagodniał widocznie; znać pycha opuszczała go w miarę ustającego wpływu hrabiny.

Karolina Bauer z równem życiem kreśli obraz wielu znakomitych osobistości. Łatwo pojąć jaki powab wspomnienia jęj mają dla Niemców. Ztąd tęż baron Friesen, autor studyów nad Tickiem, z zapałem mówi o jęj pracy.

Podziwiamy w autorce tęż samą świeżość jaką ona podziwiała w Ticku. W tēm ona jednak nieskończenie przewyższa poetę, że kiedy u niego umysł tylko był świeży, obok wyschtęgo serca, u nięj zaś serce równie jak umysł i wyobraźnia, tchną prawdziwie młodzieńczym wdziękiem. O własnych tryumfach, mówi po prostu, bez przechwałki, o drugich wspomina z pobłażaniem, bez sarkastycznej zółci. Nigdzie niedopatrzeć skandalu; z pod jęj pióra tryska prawdziwy dowcip, pobudzający nieraz do wesołego śmiechu. Nic pocieszniejszego na przykład, jak ustęp w którym opisuje grono wielbicieli krażące w około nięj, jak rój owadów w około rozkwitkęj róży. Jeden z *twarza błękitną*, zeszepeconą przypadkiem, ukazuje się tylko przy księżycowym blasku; drugi bogaty bankier, ma na nosie szczególną jakąś kulę, to wyskakującą to zmniejszającą się na przemiany; trzeci oficer pruski, wyuczył się komplementów z jakiegoś świeżęgo romansu i powtarza je bezustannie; czwarty przynosi każdą złośliwą krytykę, wymierzoną przeciw artystce, może nieraz z jęgo własnego poduszczenia i przyrzeka jęj protekcją u dziennikarzy. Wyborny kalejdoskop! artystka zarzuca swobodnie z tych barwnych motylów i brzęczących szerszeni; zamilowana w sztuce nie zważa na nich, uczy się, pracuje, idzie coraz to dalęj, coraz wyžęj i przyczynia się dzielnie do tego blasku, jaki w owym czasie otaczał dramatyczną sztukę niemiecką.

Zakończymy sprawozdanie nasze szczegółem, który tēm sympatyczniejszą czyni dla nas autorkę pamiętników.

Na wiosnę w roku 1838, z towarzystwem artystów niemieckich panna Bauer przybyła do Poznania. Był tam w owym czasie polski teatr. Gra aktorów naszych zajęła w najwyższym stopniu artystkę niemiecką. Jakkolwiek nie znała języka, uczęszczała jednak z prawdziwą przyjemnością na widowiska polskie i nieraz stawiała naszych artystów za wzór kolegom swoim. W roku 1843, w przejeździe do Bydgoszczy, zatrzymała się znów w Poznaniu. Dyrektorka teatru polskiego, zaliła się przed nią na obojętność ówczesnej polskiej publiczności. Panna Bauer postanawia przyjść jęj w pomoc. Nalega o przetłumaczenie słynnego ówczesnego melodramatu, p. t.: *Sierota i morderca*. Główną osobą sztuki jest tu młody Wiktoryn, który utracił mowę w skutek wrażenia jakiego doznał, patrząc na śmierć zamordowanego ojca. Widok zabójcy rozwiązuje mu usta. Sławna artystka przyrzeka odegrać rolę niemowy. Wkrótce przedstawiono melodramat. Imię panny Bauer wydrukowane na afiszu, ściągnęło niezliczone tłumy widzów. Ostatnie słowa wyrzeczone przez nią po polsku: „Fryderyko! o Boże!” wywołały niesłychany zapół. Przedstawienie powtórzyło się kilka razy. Teatr polski powstał z upadku, dzięki współdziałaniu znakomitej artystki niemieckięj.

Szczegół ten, niezamieszczony w tomach dotąd wydrukowanych, znany nam z opowiadania saméjże autorki. Należy on właściwie do trzeciego tomu, który wkrótce opuści prasę. Sądźmy że ten trzeci tom nie wyczerpie jeszcze bogatego zasobu wspomnień, zbieranych przez autorkę w ciągu długiego zawodu artystycznego, przechowanych tak żywo w sercu i pamięci, a oddanych z tak prawdziwym talentem.

W sprawozdaniu naszym o tegorocznej wystawie obrazów, zwróciliśmy szczególniej uwagę na *Taniec sobótkowy* Juliusza Bretona; wspomnieliśmy téż pobieżnie o zbiorze poezyi tego znakomitego artysty. Zbiór ten zasługuje na dokładniejsze zbadanie; wracamy więc do niego.

Nagłe zjawienie się poezyi Bretona zdziwiło Paryż, nikt bowiem nie wiedział, że mistrz pędzla, równie mistrzowsko włada słowem. Krytycy w obawie aby nie posunąć się zbyt daleko w pochwałach, pod urokiem arcydzieł, jakimi Breton zjednał sobie w sztuce malarskiej pierwszorzędne stanowisko. Krytycy z razu jęli zbywać te poezye grzeczném zaledwie słówkiem, niektórzy nawet ogłosili wręcz, że malarz powinien raczej pilnować pędzla, niż uplatać wieniec na inném polu. Ubodła nas taka niesprawiedliwość, gdyż czytając poezye Bretona, uczuliśmy w nich odrazu gorące tchnienie poezyi. Z prawdziwą téż radością napotykaemy sprawozdanie pierwszego z krytyków p. Pawła St. Victor, który sam jeden z całej prassy francuzkiej, godnie dziś zastępuje zmarłego Juliusza Janin. Wysoko podnosi on Bretona jako poetę, w utworach jego widzi prawdziwą oryginalność, o którą tak trudno w tym czasie. „Oryginalność Bretona—mówi krytyk—właśnie na tém polega, że pisząc pozostaje malarzem. Patrzy on na przyrodę, okiem wprawném do chwywania najdelikatniejszych odcieni; każde téż jego słowo zaprawne harmonijnym czarem kolorytu. Malownicza jego poezya, pełna ruchu, powietrza i woni, a co więcéj gorącą ogrzana miłością; celem jéj ziemia z całym swoim bogactwem, ale stokroć bardziej człowiek, który uprawia tę ziemię i podsyca ją potem własnego czoła.”

Zdanie Pawła St. Victor, powagą jest dla Francyi. Dzięki jego odezwie, Juliusz Breton ukazał się ledwie na literackim widnokręgu, zwiększył w mniemaniu powszechném, mały zastęp prawdziwie oryginalnych pisarzy.

Te same zalety jakie cechują malowane obrazy Bretona, stanowią cechę wyśpiewanych jego obrazków. On pierwszy odtwarzając pędzlem lud wiejski, zerwał z niesmaczną sielankową manierą; on pierwszy pokazał typową piękność kmiotka, czyto gdy stąpa schylony nad pługiem, czy kiedy pełną garścią posiewa ziarno w rolę; czy kiedy siedząc na snopach istny tryumfator, zwozi do stodoły świeżo užęte plony. Nic piękniejszego nad te dziewoje wiejskie, schwycone śmiałym jego pędzlem. Żadna z nich nie przypomina owych floryauowskich pasterek, za któremi przepadał skażony smak XVIII wieku. Dziewczy-

ny Bretona, to krew z krwi, kość z kości tych starożytnych galskich matron, co zrodziły Brenusów, Wercyngetoryksów i pogromców germańskiego Argowista! Od lat dwónastu, jak śledzimy pilnie paryżkie wystawy, podziwialiśmy już nieraz owe krzepkie dziewoje, to na łące z grabiami, to pielące grzędy przy odbłasku wieczornej zorzy, to u źródła z dzbanem na głowie, proste i poważne jak Rachele lub Nauzyki, to płasające żwawo przy ogniu sobótkowym. Wszystkie te dziewoje odżyły dziś w pieśni Bretona. Obok znanych typów, widzimy jeszcze nowe, które malarz odtworzył pędzlem bez wątpienia. Zobaczmy na przykład ową dziewczynę zbierającą kłosa na zagonach.

Dziecko pół, wyraz dumy z dzikością zmieszany
Odbija na jój czole; postać jój wspaniała,
Gdy porankiem przebiega pokoszone łąny,
I nóżką bosą pyłu podnosi tumany;
Złotym światła odbłaskiem upowiła cała.

Krzepki oddech podnosi drgające jój łono,
Idzie po twardém rżysku... Nic jój nie ustrasza:
Dwie czarne jój źrenice, niby gwiazdy płoną,
Zgrzebne płótno pokrywa kibić utoczona;
Cudby z niej utworzyło dżuto Fidyasza!

Lica jój ogorzałe od skwarnych promieni,
W ręku pęk złotych kłosów tryumfalnie trzyma,
Uboga jój spódniczka na słońcu się mieni,
Idzie dalej a dalej... już znikła w przestrzeni;
A jeszcze mi jój postać świeci przed oczyma!

Inny obrazek wierszem: *Cisza leśna*, przypomina zupełnie ową dziewczkę u źródła, która przed dwoma laty oddana na płótnie, zjednała artyście wielki medal honorowy. Powtarzamy małeńki poemacik:

Czy widzisz tę polankę tak cichą, zieloną,
Niby okienko lasu odemknięte skrycie;
Po świeżuchnej murawy miękim aksamicie,
Gwoździki purpurowe jak korale płoną.
W tę ustron czasem słońca promyczek nieśmiały,
Płasając się przedziera przez tuman mgły biały;
Gdzie potrąci murawę, ściele ją bogato,
W rubiny i szmargady utkaną makatą.
Cicho tu, nawet ptaszę w gniazdeczku nie kwili,
Ani wietrzyk dębowym nie wstrząśnie konarem;
W młjezeniu nad kwiatami lata rój motyli;
Tylko strumyk gadała brzmi wiecznym pogwarem.

Wpółród jeżyn dojrzałą pokrytych jagodą,
 Wężykiem przez zarośla dróżyna się toczy;
 Poślij myśli z jój biegiem: one cię powiodą
 Ku wiosce, poza krańcem tój leśnej pomroczy.
 Lecz okiem dojrzysz tylko, gdy słońko lśni w górze,
 Rozsiane niby centki na tygrysiój skórze,
 W głębi cichój polanki widzisz stawek mały,
 Otoczony granitem i bluszczów koroną,
 I w ciemnym wód zwierciadle odbity złom skały,
 Co wiecznie toczy wodę przez paszczę omszoną.
 Tu dziewczątka młodziuchne kłękło na kamieniu,
 W okół niój, gdzie rzuć okiem, las głuchy i czarny:
 Jój tylko wiotka kibić odbita od darny,
 Utonęła w jaskrawym słońeczka promieniu.
 Czoło jój upowite barwnym rąbkim tęczy,
 A myślą słodko mota z nitki snów pajęczój;
 Ten wątek, co go dosnuć na ziemi nie dano,
 I z cicha pochyliła główkę zadumaną:
 I ugania oczyma w dziecięcój swobodzie,
 One kręgi srebrzyste co błyszczą na wodziel

Postać kmiotka z równą oddana miłością w pieśni Bretona. Zobaczmy tego zniwiarza wiozącego plon do stodoły.

Wieczór (sonet).

Gdy przy zachodzie słońca po zżętym zagonie,
 Wóz o skrzypiących osiach pomału się toczy,
 Gdy pod brzemieniem snopów gną się rosłe konie:
 Wielkim pół majestatem poję myśl i oczy.

Z sierpem w ręku na snopach siadł żeniec ochoczy,
 Spoczywa rozmyślając o bogatym plonie:
 Jak kłosy pszenicznemi stodołę natłoczy;
 A słońce na zgorzałe upada mu skronie.

Pracą zdobył zapaśnik on czarny kęs chłéba:
 Bóg tój wytrwałój walce błogostawi z nieba;
 Walce bez krwi, bez trupów, nie marno stoczonój.

Lato płaszcz rzuca płowy na przestrzeń bez końca,
 Na wozie tryumfator siedzi uwieńczony:
 Koroną złotych kłosów i promiećmi słońca!

W innym obrazku maluje poeta starego kmiecia, wracającego do domu po dziennój pracy. Jakże głęboko artysta odczuł ten silny węzeł łączący serce kmiotka z ziemią która go karmi!

Powrót z pola.

Tajemnicza to chwilka,
Po dniu pięknym przed nocą
W górze płonie gwiazd kilka;
Słabo jeszcze migocą.

Wśród jęczmienia i żyta,
Od rzeczutki w półkole,
Ścieżka mocno ubita,
Mknie wężykiem przez pole.

Tu przecina łan wyki,
Tu znów krąży ugorem;
Kędy polne świerszczyki,
Zcicha skrzeczą wieczorem.

Nogą krzepką acz bosą,
Kmiecie drózkę zdeptali;
Tam do wioski, gdzie z rosą,
Dzwon pobrzmiewa w oddali.

Dźwięki płyną, a płyną,
Dzienna kończy się praca;
Widzę wąską dróżyną,
Do dom kmiotek powraca.

Na ramieniu szerokiém,
Czasem kosa pobrzęknie;
Łan ogarnął w krąg okiem,
Żyto kwitnie tak pięknie!

Stąpa ciężko, powoli,
Wkoło patrzy i słucha;
Pije wyziew, co z roli
Tak żywotnie wybucha.

Idzie, chata już blisko;
Płomień w szyby uderza;
Na kominie ognisko:
Znać gotowa wieczerza.

Żona dobra... w kobiécie
Trudno znaleźć skarb taki,
Wiek przyciska; niech gniece,
Kiedy rosną dzieciaki!

Ot i kościół, mogiły!
Skinął głową, nie pyta;
Rad że pola zrodziły
Garść pszenicy i żyta!

Obrazek *Burza*, wysoko podniesiony przez krytyków francuzkich, z nowój strony pokazuje talent Bretona. Zwykle spokojny, zakochany w cichój przyrodzie, umie poeta malować jaskrawo jój szalone wybuchy. Przytaczamy w przekładzie ten obrazek: słabe da on wyobrażenie o sile oryginału, ale iść w ślad za Bretonem niepodobna, tak w obrazach malowanych, jak wysławianych słowem.

Burza.

Słońce zatrutym jadem napuszcza swe strzały,
 Pochyla wątłe kwiatki wśród trawy zgorzałej;
 Liść zwisły na gałęzi traci barwy świeże,
 A błękit utopiony w duszącym eterze,
 Nad ziemią szary całun rozpościera z góry;
 Rzeczutka wyschła do dna, i stawek ponury
 Stał się brudną kałużą, gdzie po czarnej glinie
 Pełzać tylko wylęglęj w ciemności gadzinie.
 Powietrze napełniły żyjątków tumany,
 Wszelki twór drży, tajemnym postrachem targany;
 Obumiera w milczeniu przyroda bogata:
 Niebo w śmiertelną plagę zmienia piękność lata!

I oto na szerokiej bez końca przestrzeni
 Wystąpił biały obłok: jeży się i pieni,
 Z razu jak runo wełny, rośnie w mgnieniu oka,
 Na czole widnokregu stanął jak opoka.
 Wolno, ciężko się toczy wśród powietrznej fali,
 Obłoczy niby pancierz wykuty ze stali;
 W szerz i w podłuż rozciąga czarny kadłub smoczy,
 Z potwornych bark olbrzyma sto łbów się wytoczy;
 Grzbiet ohydny żelazną najeżon szczecina,
 Cielskiem przeciął napoły niebios przestrzeń siną.

Zabłyśło, i strzał ryknął.. drży ziemia struchlała:
 Straszne hasło! wnet po nióm grzmiały tysiączne działa.
 I wicher się rozpasął!.. w szalonym zapędzie
 Uderzy w pierś olbrzyma, na karku mu siedzie;
 Zbuduje groźny szaniec z warownemi brony,
 Czarny wał, tysiącami strzelnic zdziurawiony;
 Z poza wału wnet chmara junaków wybieży,
 Skry sypią się z ich hełmów, łuny z ich panczerzy:
 Pędzą w cwał, nawałnicą. W tém obłok się wzdyma:
 Rzygnie siarką, i zastęp zniknął przed oczyma.
 I tylko na wieżycy, wysoko u szczytu
 Błyska jeszcze zwycięsko chorągiew z błękitu;
 A potem wszystko, baszty, blanki i strzelnice
 Pokryły chmur tumany, ścimiły błyskawicę.

Grom uderzył: zamczyśko runęło z łoskotem;
 Głucho ziemia odjęła, grzmot ustał, a potem

Wiatr zwinął czarne skrzydła i umilkł grobowo.
 O! złowroga to cisza! i otóż na nowo
 Ocknie się, wściekłym pędem przyskoczy do ziemi,
 Uzbrojon do zapasu śruby piekielnemi;
 Straszną trąbą przez leśne pomyka obszary,
 Wali stuletnie dęby, druzgocze konary;
 Głuszy groźnym poświtem szalejącą puszcze.
 Mknie dalej... w łono morza skrzydłami zapluszcze:
 Morze z trwogą zaryczy, o! próżno się zżyma,
 Rozhukanemi wały nie przemódz olbrzymia!
 Wiatr szalony niszczyciel, wzdłuż zbiega przestworze,
 Chmur żałobnym całunem skrył niebo i morze!
 Wszystko zmlkło: na ziemię padła cisza głucha,
 I tylko z nad wybrzeży dobiega do ucha
 Żałosna skarga mewy!

Jutro z rannym świtem
 Znow morze się wspaniałym ubarwi błękitem.
 W przeczystém wód zwierciedle skąpią się niebiosy,
 Na listkach znow zabłyszczą drżące krople rosy;
 Krzew obwisłe gałązki wesoło podniesie:
 Znow radosną piosenkę zakwili ptak w lesie,
 A wśród trzciny gdzie się leże kijanka obrzydła,
 Konik wodny rozwinie promieniste skrzydła,
 I z góry po kamieniach strumień rozpląsany
 Potoczy się i pryśnie srebrzystemi piany!

Niekiedy pieśń Bretona z przedmiotowej staje się osobistą.
 Z piersi poety wybiega mimowolny wykrzyk bólesci. Zobaczmy dwa
 sonety:

Złuda. (sonet).

Dusza moja stargana walkami żywota,
 Kiedy boleść jastrzębie utkwiła w niej kleszcze;
 Leci na skrzydłach wspomnień za domowe wrota,
 Kędy płomień ogniska w pamięci tli jeszcze.

Widzę, owe gwoźdźniki rozkwitłe u płota,
 Napawam się ich wonią, oko barwą pieścąc;
 Złudą było to wszystko? pytam ich sierota:
 Tyleście przyrzekały... gdzie moje sny wieszczę?

Ach! przyszłość w tém zwierciedle porankiem odbita,
 Świeciła tak wspaniale, jak świeci snop żyta,
 Gdy promieniem słonecznym każdy kłos goreje!
 Złudą było to wszystko! przemkły błyskawicą
 One sny niewyśnione, te zgasłe nadzieje,
 Tém cudnicjsze, gdy łzawą patrzym w nie źrenicą!

Krzesiwo (sonet).

Gdy wieczorem pomału, na ciche gór stoki,
 Kłęb pary tajemniczy w ślad za kłębem sunie;
 Gdy beczące owieczki o bieluchném runie
 Zbiegają się w gromadkę chyżemi poskoki.

Tam, kędy nad parowem wśród ciszy głębokiěj,
 Tymianek z macierzanką rośnie przy piołunie;
 Coś mi w oku majaczy, niby złom opoki:
 To pasterz w swą brunatną przyodziany gunię.

Drży jak liść, słucha: wilki zawyły w oddali;
 Wziął kamień i uderzył krzesiwem ze stali,
 I zabłyśła iskierka z pod ręki pastuszęj!

Widziałem to, ja lirnik! serce mi zadrżało:
 O! gdybyż to wykrzesać iskierkę choć małą,
 Z tych kamieni, co leżą na dnie mojej duszy!

W *Koniku polnym* wymownie maluje poeta, biednych śpiewaków, częstokroć natrętnie brzęczących w uchu zimnego tłumy, gotowych śpiewać bądź cobądz, póki serce nie pęknie im przy pieśni.

Konik polny.

Gdy latem bez rosy schną trawki i drzewa,
 Gdy ziarno pszeniczne pod kłosem dojrzewa;
 Gdy maczek niziuchno ku ziemi schyłony,
 Nie znosi brzemienia szkarłatnej korony;

Gdy pieśń już skowronka nie pieści nam ucha,
 Gdy gołąb leniwy na gniazdku nie grucha;
 Gdy w leśnej zaciszy omdlały ptak drzemie,
 A pożar słoneczny przepala wskróż ziemię:

Świat milczy, do pieśni, do ruchu nie zdolny;
 Lecz skwaru mój konik nie lęka się polny;
 Choć ziemia zgorzała na popiół schnie miałki:
 On trzepie skrzydełkiem w swe śpiewne cymbałki.

Gorącym natchnieniem pierś jego wezbrana,
 Wciąż dzwoni pobudkę z wieczora i z rana;
 Posnęły ptaszęta, lecz on się nie leni,
 Czas mija: grajkowi nie przeżyć jesieni!

Słuchasz-li piosenki? on o to nie pyta,
 Zaledwie go spędzisz z pszenicy lub z żyta;
 Przysiedzie na głogu co kolcem się jeży:
 I dzielnie w cymbałki mój grajek uderzy.

Czy ostów palących, czy pokrzyw się czepi,
 Gra coraz to rzewniej i głośniej i lepij:

Rozmaga w nim siły pożoga i susza,
Niedolę żywota piosenką zagłusza.

Aż zdarte skrzydełka rozpostrze on w końcu,
I czarne źrenice obróci ku słońcu;
Natchniony, promienny; ach!... słyszę go... widzę,
Jak kona śpiewając na wyschłej łodydze!

Breton nie patrzy jednak w świat okiem zwątpiałego bajronisty; pesymizm daleki od tej duszy zakochanej w ideale, patrzącej śmiało w nieskończoność. Jeżeli czuje głęboko chwile boleści, jakich poetom uniknąć niepodobna, czuje niemniej rozkosze, jakie dają chwile twórczych natchnień. Oto pieśń pełna wiary i otuchy:

Na równinie.

Moje te pola, moje te kłosa,
Moją ta piękna dolina;
Ten tłum żniwiarzy, co brzęczy w kosy,
I pieśń wesołą śle pod niebiosy:
Gdy zboże rankiem zacina.

Moją ta bruzda, gdzie świerczyk szary,
Dobywa głosu ostatek;
Moje te drzewa co w letnie skwary,
Tulą ptaszęta swemi konary:
Mój ten wśród zboża bławatek!

I mój on przestwór słońcem ogrzany,
Gdzie bez was szkolni nudziarze,
Duch twórczy leci z pęt rozkiełznany,
Jak wichrem parte mkną uragany,
Po niezmiierzonym obszarze!

Jakkolwiek bieg literatury portugalskiej, mało u nas śledzony, nie będzie może obojętną dla czytelników wiadomość o świeżo zmarłym w Lizbonie pisarzu Feliciano de Castelho, gdyż wielkie jednostki, bez względu gdziekolwiek się pojawiły, czynią zaszczyt ludzkości całej.

Literatura portugalska w pierwszej połowie tego wieku, przechodziła przez takiż sam przewrót, jaki widzimy w literaturach wszystkich ludów europejskich między 1820 a 1830 rokiem. Po dwówiekowym letargu, nastąpiło tu świetne odrodzenie. Trzech mężów stanęło na czele zbudzonego ruchu: naród złotemi zgłoskami napisał ich imiona. Z pomiędzy nich Gorret umarł przed kilku laty, Herculano żyje po dziś dzień, Castelho zstąpił właśnie do grobu.

Urodzony w roku 1800, mając lat dwadzieścia, dał się poznać zbiorem przesłicznych poezji. Utwory te po większej części sielskie, przypominają rodzaj Lamartina, lubo nie są ślepém naśladownictwem.

Dwaj współczesni poeci nie wiedzieli może o sobie, ale obaj ulegli temu dziwnemu a tajemniczemu prądowi, który w danej chwili porywa umysły i wyobraźnię, prowadząc je po tychże samych drogach. Castelho opiewał czary ziemi rodzinną, i błękit nieba swęj ojczystej Luzytanii, opiewał je tém rzewniej, że ich nigdy nie widział. Utracił wzrok w szóstym roku życia, w wieku gdy dziecię nie zdaje sobie jeszcze sprawy z otaczających go przedmiotów.

Dzięki nadzwyczajnym zdolnościom umysłowym, Felicyan Castelho przeszedł jednak szkolne nauki, i poznał dokładnie bogatą literaturę starożytną. W nadzwyczaj ciekawej autobiografii, opowiada z jakim wysileniem zwalczał niesłychane trudności, tamujące mu drogę, jakim sposobem wyzwolił się „duchem przynajmniej, z tego więzienia bez światła“, co go dokoła otaczało. „Żal ścisnąć mi serce, mówi poeta, gdy się dowiedziałem że młodzi bracia moi zapisani w szkole na wydział łaciny. Pozwolono mi towarzyszyć im do klasy. Słuchałem wykładu z religijném skupieniem, pożerałem lekcye, czytałem że tak powiem uszami, przeszedłem pilnością wzorowych nawet uczniów. Stary professor który od lat trzydziestu wykładał język Cycerona i Wirgillego, zwrócił na mnie uwagę. Przez ciekawość jął mnie egzaminować: pokazało się że żaden uczeń nie korzystał tak jak ja z jego nauki: otąd byłem ulubieńcem mistrza, kochał mnie jakby rodzone dziecko.“

Pod kierunkiem wytrawnego profesora, i ojcowską jego opieką, młody Castelho olbrzymie czynił postępy. Pełen ducha poetycznego, przeczuwał piękność starożytnych klasyków, tłumaczył ich z zadziwiającą łatwością. Mistrz pysznił się zdolnym wychowankiem.

Po pierwszym zbiorze młodzieńczych poezyi, Castelho rzucił w świat kilka innych. Koroną tych utworów, mają być dwa obszerniejsze poemata: *Noc w Zamku*, i *Zawiść Barda*. Imię poety przeszło niebawem do Francyi. Wiktor Hugo posyłając mu swój portret nakreślił pod nim: „Ślepy jesteś, ale widzisz lepiej od tych, którym dano oczy ku widzeniu.“

Prace poety uderzają zarówno liczbą jak różnaitością. Zadość czyniąc potrzebie ogólnej, uprawiał wszystkie gałęzie literatury. Tłumaczył georgiki Wirgillego, przemiany Owidyusza, pieśni Anakreona, Fausta Goetego. Skąpany w źródłach greckich, przeplatał tłumaczenia mnóstwem oryginalnych pieśni. Dla teatru portugalskiego przełożył całego Moliera. Obok tych prac poważnych pisał małe książeczki dla dziatwy wiejskiej. Zajmował się pilnie rozszerzaniem oświaty pomiędzy ludem: zasługi położone w tym kierunku zjednały mu cześć i miłość powszechną. „Poruszałem, mówi w pamiętniku, niebo i ziemię, królów i ludy, kobiety i duchowieństwo; stałem się bakalarzem, uczyłem sam bosych ośmioletnich plebeuszów, pragnąc wykupić ich z niewoli nieuctwa i dać im chrzest światła, jakiego im brakowało.“ Pełen twórczych pomysłów, Castelho wymyślił nową metodę dla ułatwienia nauki wiejskim dziatkom. Ta metoda przeszła do Włoch i Hiszpanii.

Niez mordowany szermierz pióra, wydawał przez długi czas przegląd literacki, nadzwyczaj popularny w kraju. Onto podniósł myśl odszukania zwłok Kamoensa, i czynnie popierał ten zamiar, uwieńczony jak wiadomo pomyślnym skutkiem. Złamany wiekiem, pracował do ostatniej chwili, nad tłumaczeniem Don Quichota na język portugalski. Przekład ten ma być ozdobnie wydany, z rysunkami Gustawa Dorego.

Francuzi na każdym kroku spotykają w Niemczech groźnych współzawodników. Nowém polem walki stała się dziś klasyczna Hellada. Wiadomo, że Francya od r. 1848 ma szkołę archeologiczną w Atenach. Szkoła ta wydała już kilku znakomitych starożytników: do nich należał zmarły przed rokiem Beule, wynalazca Propyleów w Akropolis ateńskim; do nich należy młody a znany już archeolog Albert Dumont, dyrektor szkoły starożytniczej w Rzymie. Otóż obok francuzkiej szkoły w Atenach, powstała w tym roku archeologiczna szkoła niemiecka; inauguracya jęj odbyła się w rocznicę śmierci sławnego Winkelmana. Co więcj, izby greckie zatwierdziły umowę pomiędzy rządem własnym a niemieckim, upoważniającą do poszukiwań archeologicznych, w rozmaitych stronach królestwa.

Francuzi, czują się mocno upokorzeni, jeśli nie samą fundacyą szkoły, gdyż ten przywilėj nie mógł im tylko służyć, to przynajmniej pochlebstwem uczonych greckich dla Niemców, ku którym od czasów króla Ottona, tyle okazywali nienawiści. Siła, wielki ma urok; przed nią zgięły się karki greckie. W dniu otwarcia szkoły przez archeologów miejscowych, professor Philippos Johannou, w mowie uroczystej, życzył pomyślności nowej instytucyi, *należącej do narodu, który połączył się krwią synów swoich, z Grecyą oswobodzoną.*

Słowa te ubodły Francuzów. Na jakimżeto polu, zapytują, płynęła krew niemiecka w sprawie niepodległości greckiej? Niemcyżto spalili turecką flotę pod Nowarino? Oniżto zagrodzili drogę Ibrahimowi paszy do Morei? Że Niemcy w pangermanistycznych pojęciach swoich, przyznają sobie czynny udział w sprawie greckiej niepodległości, temu nie dziwimy się wcale; wiemy jak gorąco przyklasnął naród Gerwinusowi, kiedy ten krytyk, pokazał w Szekspirze tryumf geniuszu germańskiego. Byron zmarły w Missolunghi, stał się dla Niemców przedstawicielem ludzkościowej idei germańskiej, na tychże samych prawach, na jakich nasz Kopernik przedstawia rozwój nauki niemieckiej w XV wieku!

Co zaś do pochlebstw erudyków greckich, znajdujemy wytłumaczenie ich w Juwenalisie. „Jak oni umieją pochlebiać! woła sławny satyryk. Nikt tak jak Grek, nie potrafi odegrać roli Taidy, lub poważnej matrony, albo Dorydy wychodzącej z łona wód. Aktor znika i rzeczywiście zdaje się jakby głos niewieści dobiegał uszu moich. Talent ten nie jest udziałem jakiegoś Demetryusza, Stratoklesa, lub innego aktora; jest on udziałem całego narodu. Grek rodzi się

komedyantem. Jeżeli się śmiejesz i on śmiechem wybucha; jeżeli płaczesz, Grekowi łzy płyną bez trudności. Jeżeli zapalisz trochę ognia w jesieni, on otula się płaszczem; jeżeli mówisz że ciepło, Grek cały się już poci. Dla Greka nie ma nic świętego, potrafi on wszędzie skierować swe uczucia, zasyłać pocałunki, przyklaskiwać temu co polsklasku nie warte.“

Znany archeolog francuzki, członek Instytutu Perrot, w gorącej odezwie do uczniów szkoły ateńskiej, upomina ich aby nie dali się ubiedz groźnym współzawodnikom w pracy naukowej, a nadewszystko w wytrwałości. Rzuca on gorzką prawdę w oczy młodym Francuzom: słowa jego zasługują na uwagę, gdyż są wyrazem opinii, całego młodszego pokolenia uczonych. „Nie kryjmy przed sobą,—mówi z głęboką boleścią—że po ostatnich klęskach naszych, wszystkie ludy wyrzekły a przynajmniej pomyślały: *dobrze im tak!*“

„Czemże to wytłumaczyć? my sami winni temu! Dostarczaliśmy drugim broni przeciwko sobie, dzięki tej prassie nibyto zabawnej, która jest największym dla nas niebezpieczeństwem, największą zakałą naszą! W dziennikach, w powieściach, w pismach, wykrywaliśmy cynicznie własne błędy. Wyrzucano nam lekkomyślność, szyderstwo, dowcipkowanie, przechwałki, próżność narodową, śmieszna fanfaronadę, lekceważenie drugih! Nieprzyjaciele powtarzali złośliwie nasze dorywcze sądy, potęgowali błędy nasze, nie bacząc ile pod nimi kryje się rzeczywistych zalet, jaka podniosłość ducha, jak gorąca miłość ludzkości! Dostyć już tego! czas zaprzestać tej pustej szermierki, wróg czyha, on wydrze nam różgę i ochłószcze nią grzbieity nasze.“

„Ktokolwiek z nas reprezentuje naród francuzki w pośród obcych, niechaj powagą życia, postawą pełną godności, wytrwałą i niez mordowaną pracą, zdobędzie powszechny szacunek, a już tém samém wyplaci dług Francyi!“

Żal Francuzów do zareńskich sąsiadów, silnie wpływa na sądy ich o sztuce i literaturze niemieckiej. Głównym celem tej nienawiści, jest sławny kompozytor Ryszard Wagner, najwyższy dziś przedstawiciel geniuszu germańskiego, tak w muzyce jak w poezyi. Niechęć ku niemu, datuje się od czasów przedwojennych: wiadomo z jaką zawziętością Francuzi wygwizdali Tanhausera i Rienzego. Później nieco, kiedy rozgłos *Meistersyngerów*, przyjętych z najwyższym zapalem w Monachium, dobiegł do Paryża, p. Edward Schuré ogłosił w Przeglądzie dwóch światów, znakomitą rozprawę o Wagnerze, oceniając go, jako poetę i kompozytora. Przegląd wydrukował rozprawę, zastrzegając jednak w dopisku, że dyrekcyja nie bierze na siebie odpowiedzialności za sądy współpracownika swego.

Jeżeli przed laty kilku, potrzeba było wielkiej odwagi i głębokiej siły przekonania, aby wbrew pociskom dziennikarskim i uprzedzeniu ogólnemu, objawić się otwarcie za Wagnerem; cóż dopiero dziś, kiedy wzajemna nienawiść dwóch ludów, tak olbrzymie przybrała rozmiary.

Pan Schuré nie cofnął jednak sądu, przeciwnie rozwinął znacznie ramy pracy swojej i wydał ją w dwóch tomach pod tytułem: *Dramat muzyczny*. W pierwszym tomie, autor bada rozwój historyczny tak muzyki jak poezji. Pokazując najsamprzód te dwie sztuki nierozłączne w starożytnym teatrze greckim, dopełniające się wzajemnie; określa następnie ich rozłom na dwa odrębne koryta. Śledzi rozmaite przejawy poezji od Dantego do Szekspira. bada muzykę od Palestriny do Bethowena. W Glücker widzi pierwszego twórcę dramatu muzycznego, promotora myśli, której Wagner stał się dziś najwyższym wyrazem.

Drugi tom, poświęcony cały temu wielkiemu reformatorowi muzycznemu. Autor przechodzi systematycznie wszystkie utwory poetyczno muzyczne Wagnera, ogarnia okiem cały artystyczny jego zawód, wykazuje z najściślejszą loiką myśl kompozytora, wytrwałą i mozolną pogoń za ideałem, któremu poeta muzyk usiłuje nadać nową zupełnie formę,

„Aby ocenić twórczy geniusz Wagnera—mówi pan Schuré—potrzeba sądzić w nim zarazem kompozytora i poetę; inaczej sąd będzie połowiczny i niedokładny. To właśnie zespolenie, nadaje utworom jego prawdziwą oryginalność i zapewnia mu odrębne stanowisko w historii odrodzonej sztuki. Wagner jest równie wielkim poetą jak i wielkim muzykiem.“

Dielo Schurego wydane nadzwyczaj starannie, ozdobione czterema rycinami. Dwie z nich przedstawiają widok i plan teatru greckiego w Egesta (w Sycylii), dwie drugie wyobrazają wnętrze i plan nowego teatru w Bejruth, zbudowanego w Bawaryi pod dyrekcją Wagnera. W sierpniu 1876 r., teatr ten ma przedstawić wielką tetralogią *Niebelungów*.

Powszechną uwagę w literaturze francuzkiej zwraca dziś powieść Tony Revillon, pod tytułem *Les convoitises*, (Żądze). Tém niebezpieczniejsza to powieść, że napisana z wielkiem życiem i głęboką znajomością ludzkiego serca. Autor poszedł śladem Dieckensa, Thackeraya i innych powieściopisarzy angielskich, którzy w sposób popularny podejmowali najważniejsze pytania społeczne, w ostatecznych jednak wynikach, oddala się zupełnie od mistrzów swoich. Podczas gdy Dieckens i Thackeray, czyniąc w wielkiej części społeczeństwo odpowiedzialnym za winy jednostek, nie zwalniają przecież istot obdarzonych wolną wolą, z wszelkiej odpowiedzialności za własne czyny, Tony Revillon kładzie wszelkie złe istniejące w świecie, na karb anormalnego stanu społecznego. Przeprowadza on osoby swych powieści, przez tysiączne próby i zawody życia, zatruwa ich serca jadem nienawiści, kładzie im oręż w rękę, czyni z nich mściwych „Kamunardów“ i podpalaczy. Widzimy tu cały szereg istot, rozpaczą doprowadzonych do szafu: lekarza w pustym i zimnym gabinecie, napróżno wyglądającego pacjentów, adwokata bez klientelli, poetę zmuszonego sprzedać

za marny pieniądz, arcydzieło, którego świat zrozumieć dziś nie zdoła; zubożałą panienkę, wprzężoną w twarde jarzmo nauczycielskich obowiązków; robotnika szukającego chwili zapomnienia na dnie czarki; dziecko żebracze, pozerające okiem zawiści, zabawy i płąsy szczęśliwszych od siebie rówieśników: słowem widzimy stek wszelkich boleści, nędzy i upokorzeń ludzkich.

Takichto kandydatów bezrządu stawia autor w otwartej wojnie ze społeczeństwem, rozgrzesza ich z winy, potępiając uznane prawo. Główny bohater jego powieści, zdolny, świątły i uczciwy robotnik, umiarkowany republikanin, staje się zażartym komunardem; autor przedstawia go nie w charakterze zbłąkanego szaleńca, ale przeciwnie jako propagatora nowych idei, jako ofiarę niosącą życie w okup lepszej przyszłości!

Książka to powtarzamy nadzwyczaj niebezpieczna, rozdrażnia bowiem niezabliźnione jeszcze rany, a nie przynosi ani kropli gojącego balsamu. Wśród tłumu czarnych postaci na obrazie, widzimy jedną, oświeconą blaskiem idealnym; postać to robotnika, szczęśliwego w ubogim stanie, zamiłowanego w pracy, otoczonego szacunkiem powszechnym i miłością rodziny. I czemuż ta postać ledwie naszkicowana? czemu zostawiona w pomroku? Instykt artystyczny, wiódł jak widać autora, do okazania drobnego światełka, w obec tylu nędz powszechnych, ale artysta ustąpił przed doktrynerem. Barwa czarna przemogła w obrazie. Nowy to dowód, jak łatwo od realizmu stoczyć się w bezdenne odmęty nihilistycznych mrzonek.

Pod tytułem: *Mon voyage an pays des chimere*, Antoni Rondelet wydał dowcipny opis jakiegoś społeczeństwa, rozwiniętego na prawach tak zwanego postępu. Mimoходом w humorystyczny sposób autor dotyka najżywotniejszych pytań dzisiejszych. Przebiega wymarzony kraj, jako wesoły turysta, gotów śmiać się szczerze z ludzkich niedorzeczności. Ten kraj dzieli się na trzy sfery odrębne od siebie: każda z nich oznaczona charakterystyczną nazwą. Pierwsza sfera *égalicité*, jest najdoskonalszém urzeczywistnieniem równości. Rząd rozdaje odzież jednakową, tak mężczyznom jak i kobietom. Biada tej która zawiąże czepeczek, lub podepnie sukienkę zgrabniej od towarzyski; zapłaci karę, zakazano bowiem wyróżniać się czémkolwiek od drugich. Jedne godziny pracy naznaczone wszystkim robotnikom, ci też którzy mieszkają w blizkości warsztatu lub fabryki, muszą czekać na oddalonych towarzyszków. Nie wolno pracować więcej nad ścisły przepis, ani też czynić najmniejszej oszczędności: inspektorowie czuwają pilnie nad tém.

Kraj *vaganopolis*, zajęty cały polityką, każda jednostka bierze tu udział w sprawach publicznych. Im kto uboższy, im większy nieuk, tém lepiej się kwalifikuje na sprężynę w machinie rządowej. Trzeci kraj, a raczej sfera *organisation-ville*, nie jest już chimerycznym wymysłem, ale fotografią rzeczywistości, nieco skarykaturowaną. Ostra

to krytyka mechanizmu administracyjnego i niektórych artykułów prawa, co do równego wyposażania synów, co do teatru, prassy i t. p.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historja powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego.
Poznań, nakładem księgarni I. K. Żupańskiego. 1874 rok,
trzy tomy.

Trzytomowe to dzieło o 1228 str. w wielkiej 8-ce, tak treścią jak wydaniem nie małą jest dla literatury polskiej zdobyczą; choć nie bez błędów, to jednak hołd, uznanie i wdzięczność, należy się za tak pouczającą całość autorowi. W pierwszym tomie autor mówiąc o stanowisku konia wśród innych jestestw, zaznajamia najprzód czytelnika z miejscem jakie zwierzę to dziś w zoologii zajmuje, a wyliczywszy znane gatunki hippotygydów i osłów z kolei przechodzi do trzeciej grupy jednokopytowych zwierząt, którą koń nasz domowy (*equus caballus*) ze wszystkimi jego odmianami (rassami) całą wypełnia. Tu autor wylicza charakterystyczne cechy, jakimi się ta grupa od poprzednich dwóch wyróżnia. Lecz aby dokładny mieć obraz o początku powstania tego zwierzęcia na powierzchni ziemi, aby wystawić dziecienny, naiwny pogląd starożytnych narodów, które go w niebiosach szukały, przypisując siłę i twórczość przyjaznym bogom; postanowił autor zagłębić badawczy swój wzrok we wnętrzości ziemi, a to co tam znaleziono z kości protoplastów konia, czytelnikowi pokrótce opisać. Bardzo też wiele z rozdziału tego nauczyć się można. Jużto widoczném, że nie obcemi były autorowi najznakomitsze w tym względzie zdobywcy Rüttimeiera, Owena, Nordmana, Heer'a i Lyell'a, a choć nigdzie nie podaje on spisu dzieł, któreby za wskazówki w tym względzie służyć mogły, co też na karb błędów dzieła policzyć musimy, to pewném jest, iż Titzinger (*Versuch über die Abstammung des zahmon Pferdes u. seiner Racen*), H. Smith (*The Naturalist's Library*), Darwin (o zmienności etc.), Martin (*The Horre*), Hartmann (*Hanssangethiere der Nilländer*) i wielu innych naturalistów, o których czasami wspomina lub których myśli przez ogólne tło się przeświecają, wielką były panu Czapskiemu pomocą.

A choć paleontologia jest tylko szczytkiem ostatniego tomu wielkiej księgi tworzenia się natury, a nadto często pisaną jest zgłoskami

nieznanemi dotąd, i choć ostatni ten tom dotyka niektórych tylko miejscowości naszego komety, to jednakowoż szukając, znaleźć można niektóre, po kamiennych kartkach tego dzieła porozrzucane spostrzeżenia do przodków konia, których kopalne szczątki często znajduwane pozwalają wniosek ten usprawiedliwić, że obecnie istniejące kształty żyjącego konia, z powolnej przemiany odmiennych przodków powstały. Dotąd szczątki te po całej prawie kuli ziemskiej porozpraszane i w Europie na brzegach Północnego morza, szczególnie na angielskim gruncie, we Francji w korytach rzek wielkich, jak Loara, Garonna, Rodan, w środkowej Europie w dolinach Renu, Jurajskiej, w Alpach szwajcarskich, dalej we Włoszech, w Węgrzech, w dolinach nad rzeką Po, Arnu, Tybru i t. p.

Azja dotąd mało jest badaną w geologicznym względzie, najwięcej jeszcze Mała Azja, Arabia i Indye. Afryka również nie jest znaną geologom, prócz Egiptu. Ameryka, a szczególnie jej południowe strony, od czasu jak Darwin pierwsze lody przełamał, stanowi nie małą zdobycz dla geologii; gdy przeciwnie Australia mało lub zupełnie nie była badaną.

Ssaki, dopiero w cenolitycznym pokładzie (czyli w trzeciorzędym) ważną w przyrodzie odgrywać poczynają rolę. A chociaż pojedynczo już w pokładzie mezolitycznym (drugorzędym), mianowicie w nowszym układzie (w peryodzie kredowym) się znajdują, to jednak jest pewnym, że kształtów konia tam nie było, lecz dopiero w peryodzie eoceńskim. Przedstawicielem zaś tu jest palaeotherium, którego szczątki porozrzucane po Anglii, Francji, Szwajcaryi i t. p. Zwierzę to spowinowacone z koniem, spokrewnione także z tapirem, przez co za naddziada uznane obudwu tych zwierząt gatunków.

„Budowa zębów trzonowych tak szczęki dolnej, jak górnej w palaeotherium, uważane jest za punkt rozejścia się dwóch oddzielnych gromad wielkiego sygadontów działu, mianowicie gromady zwierząt jednokopytowych i gromady zwierząt przeżuwających. Pierwsza z tych gromad łączy się z palaeotherium przez pośrednictwo zaginionego gatunku *Anhitherium*” (str. 32, I). *Anhitherium*, zwierzę podobniejsze niż palaeotherium do dziś żyjącego konia, znaleziono w tysiącach egzemplarzy w Pikiomi w Grecji niedaleko Aten, w pokładach także trzeciorzędowych, lecz młodszych a mianowicie w górnym eoceńskim (gipsowym) i dolnym miocenieńskim (Linsburg) podług Huxleya. Kościec jego nadzwyczajnie podobnym jest do końskiego, czaszka jednakowoż mniejsza, szczęki cieńsze, kość łokciowa i promieniowa (czyli nadpęciniowa, piszczelowa) grubsze, ostatni ząb trzonowy leży dalej w tyle, a oczodoły, nie są zupełnie kością zamknięte. Lecz największa polega różnica w budowie zębów i stóp. Siekacze są mniejsze, a w koronie nie zagłębione, pierwszy mielec jest stosunkowo większy szczególnie u górnej szczęki i podobny do sześciu innych. Nogi jego zakończone trzema palcami, z których zwierzę wszystkie używa do stąpania po ziemi.

„Z końcem mioceńskiego peryodu giną już ślady tego trzykopytowego protoplasty rodzaju konia, a za to w górnym mioceńskim i dolnym plioceńskim (podapienińskim) poczyna miejsce jego zajmować Hipparion, który również w wielkich stadach żyć musiał, gdyż kości jego nagromadzone w wielkich ilościach znajdowano. Kościec hippariona zbliża się już więcej do szkieletu osła lub średniowielkiego konia, choć każde z odnoży tego zwierzęcia, posiadało trzy wyraźne palce, z których jednak środkowy tylko kopytem był opatrzony, podczas gdy pozostałe dwa boczne, nigdy ziemi nie dotykały, nie sięgając dalej jak do śródstopia. Zęby hippariona są bardzo do końskich podobne, tylko w szczęce dolnej zęby trzonowe różnią się od zębów konia przez znacznie niższą koronę, przez większą emaliowaną blaszki grubość, a mniejszy cementowej substancji rozwój, przez wymyślniejsze emaliowaną blaszki pojęcie, przez większą symetryczność i potoczność rysów środkowej zębów kokardy“ (str. 36); a także krótkość przedziału między kłem a siekaczami, stanowi wyraźne hippariona od konia wyróżnienie.

W peryodzie lodowym i w następnym diluwialnym czwartorzędnego pokładu, spostrzegamy kopalnego konia (*equus fossilis vel angustidens*), który jeszcze tylko niektórymi odmiennymi właściwościami zębostanu od konia dni dzisiejszych się wyróżnia, a mianowicie większym i dłuższym rozmiarem środkowych zębów trzonowych, i cokolwiek odmiennym rysunkiem emalii.

Zdaje się, iż autorowi znane są tylko badania temu gatunkowi poświęcone, które przez Owena i Rüttimeyera głównie na egzemplarzach z Alwernii pochodzących z tufu diluwialnego między Longeae i Crespiniac w bliskości le Puy (Haute Loire) dokonane zostały, nie wspomina bowiem o najnowszych poszukiwaniach w tym względzie prof. Marscha, który znalazł kopalne resztki konia w okolicy o 450 m. angielskich oddalonej na wschód od Omaha, które pod względem wzrostu, stanowczo się różnią od poprzednio znalezionych resztek.

Konia więc autor wywodzi od tego właśnie rodzaju, który w osadach górnego plioceńskiego peryodu znaleziony, w diluwialnym już wyginał, a który w najstarszych przez ludzi zamieszkałych pieczarach, odpowiadał dzisiejszemu naszemu koniowi, i choć przy badaniu zębów kopalnych z diluwialnego pokładu, różnice między *equus angustidens* i *equus caballus* często jako mało znaczące występują, to autor jednakowoż wielkie stosunkowo przestrzenie czasu, na wyosobienie się tych różnic, naznacza.

Wywody geologiczne obrobił hr. Czapski z wielką znajomością przedmiotu, widać tam ogromną erudycję, brak jednak jasności, czego najgłówniejszą przyczyną jest to, iż odwołując się na ryciny w mającym wyjść atlasie, tymczasowo póki ten ostatni nie wyszedł, dla nie obznajmionego gruntownie z anatomią, często niezrozumiale przemawia. Nadto, myśli autora odbiegają nieraz od wytkniętego celu, pochodzenie konia z pochodzeniem człowieka mieszając, a trzymając się teoryi

Lyell'a i Hæckel'a niepotrzebnie drażni przypominaniem zwierzęcego ludzi pochodzenia. I tak na str. 18 wypowiada autor zdanie „Człowiek ówczesny“ (pierwotny), „który ani wielkim w wynalazkach nie jaśniał dowcipem, ani na dzikiej swój fizygnomii nie nosił jeszcze szlachetnego wyrazu, wysoce moralnej i inteligentnej istoty, nie wiele się zapewne różnił od zmysłnej, łagodnej a wielkiej Dębomałpy Fontana (Dryapithecus Fontani)!!“ Dalej na téjże samej stronie „kościotrup człowieka..... przedstawia czaszkę niewiele od małpij różną.“ I na str. 48 „Tak jak powolne przeobrażenie się hippariona w *equus fossilis* nie daje się w kartach geologicznej księgi z całą stopniowością swego odszukać przeistoczenia, tak samo się to dzieje i z przeobrażeniem przedpotopowych primatów w człowieka. I nie dalekiem od prawdy być może przekonanie, że ta z małp już na człowieka zasługuje miano, która pierwsza na grzbiecie jednokopytowego hasała po ziemi zwierzęcia!!“ Kwestyę pierwotnej konia kolébki, łączy autor z rozwiązaniem kwestyi o miejscu pobytu pierwotnego człowieka. I albo przypuszcza, że ród koński przez długie wieki w zimnym klimacie pozostawał, albo téż pierwotna jego ojczyzna do rzędu ciepłych krajów nie należała, a to z tego powodu, iż konie mają wrodzony zwyczaj wygrzebywania pokarmu z pod śniegu.

Pomimo badań w tym względzie i usiłowań dojścia pierwotnej konia ojczyzny, nic pewnego o niej powiedzieć nie można, przypuszczalnie jednak ojczyzną konia nie była Europa. Każde wszakże wyrzeczony w tym względzie zdanie, tak jest nie pewnym, jak niepewnym jest miejsce, gdzie był raj ziemski i gdzie pierwszy owoc zakazany zjedzonym został. W końcu ubiegłego stolecia, zaznajomiła się Europa z tradycjami perskimi w księgach Zend-Awesty zawartymi. W pierwszych ustępach Wendidadu (ksiąg liturgicznych Zoroastrowych, jedną część Zend-Awesty stanowiących), najstarsze podania znajdujemy o pierwotnym ukształtowaniu się towarzystwa, o rozprzestrzenianiu się Aryjczyków po Ireńskich krainach, dowiadujemy się o zarazach na bydło i stada, a później o sławnych Nizejskich koniach. Tamże spotykamy się z boginią Dowaspa, noszącą przydomek opiekunki koni. W księdze śpiewów (Jest) jest podanie zapisane, które władcy Keresaspa (co znaczy właściciel chudych koni) przypisuje wyproszenie u niebiańskiej pierwo-wody stu samczych koni. Z tych i wielu innych ustępów podobnych Zend-Awesty autor utrzymuje, że konie były już w kolebce człowieka znane Aryjczykom, czy jednak starsze rodu ludzkiego, szczepy Chińcy, Egipcyanie, Semici także z końmi kolebkę ludzkości opuścili, jest niepewnym. Autor na zasadzie astronomicznych obrachowań J. Bunzena przypuszcza, iż aryjskie plemiona jako Indowie, Celtowie, Pelazgowie, Germanie i Słowianie wyruszyli z kolébki ludzkości w ciągu pierwszych dziesięcio-tysiącoletci przed Chrystusem (str. 62, I tomu). A więc dawność konia u tych narodów od tego czasu się datuje.

Przechodząc dalej do „pierwszej wzmianki o koniu u Chińczyków“ autor z pisma tego narodu, którego wynalazek przypisywany jest na 2700 lat przed Chrystusem, a które posiada na każdy wyraz osobny znak, pomiędzy którymi znajdujemy wizerunek wozu, konia i pługa, że koń, wóz i pług od najdawniejszych już czasów były u Chińczyków w użyciu „zapewne w tej jeszcze epoce kiedy naród ten z pierwotnej rodu ludzkiego nie wystąpił siedziby“ (str. 64 tom I.), Bunzen stawia czas wystąpienia Hebrajczyków z Iranu przed rokiem dziesięciotyśięcznym, Chińczycy i Egipcyanie jeszcze wcześniej Iran opuścili; tém samém więc podług hrabiego Czapskiego, koń u tego narodu przed rokiem dziesięcioletnim już był w użyciu!

Jako dowód dawności konia w Egipcie, przytacza autor podania Herodota u scholasty Apoloniusza z Rhodu dochowane, który początki do hodowli konia i sztuki jeździeckiej przenosi w epokę mityczną tworenia się kast w tym kraju, co ma to mieć miejsce za panowania bozga Horus, na 4000 lub przynajmniej na 3300 lat przed Chrystusem. Historycznie zaś pewność dawności sztuki jeździeckiej w tym kraju opiera się na znanėj Teb świetności, które w każdej ze stu swych bram po 200 konnego miały żołnierza, co w 3-iem tysięcolecu przypada.

Z dynastycznych klinowych pism Babilończyków i Assyryjczyków autor wnosi, iż powszechne używanie konia u Seniów bardzo odległych sięga czasów. Wyprawa Semiramidy do Indyi na tle historycznym osnuta, w której pół miliona jazdy udział brało obok 3 milionowej piechoty i 10,000 wozów, dalej zwycięstwo Titmosisa III króla Egiptu nad Niniwą i Babilonem w 1538 r. podług Bunzena, w którym koń czynny bierze udział, potwierdza to domniemywanie.

Przeszedłszy jeszcze możebną starożytność konia u Indyan, który sięga czasów wystąpienia ich z Iranu, autor przechodzi do pewniejszej już historii konia, do śladów, jakie w Piśmie Świętém się znajdują, a przeszedłszy później do konia na egipskich pomnikach, opisuje jakiej używano uprząży w onczas, jakich chomałów, szlei, uzdeczek i wędzideł, wystawiając zaś bogactwo hippiczne Egiptu, przytacza rozmaite data ciekawe. Z Egiptu przechodzi do okolic Arabii, do Fenicyan, prześlicznie przedstawia dzieje konia w Grecyi i u Rzymian, opowiada przeszłość jego, na nadzwyczajnym bogactwie materyału się opierając, przechodzi rassy, maści, robiąc rozmaite uwagi hippiczne, a tak z historją Rzymian i koń coraz to okrąza zachodnią Europę, Iberją, Galję, aż do Brytanii. Czytając te historyczne dzieje konia, przechodzimy wiekami historją narodów, czytamy o zwyczajach i zabawach jeździeckich, o poczcie w cesarstwie rzymskiem, to znów o igrzyskach, o wozach i rzedach i znów wracamy do czysto dziejowych wypadków, co pomimo nadzwyczajnie bogatego stylu i nagromadzenia materyału, czytelnika nuży nieco i niesposobnym czyni do przeglądania jednym ciągiem tego kalejdeskopu treści i wyrazów.

W czwartym rozdziale tomu I, przechodząc wypadki dziejowe VI, VII i VIII stólecia mówi o wschodnim koniu. Rozdział ten zawierają

cy 58 str., dla ważności przedmiotu o którym traktuje, stosunkowo do objętości całego dzieła nie jest zadługi, tembardziej, iż mamy pod ręką prześliczne dzieło generała Daumasa, z którego autor także czerpał. Dwa dziś obozy istnieją u nas pod względem zapatrywań hodowców na konia. Jedni arabskiego uważają za ideał, przeciwnicy, angielskiemu pierwszeństwo przyznają. Autorowi wypadło bezstronnie tę rzecz wyświecić, co też dokładnym opisem ręczności i wytrwałości wschodniego w porównaniu z angielskim koniem starał się skutecznie.

Pięknym jest i pouczającym ten rozdział, przeplatany często słowami Mahometa lub opowieściami o chowie, wyścigach, sposobie nabywania i t. p. koni na Wschodzie. Arabską rasę dzieli autor na 7 rodów, które wedle tradycyi ludowych od kilku znamienitych wielkiego przodka pochodzić mają klaczy: 1) Kochlani, 2) Nedzeli, 3) Semenu, 4) Omanu, 5) Hidzak, 6) Bahreim, 7) Berberyjski czyli Libijski. Tu autor zapewne się omylił, gdyż pięć jest mitycznych klaczy Mahometa, które matkami pięciu rodów uznano: 1) Saklawy, 2) Maneki, 3) Dżulfa, 4) Toucie, 5) Kochlani. (Patrz najnowsze dzieło „Die Pferdezucht bearbeitet von Müller und Schwarznuker“ zeszyt I, tom II, str. 24). O perskich koniach powiada autor, że „już słynęły wtedy, kiedy o arabskim ani słychu nie było.“ Herodot, Strabo, Arrian i wielu innych wynoszą perskiego konia nad wszystkie. Autor rozdziela je podług prowincyi, w których zamieszkuje a między innymi chwali konie z prowincyi Kurdystanu pochodzące, jako odznaczające się długim życiem, niepospolitą siłą i szczególnie zdrowymi nogami, gani zaś te, które w prowincyi Aderbisan i Kerman mieszkają. Malowniczo opisuje nam hr. Czapski ćwiczenia jeździeckie Persów i system hodowli u nich. Ceny na konie perskie stawi rozmaite. „Te konie które corocznie w liczbie 3000 do Indyi, a w liczbie 2000 do Turcyi zakupywane bywają, płacą się przecięciowo po 300 do 350 piastrow za głowę (30—35 dukatów), za wyborowe płaci się 400 i 500 funtów sterlingów, szczególnie za pochodzące z okolicy miasta Herat w Chorasanie. Wysokie ceny na dobre konie w Persyi i wielka rzadkość takowych pochodzi wedle autora po części z zakorzenionego zwyczaju krzyżowania, a także z przyczyny złej administracyi kraju, która nie ubezpiecza prawa własności przed chciwością urzędników, do tego stopnia, że często można spotkać palone żelazem zdrowe nogi konia, aby pozorem zaleconej wady uniknąć przymusowej sprzedaży Szekowi.

W końcu tego rozdziału mamy dokładny opis turkomańskiego konia, czyli argamaka, którego hr. Czapski bardzo chwali, tak pod względem szlachetności, pięknej harmonijnej budowy, jako też wytrzymałości. W żyłach tego konia płynie krew arabskich Nadzidów, są jednak od ostatnich rośniejsze i prawdopodobnie wytrzymalsze. Do wschodnich koni zalicza autor jeszcze czerkieskiego. Krótkim opisem abisyńskiego konia przechodzi do piątego rozdziału, traktującego o wyrobieniu się typu armorykańskiego konia w trzech następnych wiekach.

Tu autor przesuwa przed oczami czytelnika obraz upadku monarchii Karola W. i Arun-Al-Raszyda. Upadek jednak tych państw koń przetrwał zwycięzko. „Koń starłej rzymskiej cywilizacji schodzić z pola zaczął, a na obu krańcach ówczesnego świata, na Wschodzie i na Północy sława konia islamowego i rycerskiego powstawać zaczęły.“ Opisałszy w poprzednim rozdziale wschodniego, w tym autor zamierza północnego nam odmalować. Ważne jako w świecie hippicznym, zmiany z rozpoczętym ruchem ludów Północy, uważa autor rozpowszechniające się użycie siodła ze strzemiionami i konieczność kucia koni, czemu téż pięć przeszło stronnic poświęca. Tłumacząc zaś później, co pod rasą amerykańską rozumieć powinniśmy, twierdzi bardzo racjonalnie, że powolne wyrabianie się typu ciężkiego armorykańskiego konia powstało w skutek wilgotnych i żyznych pastwisk północnych wybrzeży Francji, Holandji, Danii, Niemiec i Pomorza. I nikt rzeczywiście z dzisiejszych hodowców twierdzeniu temu nie odważy się zaprzeczyć, gdyż licznymi faktami dowieśćby można było, że pewne zewnętrzne okoliczności, stosunki klimatyczne i życiowe, wpływ paszy i hodowli, może nawet zwiększą i subtelną wschodnią rasę do najwyższego stopnia rozwoju kształtów i mięśni, do masy i otyłości doprowadzić, choć wprawdzie dzieć się to będzie ze szkodą przymiotów wschodniego konia, kosztem jego żywości i dzielności. Przywodząc później historję hodowli koni w tych wiekach w krajach nadmorskich, przechodzi autor do Anglii, o której mówi, iż do niej baronowie normandzcy wprowadzali ciężkie armorykańskie konie (normandzkie) o garbonosėj głowie i grubych kościach, których typ do dziś dnia pomimo licznych ulepszeń tradycyjnie podtrzymywanych jeszcze się zachował, pomimo degeneracji jakiej konie te ulegały, dziś widoczny w olbrzymach Jorksshire to jest Clevelandu i Suffolках.

Dzisiejszą rasę armorykańską spostrzegamy podzieloną na następujące rodziny: 1) koni duńskich, 2) holsztyńskich, 3) belgijskich, 4) holandskich, 5) hanowerskich, 6) meklemburskich, 7) czterech ras francuzkich i 8) dwóch angielskich.

Opisem konia ostrój Północy t. j. szwedzkiego, norweskiego i islandzkiego kończy autor rozdział piąty i przechodzi do następnego, w którym historję XII i XIII wieku opowiada, a razem o koniu krusyat i hiszpańskich.

W skutek wojen krzyżowych upadł feudalizm a z jego upadkiem podniosło się rycerstwo i przekonania „iż koń Wschodu jest najlepszym regeneratorem stad Europy.“ Wojnom krzyżowym zawdzięczamy téż rozpowszechnienie się wschodniej krwi w żyłach koni europejskich. Król Trypolitański, którego konie uważane były, jako najczystszej krwi wschodniej, ofiarował francuzkim krzyżowcom raz 10, drugi raz 15 najdzielniejszych swych koni; do Anglii za Henryka I wprowadzono arabskie konie, a „Jan bezziemi,“ chcąc naśladować Francję, która hippiczne swe powodzenie podówczas zawdzięczała krzyżowaniu północnych koni z południowemi, sprowadził z Flandryi 100 ogierów, a te, w ła-

godnym klimacie Albionu przerodziły się w owe kolosy, dziś w większych angielskich miastach używane do powolnego rozwożenia ciężarów.

Piękne i pouczające są w tym rozdziale ustępy jak: Rycerstwo, Turnieje, Sądy Miłości i Koń Rycerski. Z nich się dowiadujemy wiele szczegółów objaśniających nam te poezyi pełne czasy rycerskiej galanteryi, to źródło przymiotów i wad, cnót i przywar naszych wojowniczych przodków! Rycerstwa uczucia w owe czasy noszą na sobie trzy główne cechy: wpaniałości, szacunku dla kobiety i przywiązania do koni. Obyczaje więc wśród takich uczuć wyrosłe, musiały niepomału na stopniową poprawę koni wpływać. Wyrobiły się też konie, o jakich dzisiaj nie słyhać. Koń rycerza stawał do boju i do turnieju we zbroi skórzanój, miedzianój, żelaznej lub stalowój, którą autor dokładnie opisuje. Lecz prócz tych silnych a zwinnych rumaków, które same w ciężkim rynsztunku zamknięte, uzbrojonego od stóp do głów rycerza w samym walki momencie do boju niosły, był niemniej doskonałym i twardym w pracy, pochodów wojennych koń marszowy, na którym czeladź rycerska i sami nawet rycerze marsze odbywali, lub też je do ówczesnych powozów zaprzęgano i jukami obarczano. Tych koni ostatnie potomki autor dziś jeszcze widzi w koniach Bretanii i Normandyi. Nadto był jeszcze lekki, świetny, rassowy i zręczny paradier, który do wjazdów uroczystych, a także i damom do jazdy, a rycerstwu do ćwiczeń konnych i do pochulanek jeździeckich był potrzebnym.

W owych rycerskiej świetności czasach koń hiszpański stał na najwyższym szczeblu doskonałości. O świetnych turniejach Maurów, Grenady i Korduby rzadko kto nie wie. Mówiąc też autor o hiszpańskim koniu słusznie mówi: „trudno uwierzyć do jakiego stopnia namiętne konia zamiłowanie było w owęj podniesionej epoce, w której szlachetne to zwierzę wszystkie swe władze skierowywało do posług, sławy, miłostek i rozkoszy człowieka.... Hiszpańskie konie wprowadziły pierwsze krople krwi wschodniej do Europy. Francya i Anglia pierwsze swe krzyżowania z końmi hiszpańskimi dokonywały. Żaden koń nie dorównał andaluzyjskiemu dzianetowi w przymiotach bojowego konia.“

Twierdzenie autora, że jazda maneżowa z Włoch do Hiszpanii przeniesiona i sprowadzenie przez Karola III na półwysep Iberyjski neapolitańskich ogierów w ogromnej liczbie, do zagłady hiszpańskich dzianetów się przyczyniły, nie wydaje nam się zupełnie prawdziwem. Na str. 326, I tomu powiada p. Czapski: „koń jest przecież stworzonym do biegu i tylko (!?) ze stopnia ręczności jego ruchów sąd o wartości konia wydać można.... szczególnież wyścigi nowoczesne są próbą pozwalającą ocenić konia.“ Przyzna mi każdy, iż tu autor zbyt arbitralnie w obronie wyścigów występuje. Żądamy wprowadzić od konia ręczności, lecz nie jest to jedyny użytek, jaki z konia mieć chcemy; a gdzież wytrwałość, siła, wytrzymałość na zewnętrzne wpływy, gdzie harmonia kształtów, zalety, których każdy hodowca od konia wymaga? Pre-

dzęjbym siłę, wytrwałość i wytrzymałość na pierwszym położył planie, hodując konie, rączość zaś jako cenny, lecz niezbędny przymiot uważał. Wścigi mogą być miarą rączości konia, nigdy jednak jego użyteczności.

W rozdziale VII daje czytelnikowi autor dokładny obraz mongolskiego, wschodnio-azyatyckiego i tureckiego konia, a zarazem wypadków dziejowych w ciągu XIV i XV stulecia. Z tego rozdziału dowiadujemy się, że na przestrzeni między morzem Kaspijskiem a murem chińskim zawartej, błędzą dotąd stada koni, z których mieszkańcy tameczni odróżniają Tarpany (t. j. w ich pojęciu dzikie konie) od zdziaczałych Mucynów. Autor wbrew pojęciom tamecznych mieszkańców utrzymuje, „iż wielkie jest prawdopodobieństwo, że tarpan również jak dziki koń Ameryki nie jest czem innem, jak bardzo dawno zdziaczałym koniem domowym.“ Tarpan różni się od mucyna, prócz odmiennej budowy ciała, głowy i kopyt, jeszcze maścią. Tarpany zwykle maści bywają myszatęj, czerwono-gniadęj a nieraz i izabelowatęj; mucyny zaś skarogniadęj lub siwo-srebrnej z łysiną i pończoszkaami. Inne dzikie konie Azji są tylko podług autora odmianami tarpanów, jak np. owe brodate, długą białą siercią pokryte indyjskie konie, lub srokatę Taniany. Mówiąc o koniu w Chinach i w innych dalekiego Wschodu stronach, chwali himalajskie Gnudy, jako dzielne górskie konie juczne, a także wspaniałe kaszmirskie i nieponęte ale wytrwałe i silne wierzchowce tatarskie. W Chinach właściwych koń jest drobny, okrągły i łagodny a zdolny „zaledwie dźwigać na stępie ciężar złoconego rzędu, jaśniejącego barw tysiącem, oraz wagę mandaryna i wiesidełek z włosienia czerwonego wyrobionych.“ Mieszkańcy królestwa Tong-King używają bawołów i stoni do posług, które u innych narodów koń wykonywa. Lepsze konie są sprowadzane z poza granic niebieskiego państwa. W Indyach istnieje drobna, wątła rassa, w niczem od chińskiej nie lepsza.

O koniu tureckim trudno jasno powziąć wyobrażenie z przyczyny obszerności tureckiego państwa; różne bowiem prowincye różne mieć mogą i to nieraz znamienite rassy, a wszystkie one do rass wschodnich należą. Kapadocya i Rumelia są podług autora pierwszymi państwami tureckimi pod względem chowu koni; lecz dziś wszędzie niemal czystość tureckiej rassy zatarła się zupełnie.

W rozdziale VIII przechodzi autor wypadki dziejowe XVI stulecia, w którym występuje na widownią koń włoski, amerykański, austriacki i węgierski.

Najlepsze do dziś dnia konie włoskie pochodzą z bogatych ródzin Polinezyi. W okolicach Padui (Padwy) hodują się znamienite kłusaki, które do lekkich wozów (sedioli) zaprzężone, wprawiane bywają do biegu prawie codziennie. Sycylia po której z kolei różne przeszły zwyczaje i prawa, miała w starożytności znakomite konie, co nieraz na igrzyskach olimpijskich triumfowały, a królom Syrakuzy do pysznych wozów i uroczystości służyły. Po epoce Normandów widzia-

ła swą sławę coraz niżej z każdym wiekiem upadającą, a z upadkiem jej osieć i muł zastąpiły szlachetnego konia.

„Już w tym wieku hippiczna sława Polski zaczyna się mocno rozwijać, a w następnym przychodzi do kulminacyjnego punktu swjej świetności. Sully był jednym z tych, co się najdzielniej przyczynili do ulepszenia rass krajowych we Francyi w tym czasie. Wojny, łowy, przejażdżki i publiczne ceremonie utrzymywały w kraju tym obyczaje jeздеckie, a Sully sam doskonały jeździec oddawał się specjalnie hodowli koni. Jemu przypisać należy pierwszą myśl założenia stad rządowych we Francyi, on bowiem umieściwszy kilka wybranych ogierów w Piu w Normandyi, które protoplastami najlepszej rassy francuzkich koni zostały, na to zasłużył. W Ameryce nie znano koni przed jej zdobyciem, Hiszpanii więc winna Ameryka zaprowadzenie tego szlachetnego zwierzęcia, które przyczyniło się przeważnie do jej zawojowania, do rozwoju tam cywilizacyi. W pierwszych latach odkrycia Nowego świata płacono za konia ogromną summę 5000 dukatów, pod koniec XVI wieku to jest w 100 lat po odkryciu Ameryki, nowa ta część świata miała stosunkowo tyle już koni, co i Europa, zwycięzcy bowiem od samego początku liczne rozmnażali stada, puszczając je swobodnie w lasy i sawany, co się przyczyniło do zdziczenia tam domowego konia. Zdziczałe te konie rozmnażały się nadzwyczaj szybko, szczególnie na południu stałego lądu Ameryki, na wybrzeżach rzeki La Plata. W pierwszych latach obecnego stolecia już wielu było właścicieli posiadających po kilka tysięcy dziko pasących się lecz piętnowanych koni. Obecnie główne takich koni siedlisko jest na obszernych stepach między Kalifornią i podnóżem gór Skalistych. Dziko żyjące konie Ameryki znane są pod nazwą Cimarónów. Są to zdrobniałe, z biodrami sterzącymi, z grubą szyją i ciężką głową wiśniowo-gniade potomki stariej hiszpańskiej rassy. Zdziczałe konie wywarły wielki wpływ na stan pierwotnych mieszkańców Ameryki, prze-rabijając ich na koczujące po azyatycku ludy.

Dziś już w Ameryce a szczególnie w Stanach-Zjednoczonych i Meksyku, są stada na sposób europejski prowadzone, w których czysta krew angielska przeważa. Zaprowadzono wyścigi, wytworzono sławną na świat cały rassę kłusaków przez rozumne krzyżowania i umiejętną tresurę, choć sprowadzanie znamienitych z rącości w kłusie koni z Europy, pociągało ogromne za sobą koszta. Rząd Stanów-Zjednoczonych przyczynia się bardzo do rozwoju tej kłusaków rassy, wzbraniając wyścigów wielkiej rącości.

Pod koniec zeszłego stolecia wziął się dopiero i rząd austriacki na wzór innych europejskich rządów do opiekowania się hippicznymi sprawami państwa, zakładając sam stada i zajmując się kierownictwem hodowli koni we wszystkich podległych swemu zwierzchnictwu krajach. Następnie widzimy wyliczone stada ces. królewskie w Austrii, i opis ich urządzenia. Stan hippiczny Węgier osobny stanowi dział, gdzie również o stadach wiele dowiedzieć się można. Na końcu I to-

mu autor wspomina o Wirtembergii i Bawaryi, krajach, w których pojęcie hippiczne i chów koni wiele z Austryą mają wspólnego. I tu i tam krewwschodnia stanowczo przeważa. Pierwszy tom kończy autor ustępem o zamożności hippicznój Niemiec, w którym zestawione cyfry dają wyobrażenie o ilości koni w krajach dzisiejsze cesarstwo niemieckie składających, oraz o jój stosunku do obszaru pojedynczych państw i ludności.

Cały ten tom, pomimo nieraz zajmującej treści nie czyta się tak dobrze, lekko, bez znużenia, jak tego spodziewałyby się można było po pojedynczych ustępach, a to z powodu iż autor położywszy sobie za cel przedstawić historję powszechną konia, chciał ściśle chronologicznie dzieje hippiczne świata przedstawić; tym sposobem przerywa ciągle czytelnikowi myśli, prowadząc go z jednego do drugiego kraju, nuży opisami zdarzeń, a pomimo bogactwa zebranego materiału w ogólności, w szczególnych wypadkach, w opisach niektórych rass nie jest dokładnym. I tak np. nie wiemy z tego tomu jak wyglądają austryackie konie, nie mamy dokładnego wyobrażenia o „juckerach“ węgierskich i t. p.

Dwa pierwsze ustępy w następnym tomie traktują o wypadkach dziejowych i hippicznych XVII stolecia w ogólności, a specjalnie o angielskim i francuzkim koniu tych wieków; resztę całego tomu poświęca autor historii polskiego konia.

Cała ta część o polskim koniu traktująca, dla Polaka nadzwyczaj zajmująco opisana, a tak opracowana, iż zdumiewać się można nad ilością dzieł przez autora z konieczności przeczytanych, aby tyle o polskim koniu napisać. Z niezmierną pracowitością zebrał autor co tylko w podaniach, po książkach, w poezyach, w przysłowiaich i pogadankach o koniu nam pozostało; tyle się też rzeczy dowiedzieć i nauczyć można, iż wstyd byłoby ich nie znać, a dzieło to choćby dla tój jedynj części wszędzie się znajdować powinno, gdzie jest koń w stajni, gdzie zamiłowanie do starj tradycyi naszych przodków pozostało. Konia bowiem od jeźdźca autor nie rozdziela. Mnóstwo zaś staropolskich do konia zastosowanych przysłów, stare odtwarza czasy z taką siłą i werwą, iż cześć się autorowi należy za ten hippiczny narodu naszego obraz. Szkoda tylko iż do odmalowania tego obrazu nie zawsze pewną ręką trzymał autor pędzel, nie jednakowo jaskrawych używał farb. Styl nie w każdym miejscu jest równy, w niektórych razach czyta się ciężko, w innych gdyby jaka gawęda u komina lub lekkiej treści opowiadanie; lecz i to wybaczyć można, gdyż autor porozrzucany w podaniach i książkach materiał piérwszy raz w jedną całość zbiera, gdy przeciwnie do piérwszego tomu, wiele już mógł znaleźć w cudzoziemskiej literaturze.

Jakie znaczenie w życiu wszystkich stanów Rzeczypospolitj miał koń, jak się wplótł w obyczaje narodu polskiego, jak namiętnj miłości stał się przedmiotem; malują dokładnie przez autora przytoczone słowa Skargi: „Milszy tobie syn kobyli, nizeli Syn boski.“ Do

tęgo stopnia kochano konie, że ich pamięci stawiano grobowce, lub tęskne poświęcano rymy, które w pozostałych pismach Kochanowskiego, Paska, generała F. Morawskiego znajdujemy. Ba! nawet najnadobniejsze przyrównywano istoty do konia; jak Salomon do źrebic lubę swą w „Pieśni nad pieśniami“ przyrównywał, tak też i w Polsce czyniono, mówiąc: „Pani młoda jak źrebica!“ Szanowny autor więc twierdząc, iż nie należy tego umiłowania konia „poczytywać za konioszaleństwo, koniomanię, czyli jałową do koni pasyę“ najwidoczniej błądzi.

Na str. 31, II t. dowiadujemy się rzeczy nowęj zupełnie, niezgadając się z dotychczasowemi zapatrywaniami na charakter polskiego narodu, mianowicie że „Rolnictwo było wyłączném osad cudzoziemskich zajęciem, kiedy większa część wiosek polskich zajmowała się głównie pasterstwem i chowem koni, rybotówstwem i myśliwstwem.“ Prawdopodobnie więc i tutaj chcąc autor Polskę wystawić jako kraj hipiczny, za gorąco rzecz przedstawia.

Na szczycie sławy, zamożności i wykształcenia stojąc za Zygmunto-wskich czasów Polska, za tychże czasów i pod hipicznym względem najwięcej stynie. Unia Litwy z Koroną nader błogie na rozwój hipiczny obu narodów wywierając wpływy, szczególnie jednak na Litwę oddziaływa; bo choć ostatnia wprawdzie zaszczycona była godłem Pogoni, to jednak przed Unią ustępowała w jeździeckim i hipicznym względzie Polsce, i dopiero po zlaniu się z Polską przyjmuje od braci swęj koronnęj zdrowe i wykształcone o chowie koni pojęcia.

Ze w dawnęj Polsce rodzaj konia wielką rozmaitość okazywał tak pod względem użyteczności zwierzęcia, jak też niemniej pod względem jego budowy, tego szanowny autor stara się dowieść w § 142, gdzie o języku hipicznym mówi. I tak nazwy koników, kosiów, kucyków, mierzynów, dylongów, dryblasów, drabów, bucefałów, kandybów, przedstawiają nam wyraźnie pod względem wzrostu różnicę. Szkapę, marchę, chmyzy, wywłoki, bronwłoki, szewluchy, terlice, hetki i sudane, bachmaty, ciekuny, bieguny, kursery, wężelki, stępaki, rysaki, kłusaki, szłapaki, rumaki, rączoskoki, rzutne, wiatronogie, bystro-lotne, chyże i t. p.; przedstawiają dwa przeciwne typy pod względem dobroci zwierzęcia, a znowu, konie pocztarskie, łowieckie, podjezdki, gospodarskie, kawalerskie, robocze, stadowe, juczne, stójkowe, wyraźnie nazwą swoją przedstawiają cel użytkowy, dla którego istniały. Niemniej rozmaitość nazw dowodzi, iż nie jedna była koni w Polsce ojczyzna. I rzeczywiście pomimo wielkiej obfitości koni krajowych najrozmaitszego gatunku, Polska zawsze sprowadzała mnóstwo koni z obcych krajów. Oprócz wybornych polskich krajowych, żmudzkich, ukraińskich i podolskich, stepowych czyli zaporozskich, karpackich czyli podgórskich, sprowadzano nadto konie z Tracyi to jest tureckie rumaki, frezy, angielskie, hiszpańskie dzianety, arabskie bedewie, adziamskie, neapolitańskie, albańskie, poddunajskie i węgierskie konie, tatarskie i czerkieskie bachmaty i t. p. Z tych wszystkich podług Marescoti'ego „najliczniejsze były konie polskie, ukraińskie i ta-

tarskie, tak, że one wraz z węgierskimi wyraźną stanowiły wśród koni w Polsce używanych większość. Autor przytacza ustęp jednego z tegoczesnych powieściopisarzy, w którym znajdujemy trafnie przedstawioną różnorodność tych trzech różnych typów końskiego rodu, które się w Polsce najczęściej pojawiały.

„Szparko” jak strzała *sadząc sarniami susami* wpadł na podwórze stepowy konik z kozakiemza nim wleciał murza tatarski, a bachmat jego jakby się pławił, tak gładko i tak *nizko sunął* sprężystymi nogami...w ślad za nimi pod Lachem koń *przysadzając się zadem ku ziemi, przodem wyskakując w powietrze*, okracz wpląsał na podwórze.“

Od str. 48—84, II t., autor nader zajmująco i dokładnie opisuje wszystkie w dawniej Polsce pojawiające się konie, a dalej utrzymuje, iż wojny głównie źródłem były wschodnich dla Polski koni. Na wojnie zdobywano najdzielniejsze wschodnie rozplodniki, a można się było nie troszczyć o świadectwa czystości ich pochodzenia, gdyż rzadko bardzo mużułański wojownik powierzał swe życie koniowi niepewnej krwi i dzielności. Po każdej wojnie z Turcyą rumaki tureckie, bachmaty tatarskie i badawie arabskie za bezcen w kraju sprzedawano. Z Zachodu konie a mianowicie z krain sąsiedzkich, przybywały początkowo za pośrednictwem przekupniów, a gdy prawodawstwo krajowe przeciw nim powstało, zaczęto wodzić massami bez niczyjego pośrednictwa, prosto na jarmarki krajowe, szczególnie węgierskie „sekiele“ a w końcu nawet tą samą drogą wkraczały w granice Polski i konie a wschodu. Najgłówniejsze punkta handlowe były: w Otakach i Raszkowie nad Dniestrem i w Stanisławowie na Rusi Czerwonój, a oprócz tego gęsto po kraju rozsiani Turcy, Ormianie, Grecy i żydzi pośrednictwem w handlu się trudnili. Najważniejszy podług mnie ustęp II t. nosi tytuł „Co rozumieć o polskiej koni rassy i jak na nią wpływało prawodawstwo.“ W ustępie tym hr. Czapski dowiędzie się stara, iż w Polsce żadnej osobnej rassy koni nie było, któraby pewnemi na całego kraju przestrzeni jednakowemi się cechami odznaczała; że owszem przeciwnie, autor się dopatruje jak największą różnorodność i niejednakowość między polskimi końmi. „Każde stado w Polsce odrębną było konia rodziną, mało lub wcale nie związane węzłami pokrewieństwa z innymi rodzinami krajowemi. W stadach panowała wielka różnorodność żartkości, cudności, lenistwa i szpetności.“ Osobnego rodu łączącego wszystkie drobne konia rodziny w Polsce nie było. Krew wschodnią bardzo rozmaitego stopnia czystości, była wprawdzie źródłem odświeżającym i uszlachetniającym konia, ale oddzielnego gniazda w Polsce także nie tworzyła.

.....Większa więc część stad krajowych ubiegała się o wschodnie stadniki. Wyrażenie: „koń szlachetnego rodu, koń dobrego stada, koń rassy“, nie znaczyło konia osobnej polskiej rassy, ale tylko tyle,

co „koń mający wiele krwi,“ w czem domyślać się należało „krwi wschodniej“ (str. 98). Najrozmaitszego krzyżowania produktu miały podług autora być materyałem produkującym polskie t. j. *polskiemu smakowi i polskim* potrzebom odpowiednio, konie, i jeżeli—powiada dalej—używamy dzisiaj w potocznej mowie wyrażenia „rassa polska,“ to tylko w znaczeniu typu, a nie rodu brać należy. Tu by z szanownym autorem można było arkuszową polemikę prowadzić, któraby jednakowoż stanowczej nie przyniosła dla obu stron korzyści. Trudno jest bowiem spierać się o to, co oderwanego pojęcia jest wyobrażeniem. Jeżeli autor pod mianem rassy polskiej szczególnymi cechami zoologicznymi odznaczającą się grupę koni rozumieć, w takim razie stanowczo nie można mu przyznać słuszności. Jeżeli jednak w pojęciu hodowcy, rolnika, przemawia, t. j. że rassa nie tylko zoologicznymi cechami wyróżniać się powinna, te bowiem dla hodowli żadnego lub bardzo małe mają znaczenie, lecz także cechami, z których hodowca wartość fizyologiczną, wartość gospodarską pewnej grupy zwierząt ocenić może, w takim razie w części ma tylko słuszność. Dla zoologa bowiem nie ma osobnej rassy owiec negretti, nie ma bydła rassy holenderskiej; on pierwsze łączy do merynosów rassy, drugie do rass niziny: dla hodowcy jednak ile jest odcieni między merynosami, tyle być może rass uznanych między niemi. Że jednak koń polski „polskiemu smakowi i polskim potrzebom odpowiada, jak autor sam przyznaje, stanowił więc i dla hodowcy grupę, którą autorowi typem, innym rassą wolno nazywać, innym wreszcie gniazdem, jeżeli cudzoziemskiemu wyrazowi „rassa“ obywatelstwa odmawia. Autor utrzymuje, że polskich koni rassa utrzymać się i ustalić nie mogła, gdyż „mieszanie i krzyżowanie rass końskich w Polsce tak było powszechnem, iż za mieszańca uchodził tylko zwierz nieprawy, który się między sobą nie płodzi, wtedy mułem zwany, kiedy był produktem załotów ośła do świerzopy, wtedy zaś mutoostem, kiedy go porodziła oślica z ogrem odchowana“ (str. 92). Czy jest tak rzeczywiście, o tém spierać się nie chce; ale jeżeliby tak było, to również nie dowodzi, iż polska rassa nie mogła być stałą, gdyż historia tworzenia się rozmaitych rass zwierząt w nowszych czasach, wyświeśla nam tę kwestyę na korzyść krzyżowania. Wszak dawniej utrzymywano, że angielski koń pełnej krwi jest rassy zupełnie czystej. Mylność tego poglądu dowiódł między innymi Nathusius (patrz *üb. Constanz etc.* str. 23). Dziś wiemy, iż w żyłach angielskiego wyścigowego konia płynie krew koni arabskich, berberyjskich, tureckich, perskich, syryjskich, a nawet miejscowej krajowej rassy. (Patrz: *Ruef Anleitung zum Betreibe der Pferdecuc*: str. 14). Angielskie rassy świń nazywano u nas rassami czystej krwi, a te również z czystej krwi nie powstały, lecz raczej pochodzenie swoje zawdzięczają mieszaninie rozmaitych krwi a mianowicie: angielskiej miejscowej, chińskiej, romańskiej, a z tej ostatniej szczególnie świni neapolitańskiej czarnej. Sprowadzano więc do wytworzenia się angielskich świń „czystej krwi“ osobniki z Chin, z Siamu etc., do

wytworzenia się polskiej rasy koni mogła być również rozmaita krew użyta, po wytworzeniu się dziś z mieszanój angielskiej rasy świń oddzielnych kierunków, tak pod względem kształtów jak wielkości, nie mniejsza prawdopodobnie istniejąca różnaitość, niżeli między końmi polskimi egzystowała. Mnóstwo można było przytoczyć podobnych przykładów, któreby szanownemu autorowi dowiodły także, iż krzyżowanie i mieszanie rozmaitej krwi, może rozmaite i stałe, równokształtne rasy utworzyć.

Dość powiedzieć, że koń angielski pełen krwi, bydło Shorthorn, niemieckie merynosy i angielska świnia pełnej krwi, a zatem typy zwierząt, któreby *rassami świata* nazwać można, powstały ze zmieszania krwi, gdyż angielskich hodowców dążeniem w hodowli nie jest stałość rasy, tylko jój możebna giętkość a zarazem równokształtność. Głównie więc o to nam iść powinno, czy żadnej nie było polskiej rasy koni, czy też była jaka i czy była jednolita, lub też na kilka się odmian lub pokoleń rozpadala?

Chcąc rzecz tę rozstrzygnąć, niech mi wolno będzie użyć słów Settegasta, który trudność uznania pewnej grupy zwierząt, jako rasę w następujący sposób przedstawia: „Dla rozróżnienia cech stanowych, charakteryzujących budowę zwierząt w obrębie jednego gatunku używa tak zoolog jak hodowca wyrażenia *rassa*..... Pytanie, czy ta lub owa grupa zwierząt z rasy wzniosła się do gatunku (*species*), lub też zajęła niższy stopień w systematyce, może być tylko na pewien przeciąg czasu rozstrzygniętym, a o drugiej części pytania decyduje zdanie bezstronnych, myślących hodowców (Settegast, *Hodowla*, spolszczył Trylski str. 46). Tu więc co autor rodziną zowie, inni hodowcy do znaczenia rasy wynoszą. Autor głównie twierdzenie swoje opiera na mocy odmiennych spisów polskiego konia i wizerunków rozmaicie nam to szlachetne zwierzę przedstawiających, w których on podobieństwa nawet żadnego między nimi nie widzi. Alboż delikatna elektoralna owca podobna z wizerunku do ciężkiego rambouillet'a, choć obydwa okazy są tylko szczepami jednej rasy merynosów, lub koń angielski wyścigowy do keutera? Zresztą szanowny autor sam na str. 102 tak się wyraża: „Zgadzam się na to, że się zmieniały kształty polskich koni w miarę zmian pojęć o rodzaju, użyteczności, dzielności i wdzięku konia, albowiem człowiek jest w stanie w każdym zwierzęciu domowém upragnione przez siebie rozwinąć przedmioty łączniej, im mniej ustalona była ich rassa. A któraż z *rass* nowych jest stałą? Zdaniem naszym przyroda wcale nie obdarzyła *rass* owemi do niewyrugowania stałymi przymiotami, te bowiem sprzeciwiałyby się celom przyrody. Być może, iż pierwotne rasy to jest te, które bez współdziałania człowieka powstały, posiadają swych cech, trwałość; lecz im ta jest większą, tém rasy owe mniej przedstawiają danych do służenia za materiał hodowlany dla pewnych określanych celów. Hodowla przecie nie może używać takich typów, wymaga przeciwnie *rass* giętkich, łatwo do jój celów się nadają-

cych. I gdy autor na str. 93 II powiada: „Jeżeliby był ustalony jeden ród koni w Polsce istniał, toby się on jeszcze przechować potrafił w którejkolwiek prowincyi dawniej Polski, pomimo ogólnej kraju katastrofy, to na str. 41, tom III wbrew temu zdaniu utrzymuje: „W Wołyńskiej gubernii..... w Miropolu, stadko hrabiów Czapskich zawiera 60 matek *dawniej polskiej rassy*.“ To samo powiada o niektórych stadach w Chersońskiej gubernii, gdzie mają być dotąd polskie konie ze stad książąt Czartoryskich pochodzące. Słowem autor, o ile śmiem przypuszczać, sam nie jest pewny we względzie polskiej rassy koni. Zresztą nie ma o co się spierać, gdyż to pewno, że obszerna Polska z różnych części w jedno polityczne zlane ciało, nie daje nam rękojmi, aby na jej całej przestrzeni z jednego gniazda wspólnego wywiedziony ród koni mógł istnieć. Że był koń polski, zwłaszcza bojowy, dzielny, wytrwały, silny i rączy, to samo autor w ciągu swęj pracy niejednokrotnie podnosi. Polska na strażnicy narodów od naglego napadu Tatarów i Turków stojąca, w ciągu wielu stóleci z konnemi nieprzyjaciołmi do czynienia mająca, z potrzeby u siebie wyrobić musiała takiego konia, a naród z nim się zrość musiał. Typ konia, jakieśmy wyżej powiedzieli, przeważnie musiał być wschodni, gdyż wielka ilość wschodnich rumaków, jaka po wojnie zwykle w kraju zostawała, lub jakie kupowano od pośredników w czasie pokoju, koniecznie na ród polski wpłynąć musiała.

W § 158 jest mowa o przymiotach matki. W rozdziale tym znajdujemy następujący ustęp: „Pierwiastki, to jest młode kobyły na pierwszym razie, do najcudniejszego przypuszczano konia w przekonaniu, że takie matki do śmierci cudne płodzić będą źrebięta. Zasada podobna nie jednemu mniej w sprawy hippiczne wtajemniczonemu, wydawać się może dziwactwem i przesądem; tu przeto pozwałam sobie stanąć w obronie trafności i daru obserwacyi naszych przodków a niewdając się w rozbiór tajemniczycy dotąd praw spadkobierstwa i generacyi, ledwie naszkicowanych przez Darwina, przypominam sprawdzone wydarzenie u lorda Morton, opisane w „Philosphical Transactions 1821 r. p. 20“ (str. 151 II).“ W obec dzisiejszego stanowiska nauki fizjologii płodzenia i rozwoju zarodka zwierzęcego, dziwi nas mocno, jak pan hr. Czapski może w obronie tak niezgadającego się z prawdą wypadku stawać. Jestto hipoteza, która dziś żadnej podstawy znaleźć nie może. Wypadek o którym hr. Czapski wspomina i który miał być sprawdzonym, brzmi mniej więcej jak następuje. Wschodnia klaczy hr. Mortona pokryta ogierem Quagga, urodziła źrebię noszące wszystkie cechy mieszańca; gdy potem pokrywano ją arabskim ogierem, rodziła kilkakrotnie źrebięta o czarnej prędze przez krzyż i o kilku na nogach, które przez to przypominały pierwszego jej samca. Wizerunki klaczy Mortona i jej potomstwa można widzieć w dziele „Jardine's Naturalist's Library“ w XII tomie na tablicach XIV, XXVI, XXVII i XXIX. Settegast o tych rycinach powiada: „Łatwo się z nich prze-

konać, że czarne pręgi na szyi, kłębie i nogach źrebięcia po arabskim ogierze są bardzo naturalnemi. Cała zresztą powierzchowność zwierzęcia wykazuje krew arabską tak, że najbujniejsza fantazyja żadnego podobieństwa do form Quaggi znaleźć tam nie może.“ Settegasta, autor jak sądzę, nie może liczyć do mniej w sprawy hippiczne wtajemniczonych a tém samém o niepoznanie się na tém posądzać, w przeciwnym zaś razie musielibyśmy przypuścić, iż obydwóch samców nasienie jedno jajko zapłodniło. Czy to jest możebne, to pan hr. Czapski sam osądzi. Gdyby rzeczywiście mogło mieć to miejsce, hodowla nie byłaby rzeczą tak trudną; nie mając odpowiednich reproduktorów moglibyśmy idealnie otrzymywać kształty, puszczając tylko pierwszy raz samice do znamienitych samców, później już używając pierwszą lepszą hetkę w tym celu. Któryż z hodowców nie wie, jak częstemi są zboczenia właśnie w maści, choć o wpływie pierwszego zapłodnienia i mowy być nie może? Gdyby teoria ta jakkolwiek miała rację bytu, niezawodnieby owczarstwo ostatnich czasów dostarczyło w téj mierze dowodów. Nie przesądzimy utrzymując, że miliony owiec elektoralnych łączono z trykami Negretti, Rambouilletami po poprzedniém pokrywaniu owych elektoralami. Settegast w dziele swoim o hodowli zwierząt tak się o tém wyraża: „W dobrach do królewsko-pruskiej akademii w Proskau należących, użyliśmy dotąd około 700 matek elektoralnych, przedtem także baranami pokrywanych, do krzyżowania z baranami Southdown. Stado elektoralne cechuje się tém, iż często matki są w niem rogate, cyfra takowych do 60% dochodzi. Z pomiędzy potomstwa po baranach Southdown nie było ani jednego rogatego jagnięcia, ani jednemu z nich nie brakło czarnych plam na łbie i nogach, jakie na produktach krzyżowania merynosów z Southdownami pojawiać się zwykły. Nieinaczej działo się i w innych owczarniach, nigdzie niezauważano ani jednego wypadku przemawiającego za prawdziwością teorii wpływu pierwszego zapłodnienia. W ogólności więc wszystko co w tym względzie mówię, jest tylko uprzedzeniem, ślepą wiarą i powtarzaniem za panią matką pacierza; nic nie opiera się na faktach, na niezbitych dowodach.

„Do maści i odmian wielką przywiązywano wartość. Nauka kombinowania maści rodziców, powiada autor, była przedmiotem głębokich studyów hippologów starodawnych.“ Naksztalt starego Rzymu zapatrywań i w Polsce uważano, iż cztery najprzedniejsze maści czterem żywiołom odpowiadają. I tak: 1) gniada sierć powietrza jest uczestniczka a konie téj maści są zazwyczaj wesołe, 2) Cisawa czyli dzisiejsza kasztanowata podobna ogniowi, a jako ogniowej natury, zółci najwięcej w sobie zamyka; konie téż cisawe są najczęściej choleryliczne, złośliwe; 3) wrona maść do ziemi zblżzona, a konie téj maści melancholiczne, 4) biała wodzie odpowiada, a charakter białego konia flegmatyczny. W tymże rozdziale o maści podaje autor między innemi obchodzący terazniejszość ustęp, mianowicie, że w Prusiech wscho-

dnich do ogólnej podano wiadomości trzy wydarzenia, w których białe i białosrokate konie silnym uległy cierpieniom po nakarmieniu ich wyką dotkniętą przez rosę miodową i mączną. Każda plamka na skórze, białą sierć noszącej, uległa gangrenowatemu zapaleniu. Fakt podobny był na wielu innych także stwierdzony miejscach, przyczem zapadłości takich na koniach różnej maści, ale wolnych od odmian wcale nie zauważano. Roślina „*Aethusa cynapium*” (mordownik pospolity) rozwijająca zazwyczaj w koniach biegunkę, wzbudza u koni z latarniami powstawanie wrzodów i nabrzmiałości na ich białych wargach i chrapach.“ Jest to ważna przestroga dla hodowców koni a zarazem dowodem Darwina teorii naturalnego wyboru („of the natural selection“), który pomaga pewnym formom (lub jak tu pewnym maściom) do rozpowszechnienia się ich w danej okolicy. Tu indywidua białej i białosrokatej maści będąc pod względem żywienia ich trudniejsze, upośledzone, ulegają i ustępują miejsca indywiduum innych maści, tak jak w owym przez Huxleya przytoczonym fakcie o białych świniach w lasach Florydy, gdzie takowe czarnym miejsca ustąpić musiały z przyczyny, że zdychały od korzenia farbiarskiego, *Ladmantès tinctoria*, podczas, gdy ten czarnym nic nie szkodzi. Przytoczony przez autora fakt jest jeszcze tém ważniejszy, że o ile innie wiadomo o wypadkach podobnych między domowemi zwierzętami, zawsze biała maść była ich powodem. Wiadomo, że tylko białe i z białemi plamami owce, dostają choroby czasami śmiertelnej, w skutek najedzenia się gryką. Również według Heusingera dla białych tylko owiec ma być trucizną rosnąca obficie w Tarentino roślina pod nazwą *hypercicum Crispum* znana. Czyżby ciemny barwnik w skórze innej maści zwierząt zawarty, był zarazem chroniącym zwierzęta, przeciw niektórym złym wpływom z paszy pochodzącym?

Opuszczamy szczegółowy opis następnych rozdziałów tego tomu, w których autor systemy hodowli i jej zasady w dawniej Polsce opisuje, w ogóle tylko zanotować z nich możemy, że hodowla konia u nas pomimo, że wolną nie było od lekkiej guślarstwem zaprawy, stała jednak tak wysoko, iż pod wielą względami dzisiejszym hodowcom za wzór i szkołę służyć może. Nie u jednego dziś hodowcy na ogólne zasady chowu w stajni muięj zwracają uwagi, niż u przodków naszych w wielkich półdziko utrzymywanych stadninach.

W dłuższym artykule przedstawia autor dawny sposób jazdy Polaków, wychwala go jako swobodny i może nawet przecenia mówiąc: „wielkie tu nawet nastrecza się pytanie, które rozwiązać trudno, czyby się Polakom udać mogło tak świetnie swoją na świecie odegrać rolę, jeżeliby się wcześniej wyrzekli własnych w jeździectwie pojęć i zwyczajów, a zbyt skwapliwie włoskie pochwycili paradiertwo.“ Włoska szkoła jazdy, która z początku nielicznych miała zwolenników, w ostatnich dopiero czasach istnienia Polski ogólną się stała. Ze szkołą tą, do języka hippicznego, w którym z początku mało jest wyrazów oznaczają-

cych ruchy konia, wciska się mnóstwo cudzoziemskiego pochodzenia przybyszów, jak: pasady, balatady, piruety, kusbety, kontrgalopy, a nawet staropolskie wyrazy jak cwał, przecwał przez karier i wantrates zastąpione zostały. Lecz i w tym czasie jeździec polski niepoślednie w Europie zajmuje miejsce, aż póki smutne nie nastąpiły czasy, w których wszelkiej zaniechano jazdy, wśród których ogólne odrętwienie dla sztuki jeździeckiej zapanowało. Dziś kiedy koń angielski strącił ze szczytu wziętości dawnych bohaterów maneżu, świeżemi laurami na turfach całej Europy zdobytemi, a z nim znówu wróciły swobodnej jazdy pojęcia, których Polacy XVI i XVII stulecia najzawziętymi byli obrońcami, prawnicy ich XIX wieku stają po stronie opozycji, sprzeciwiają się powrotowi polskich w nauce jeździeckiej zasad, „występują przeciw powrotowi jazdy prawdziwie narodowej, zapamiętałe bronią się przeciw wszelkiemu w jeździe i chowie koni postępowi... i najzabawniejsze ulepszenia hippiczne i jeździeckie pogardliwym *anglomani* chrzczą bezlitości przydomkiem“ (str. 222 II). Smutnie zaiste czasy teraźniejsze przedstawił autor, lecz czy zarazem niezbyt w różowym świetle na tak zwaną angielską szkołę chowu koni się zapatruje, czy owa jazda prawdziwie narodowa“ dziśby nam była tyle pomocną, ile owa jazda ciągłych wojen, w których jazda główną siłę zbrojną stanowiła, wątpić należy.

Przy kupnie konia długo się o niego targowano i autor powiada: iż śmiesznym wydawało się hojnemu polskiemu szlachcicowi zacięte i uporczywe targowanie się przy kupnie czegobądź innego jak konia i mówiono „będzie się o to targował by o konia.“ Ze źrebięcia poznawano przyszły wzrost konia, mierząc przestrzeń od podbrzusza do kolana, a od kolana do wierzchu kłęba, tyle się po nim wzrostu spodziewając, ile druga miara od pierwszej dłuższą była.“ Kupując konia najpierw po zębach wiek jego poznawano, pierwszą parę siekaczów czyli mleczne cęgi, które koń w trzecim roku zmiata, technicznie pierwszą trawą nazywając, wtórą parę drugą trawą, a okrajki trzecią trawą i chyba tylko „darowanemu w zęby nie zazierano koniowi,“ z tém wszystkiém „sztuka fałszowania rejestru była już u dawnych trybowników wysoce wykształconą,“ a podrabianie babu końskiego czyli rejestru za pomocą gorącego żelaza tak jak dziś i dawniej znano. Najlepszym targowanego konia było doświadczeniem „gdy z nim w pole ze psy na cały dzień wyruszono... jeżeli koń do wieczora z całą wytrwałą mocą i jeszcze do domu wracając tak szedł i w poskoczeniu się czuł, jakbyś go dopiero co dosiadł, to już takiego konia miano za dobrego, i jeżeli był wyprawny, to z ochotą grubo zań płacono.“ Widzimy więc tutaj łowy, miarą dobroci konia, w miejsce których dziś autor wyścigi proteguje.

Ważny jest bardzo ustęp: „Znamienite stada polskie.“ Tu autorowi zawdzięczamy pierwszą niemal historią stad w dawniej Polsce, począwszy od stada Bolesława Krzywoustego około roku 1133 aż do stad dni dzisiejszych. O ile krew wschodnia

w stadach dawniej Polski przeważnie płynęła, przekonywamy się z opisu królewskiego stada Zygmunta Augusta (jeszcze na str. 90 II), o którym z uniesieniem mówi i widzi w nim autor „dowód głębokiego spraw hippicznych pojęcia, które o całe sto lat uprzedziło powstanie tych zasad, którym Anglia dziś hippiczne swoje zawdzięcza powodzenie; stado królewskie było jedyną na całym świecie w owe czasy instytucją, której zadaniem był chów czystej krwi arabskiej, bez żadnego jój zmieszania. Do tego stada sprowadzano najczystsze Bedewie pustyni... Żeby stado królewskie dłużej było potrwało na tych zasadach, jakie mu za Zygmunta Augusta czasów służyły, to jest na czystości krwi wśród najdzielniejszych wybieranej indywiduów, mielibyśmy niezawodnie najstalszą i najdzielniejszą w świecie koni rasę... żeby choć wiek jeden przetrwały, niezawodnie wówczas wszystkie kłęski, które Polskę dotknęły, nie byłyby w stanie z Polskiej zetrzeć konia polskiego ziemi. Dziś zaś po minionych tryumfach złotój wolności szlacheckiej, została jakaś tradycyjna aureola sławy konia polskiego, on zaś sam przeszedł w poczet mitycznych jestestw, o których rozgłos po świecie pozostał, *lecz których postaci wcale nie widać*“ (!?). Zygmunt August miał tak lubić swe konie, że rzadko komu w darze ofiarował z Knyszyńskiego stada koni, pomimo że stado to było liczne, w 1560 r. bowiem zawierało 2000 głów a 1565 r. 3000. Jeszcze za życia Zygmunta Starego, podług świadectw kanonika Górskiego, w stajniach królewicza na Litwie było górą 3500 koni. Lecz nie tylko królowie konie hodowali, gdyż począwszy od zagrodowego do najmożniejszego szlachcica, każdy w mniejszym lub większym stopniu zajmował się ich hodowlą. O dzisiaj istniejących stadach także autor wspomina, lecz szkoda, iż wielu stad tylko właścicieli nazwiska podaje, nie wymieniając miejscowości, gdzie mieszkają i kierunku w jakim stado swe chowają. Przeszłość wybitniejszych stad jak: Kurdwanowskich, Sanguszków, Branickich, Grocholskich, Poniatowskich, również początki ich powstania i stan ich obecny opisany przez autora dokładnie. Szczególnie zachwalone są stada książąt Sanguszków w Zaslaviu i Stawucie, gdzie czysta krew wschodnia przeważa, i Branickich w Białocerkwi na Ukrainie, gdzie w ostatnich czasach wschodnią krew z angielską mieszają.

W ustępie o nowoczesnych dążnościach w hodowli u nas koni, autor podnosi ważność wyścigów, zachwala stado rządowe koni w Janowie, jego zasady i pod niebiosa wynosi zalety krwi angielskiej. I tak mówi o zasadach angielskich u nas: „nowa nauka przebijają w Polsce z trudnością, ciężąc nad krajem ciemności przesądów i apaty. Są już jednak między nami tacy, którzy oddali pokłon nowego światła jutrzeńce. Miejmy nadzieję, że pomimo przeszkód, wszyscy niebawem przekonają się u nas dadzą o konieczności reformy w zasadach chowu i bez wstępu przejmą się zasadami, które przez najświetlejsze narody uznane zostały za konieczne.“ Czy jednak z tego zachwalonego przez

autora naśladownictwa Anglii, rzeczywiście korzyść kraj nasz odnosi, wątpić mi należy; czy ów koń, którego dzisiejszym sportsmanom się zachciewa, rzeczywiście zastąpi nam konia do potrzeb naszych tak rozmaitych odpowiedniego, trudno jest przypuszczać. Co zaś do zasad w stadzie Janowskim praktykowanych, to właśnie od kilku lat (mniej więcej od 1867 r.) nie są takimi, jakimi je mieć chce autor. Od kilku już lat nie sprowadzono ani jednego angielskiego reproduktora, ani jednego téż konia ze stada Janowskiego nie widziano na żadnym turfie. Pochwały więc te jeżeli się stada należą, to chyba za przeszłą jego działalność, za czas, kiedy rzeczywiście Janowskiego stada ogiery na turfie warszawskim puhary odbierały.

W dalszym ciągu historii polskiego konia autor zestawia statystyczne cyfry, z których się dowiadujemy, że Polska za czasów Zygmunta III posiadała około czterech milionów koni, czyli po jednym koniu na pięciu mieszkańców, w roku zaś 1863 rachowano wprowadzić tylko na obszarze królestwa Polskiego kongresowego koni 612.530 czyli po jednym koniu na ośmiu mieszkańców. Jakaż ogromna różnica! Dalej autor wskazuje miejsca głównego ruchu handlowego końmi w dawnej Polsce, mówi o cenach na takowe, opowiada o koniuszych, masztalerzach na dworach polskich panów; przytacza rozmaite zwyczaje jak np. udarowywania się końmi nawzajem przez panów; opisuje nam konia uczestnikiem w rozmaitych uroczystościach i obrzędach, poselstw, łowów, wjen i t. p. a część ta dla każdego Polaka jest tak interesującą i ważną, tak pouczającą o duchu narodu, o jego świetnej przeszłości i znamienitym rycerstwie, iż jedynym w tym rodzaju jest utworem. Rycerz polski w koniu znajdował swoje uzupełnienie, bez konia znika wszelkie o nim pojęcie. Mówiąc więc o koniu autor, musiał historię naszego narodu opisywać, jego sposób wojowania i t. p. Z położenia geograficznego naszego kraju, wypadało mieszkańcom jego niemal bez przerwy odpierać od Wschodu i Południa konnych najezdców; przez co i naród z potrzeby przyrósł do konia, a trudy wojenne i harce bojowe były próbą siły i rącości polskich koni. Wojna zastępowała wyścigi, a zarazem była szkołą tak dla jeźdźcy jak dla konia. Gdybyśmy mieli historię naszego narodu w taki sposób opisaną, w jaki mamy historię naszego konia w tej części podaną, byłaby ona drugim w tym rodzaju dziełem. Na tej zasłużonej pochwałę zakończymy historię polskiego konia, a przejdziemy do tomu III dzieła.

Tom ten jest najkrótszym ze wszystkich i obejmuje głównie historię konia w cesarstwie Rossyjskiem, poprzedzoną ustępem o koniu angielskim nowszych czasów, o hippicznych dzisiejszej Anglii zwyczajach, a ustęp ten jest jasno, pouczająco i zwięźle napisany. Dalej zasługuje na uwagę bardzo pięknie napisany rozdział, traktujący o stanie hippicznym dzisiejszej Francji.

Rozdział ten hr. Czapski następującemi rozpoczyna słowy: „Francya utrzymuje się prawie ciągle w pierwszym rzędzie państw statego ładu Europy, chwilowo tylko tracąc przewagę. Wróźbitą jój katastrof był

upadek koniarskiego przemysłu...“ Jak wielką więc wagę przypisuje autor do konia, z powyższego ustępu łatwo zrozumieć. Dalej historję konia we Francyi autor mniej więcej tak opisuje. „Z końcem panowania Ludwika XIV zaczyna się widoczne słabnięcie hippicznego Francyi znaczenia. Szlachcic wydziedziczony z praw dawniej mu służących opuścił rolę, idąc z konieczności w służbę dworu, a z nim razem konie opuściły dawne marmurowe stajnie, przechodząc powoli w posiadanie zagrodników. Nędza strawiła zapasy żywności, ciemnota zaczęła kierować krzyżowaniem ras.“ Ostatni cios jednakże zadała koniowi we Francyi wszechwładna moda. „Poszukiwano koni garbonosych (busqués), koni téj lub owéj maści, koni z pewnemi odmianami, a nade wszystko takich które się odznaczały spasością i tłuszczem“ (30 str. III). Szczególnie za Ludwika Filipa koń taki okrągły i lśniący od słońca, bez energii i rączności, byle wolny od zewnętrznych, od widocznych przywar, był ideałem wśród mieszczańskieję Francyi. Kraj więc ten, który dawniej dostarczał koni nie tylko na własne potrzeby, lecz nawet do maneżów Hiszpanii, Włoch, Anglii etc. od 1700 r. ciągle musiał się ratować sprowadzaniem z zagranicy koni.

Długo stan taki trwał we Francyi z małemi odmianami. System jazdy maneżowéj degenerował rassy francuzkie, pomimo iż Napoleon I przywróceniem świetnego dworu i staraniami szczególnie około podniesienia handlu i przemysłu, nie mało się przyczynił do podniesienia hodowli koni w kraju, tak iż pomimo ciągłych wojen i z nich wypływających rekwizycyi, jakie za tego monarchy miały miejsce, przemysł koński niezgorsze jeszcze przedstawiał w tych czasach szanse. „Napoleon sam jeździł na koniach francuzkich lub wschodnich, a wojsko znało również dobrze białego bojowego konia cesarza, jak jego kapotę szaraczkową, jaśniejącą zawsze w obłokach dymu po stronie zwycięztwa.“ Za restauracyi, która różczkę oliwną pokoju przyniosła, znów wolność handlu przeszkadzała hippicznemu rozwojowi Francyi. Anglia, Niemcy zalewały Francją swojemi końmi, a Francuzi z zaślepieniem rzucili się na konie tych krajów. Protegowano wyścigi, upadły maneże, a spodziewano się, że wyścigi same zaradzą złemu. Sądzono, że ponieważ Anglia nie ma maneżów, to i Francja bez nich obejść się może. Sztuka jazdy konnéj zupełnie upadła. Jakby na odwrócenie złych skutków z tych klęsk, nauka teoretyczna konia wyrabiać zaczęła we Francyi zdrowsze o koniu, jego kształcie i chowie pojęcia. Usiłowania administracyi stad, a mianowicie pana Dillmer, dawniej oficera kawalerji i znamienitego autora, w 1833 r. inspektora generalnego stad, a później zaś dyrektora stad i rolnictwa, silnie wpłynęły na ożywienie ruchu w tym przedmiocie. W skutek tego wychowawce stad stanęły na hippodromie, a piérwsze ich ukazanie się uwieńczone było palmą zwycięztwa. W tymże roku amatorowie i hodowcy koni założyli w Paryżu towarzystwo zachęty ulepszenia rass, znane pod nazwiskiem Jockey-Klubu. Od tego czasu z każdym rokiem wyścigi coraz bardziej się upowszechniają, a do biegów kłusowych łączą się wszędzie kursa wielkieję rączności. Rok 1848 wstrząsł

znowu przemysłem końskim we Francyi, lecz mądre rozporządzenia Napoleona III znowu pomyslną erę dla hippiki francuzkiej wróżyć zaczęły.

Autor rodzinę koni francuzkich dzieli na dwa wielkie plemiona: *połnocne* czyli armorykańskie o masywnych kształtach i atletycznych ruchach, i *południowe* „o łbie szerokim, o obszernych nozdrzach, ogniomizionących, o arystokratyczném kopycie, o jedwabistym włosie i ściągniętej nodze. Pierwsze w okolicach wilgotnych nad brzegami morza, to jest w Pikardyi, Caux, Normandyi północnej, Bretanii etc.; drugie na równinach Tarbes i Limoussin. Pierwsze najczęściej kare, drugie siwe. Dwa te plemiona autor dzieli na poddziały, np. koń ardeński, bretoński, limuzyński, nawarski. korsykański etc.

Kończy rozdział ten statystycznymi cyframi odnoszącemi się do spraw hippicznych Francyi w dzisiejszych czasach.

Hippika cesarstwa Rossyjskiego resztę tego tomu zajmuje, a przyznać trzeba, iż urozmaiconą jest bardzo i zarazem uczy i pobudza do myślenia. Po zrzuceniu tatarskiego jarzma pod koniec XV stolecia, kniaźstwo moskiewskie powoli zaczyna u siebie urządzać niektóre odnogi gospodarstwa krajowego, a między niemi także hodowlę koni. Za Iwana III powstało Choroszowskie stado rządowe koni pod Moskwą a za nim i bojarowie i monastery zarządzali lub ulepszali swoje.

„Monastery i biskupi, których stada od mongolskiego ocalały zniszczenia, wpływając teraz duchowo na wielkich kniaziów sumienia i czyny, mogli się oddawać bezpieczniej, niż pod strażą chańskiego jarłyku korzystnemu przemysłowi hodowli koni. Oswobodzenie klasztornego mienia od wszelkich podatków i udzielenie monasterom nowych posiadłości, przyczyniło się niepomiernie do rozwoju w nich hippicznego przemysłu. Hodowla koni prawem i wpływem duchowieństwa zabezpieczona, lepszą była w majątkach klasztornych, niżeli w posiadłościach bojarstwa..... Za Jana Groźnego i syna jego Teodora istniały już całe wioski zwane *koniuszennyja slobody*, które Merder za końskie uważa zawody“ (str. 61, III).

Długo jednak jeszcze przemysł hippiczny i hodowla koni przeważnie w rękach Tatarów pozostawały. Co rok z hord tatarskich kupcy przypędzali do Moskwy, Tweru, Rostowa tabuny po 30,000—50,000 głów końskich liczące, z których do 8,000 wybierano do stajen wielkiego kniazia, a reszta sprzedawała się prywatnym osobom w cenie od 5—15 rs. za sztukę. Autor to mnóstwo koni, jakie na „niezmierzonych obszarach między Araxem i Oceanem północnym, między Dnieprem i Amurem“ się znajduje, na dwie główne rassy dzieli.

Jedną, która wschodnią i południową część Rossyi zamieszkuje, nazywa tatarską, drugą na północy będącą, fińską. Obiedwie rozpadają się na wielką liczbę rodzin, a zbękarciate te w środkowych, ludnych i rolniczych częściach Rossyi zamieszkałe rodziny tych obydwóch rass, tworzą *konia włosciańskiego*; rozmaite zaś rassy świata

pokrzyżowane i pomieszane w dobrach i stadach szlacheckich wytworzyły *konia zawodzkiego*.

Rasę koni tatarskich dzieli autor na 11 następujących szczepów: 1) na południu karabachski i 2) czerkieski, na wschód-północ od Kaukazu 3) kaukazki, 4) baszkirski, 5) kirgizki, 6) altajski, 7) sybirski, nareszcie w zachodnio-północnej stronie od tego gór łańcucha 8) krymski, 9) duński, 10) małorossyjski i 11) ukraiński.

Fińska rassa podług autora dzieli się na 6 szczepów: 1) finlandzki, 2) estońsko-finlandzki, 3) żmudzki, 4) niezeński, 5) wiatski i 6) obroński.

Włociańskie konie Rossey są to mniej więcej zdegenerowane okazy jednego z powyższych szczepów; jeden tu wyjątek stanowi Bitiuk, który do zdegenerowanych koni liczyć się żadną miarą nie może.

Zawodzkie konie, które jakśmy wyżej powiedzieli, są zlewkiem wszystkich rass świata, raz więcej, drugi mniej są ustalone, a ztąd i nazwiska ich nie mogą być stałe, od pochodzenia zależne, lecz od celu dla którego się hodują. Ztąd też mamy konie wierzchowe i uprężne, a wśród nich konie orłowskie jedyny stanowią wyjątek; gdyż rzeczywiście zupełnie ustalone dwie rassy stanowią, z których jedna jest rassa wierzchowców, a druga zaprzęgowych rysaków.

Prześliczne są ustępy o karabachskim i czerkieskim koniu, a tém godniejsze polecenia, że my mając tak łatwą sposobność ich nabycia, w porównaniu z innymi w Europie ludami, małośmy dotąd na konie te uwagi zwracali. Ustępy o innych koniach mniejszą już dla nas mają wartość, choć z taką samą dokładnością i precyzją oddał je autor, jak poprzednie. Szczególnie godzien uwagi ustęp o zawodzkim koniu.

W stadach zamożnej i oświeconej szlachty rossyjskiej już oddawna poprawiano kształty i wzrost produktów przez staranną hodowlę, której zasady powoli z zachodu po Rossey się rozchodziły. Lecz silniejszy ruch w tym kierunku rozpoczął się w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia, dając początek nowej dobie w chowie koni w Rossey. Aleksy hr. Orłów Czesmeński największą w tym względzie położył zasługę. Jego przykład podniecił innych do naśladownictwa. Brat Aleksiego hr. Jan umierając zostawił stado, w którym krew rysaków i wierzchowców Orłowskich płynęła, a które rozprzedane pomiędzy szlachtę, przyczyniło się do rozpowszechnienia tych przednich produktów doborowego chowu po całym Cesarstwie. Głównie z ostatniej okoliczności skorzystała Symbirska gubernia, w której licytacya miała miejsce, a mianowicie sioło Wozniesienskoje, w Stawropolskim powiecie.

Aleksy hr. Orłów Czesmeński wielki miłośnik i genialny hodowca koni, późniejszy twórca Chrenowskiego stada w Woroneżskiej gubernii, posiadał stare rodzinne stado w wiosce Ostrowie pod Moskwą. O stadzie tém mało mamy wiadomości, niepodobna jednak wątpić, aby znamienity hodowca jakim później okazał się hr. Aleksy nie miał posiadać w Ostrowskiem stadzie wybornych koni. Hrabia bogaty, na-

miętny miłośnik i wielki znawca posiadał więc przymioty, jakich potrzeba było człowiekowi mającemu zająć w historii konia w Rosyji to zaszczytne miejsce, jakie w Anglii Bakewel, Colling i pierwsi hodowcy follblutów zajęli. On więc nabytkiem do stada swojego 12 ogierów i 9 klaczy arabskich nową epokę nietylko w Ostrowie, ale i w całej Rosyji dla hodowli koni stanowi. Z 12 arabskich ogierów dwa się szczególnie odznaczały wdzięcznymi kształtami i szczególną siłą przelewania własności swych na potomstwo: „Sułtan i Śmietanka.” Pierwszy stał się głową, rodu orłowskich wierzchowców, drugi protoplastą sławnych orłowskich rysaków, rassy, którą Rosyja szczycić się ma prawo. Tę to rassy ojciec Śmietanka zapłacony w Morei 60,000 rub. asygn. rok tylko służył jako rozplodnik i zostawił po sobie oprócz jednej klaczy 4-ch ogierów, z których dwa dla stada pożytku nie przyniosły, gdyż „Lubiny” dzieci nie miała a „Bowka” sprzedany do Anglii; dwa pozostałe Felkersam i Pałkan, obydwa siwe, pierwszy z angielskiej, drugi z duńskiej klaczy pochodzące, liczne zostawili potomstwo. Pałkan mianowicie spłodził z burą holenderską klaczą sławnego wzrostem, lecz i proporcjonalnością budowy a przytém silnego i lekkiego ogiera, którego „Sieryj Bars” nazwano. Bars odznaczał się doskonałym rysem a przez 17 lat służąc jako rozplodnik, pokrywając blisko spokrewnione z sobą klacze, śmiało za rzeczywistego protoplastę orłowskich rysaków uchodzić może. Przyczyn doskonałości tych koni, mówi autor, nie tyle szukać należy „w tajemnicach krzyżowania, ile w doskonałości dresury i w bezwyjątkowém jój udzielaniu wszystkim matkom rodu.” Przeciwnie zdaniu autora twierdzi p. S. Schwarznecker ¹⁾, królewski pruski inspektor stada koni w Wiekratha, ja temu ostatniemu przyznać muszę słuszność. Po śmierci hr. Orłowa zarządzał Szyszkin tęp stadem i sprowadził doń kilka holenderskich klaczy, dla swojego jednak stada, które założył, umiał dobre wybrać matki z czystej rysackiej rassy.

Od 1802 r. powstaje stado koni wierzchowych hr. Roztopczyzna. Cztery oryginalne araby stają się ojcami rodu. Obadwa stada rywalizują o lepsze, obadwa uderzają zasłużonóm powodzeniem, obadwa tęp rozbudzają ogólne zajęcie się chowem konia, a w 1845 r. obadwa przechodzą na własność rządu. Od téj chwili jak grzyby po deszczu pojawiają się coraz to nowe stada rysaków. Dziś ośmdziesiąt stad hoduje same rysaki orłowskie, a sześćdziesiąt same wierzchowce orłowskie. Rozbudzone życie w hodowli koni najwięcej uderza w guberniach: Woroneżskiej, Tambowskiej, Symbirskiej i Samarskiej. Czystą krew angielską wylicza autor w sześciu stadach. Napływ koni angielskich do Rosyji, od końca ubiegłego stolecia dwa razy jest liczniejszym niż w całej Europie. Sprowadzono w ciągu tego czasu najszlachetniejsze konie angielskie, płacono za nie bajońskie summy. Zwycięzców Derby sześciu, Saint-Leger czterech dostało się do Rosyji a za Burbona samego zapłacono 155,000 rsr.

¹⁾ Patrz: Die Pferdesmekt von C. F. Müller und S. Schwarznecker, Berlin 1874, str. 53, II.

Pomimo tych kolosalnych wysiłków Bazylego hr. Zawodowskiego, księcia Repnina, hr. Gudowicza, Szeremietiewa i wielu, wielu innych, małe mają powodzenie konie angielskie w Rossyi. „Jeżeli się jednak weźmie w uwagę ilość koni angielskich czystej krwi weszłych do Rossyi, i jeżeli tu sobie przypomniéć ich doskonałość pierwszego rządu, to dziwić się należy, jak mało te konie zastawiły po sobie śladów i jak czasami najszlunniejsze Anglii ogiery na szerokiej ruskiej ziemi, żadnego powodzenia jako stadniki nie miały. Znamienity Burbon, syn Sorsera, sława i ozdoba Wielkiej Brytanii, zdobywca w Newmarket i w Eshot..... ten tylekroć sławiony Burbon, nie osobiwego nie sprodukował w Rossyi. Były po nim dwa nieszczęśliwe ciekuny *Alktona* i *młody Burbon*, które zawsze dystansowano.... (str. 229, III).

Zkądżeż to pochodzi, że konie angielskie w téjże samej Rossyi zawód spotyka, gdzie orłowskie tak szczęśliwą idą ręką? Zkąd? pyta autor i sam na pytanie odpowiedzieć nie umie. Utrzymuje, „że ich od dzieciństwa na atletoch nie kierowano.” Że powodem do tego „brak wychowania rozwijającego i potęgującego siły matek.... Zaniedbana przez kilka pokoleń edukacja zagrzebywała w Rossyi nabyte za morzem czystej krwi przymioty” (str. 230, III). Lecz dlaczegoż tu zaniedbanie, tam staranność? Oto dlatego, że angielski koń nie odpowiada potrzebom miejscowym, kiedy orłowski jest wynikiem genialnego umysłu rossyjskiego hodowcy, który znał dobrze kraj i naród, jego zwyczaje, zamiłowanie i potrzeby. Koń orłowski jest w Rossyi stworzony i dla niej przeznaczony, którego cel chowu każdy krajowiec zrozumie, angielski zaś cackiem zbyt kowném, dobrém na krótki czas do zabawy a niepraktyczném do użytku w Rossyi.

Autor zapalony sportsman, broni sławy angielskiego konia, gdzie tylko może, proteguje go więcéj, niżeliby to czystej krwi syn Albionu czynił. Nie dziw więc, że i tutaj brak wyścigów za przyczynę niepowodzenia się koniom angielskim w Rossyi uznaje. A przyzna mi każdy, iż szanowny autor błądzi w tém bezwzględném w ciągu całego dzieła zalecaniu wyścigów, bez których nigdzie powodzenia nie widzi, gdyż jak już wyżej powiedzieliśmy, wyścigi w Anglii muszą mieć inne, niż u nas znaczenie. Sprowadziwszy nawet najlepszego angielskiego wyścigowca, nie sprowadzimy z nim razem do kraju potrzeb angielskich, angielskich stosunków, a bez tych czyż wyścigi mogą mieć toż samo znaczenie u nas, co w Anglii? Nie przeczę, iż uczyć się od anglików zasad hodowli powinniśmy, od nich tę praktyczność i zamiłowanie pracy, tę wytrwałość w osiągnięciu raz wytkniętego celu w hodowli weźmy, lecz zawsze pamiętajmy że u nas hodowla inne zupełnie ma cele, niż w Anglii.

Kończę ten przegląd dzieła, które chlubę naszej literaturze przynosi, kończę niestety z sercem żalem przepełnioném, gdyż w téj właśnie chwili dowiaduję się o śmierci szanownego autora. Rozpoczynając te kilka słów miałem nadzieję, że dojdą one do wiadomości jego, że może na nie odpowiedzieć zechce, przez coby nas znów pewno

nie jednego nauczył, jak uczył i objaśniał w każdej swęj pracy, którą czytać miałem sposobność. Dziś może kto inny miejsce jego zastąpi.

Przy tęg sposobności niech wolno mi będzie prócz zalet dzieła podnieść i wartość jego wydawniczą, wydanie bowiem tak ozdobne i staranne zasługuje również na uznanie; szkoda tylko że szanowny wydawca tak długo czekać każe na niezbędnę do dzieła atlas. Słyszeliśmy wszakże, iż ten w nie długim czasie w handlu księgarskim się okaże, a wydanie jego niemniej ma być ozdobne, jak i samo dzieło.

Dr. Zygmunt Rościszewski

z Żabikowa.

Ajas. Tragedya Sofoklesa, przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875.

Nie bez znaczenia jest, objawiający się w poezyi od lat kilkudziesiętu zwrot ku starożytności rzymskiej, a przede wszystkim greckiej.

Zwrot ten dostrzeżliśmy w literaturze niemieckiej, angielskiej a obecnie i w literaturze naszej. Wielostronną i prawdziwie mozolną pracę, jakiej wymagają studia klasyczne, śmiało uważałyby można za marnotrawstwo umysłowe, gdyby z niej miał urodzić się „ridiculus“ t. j. wracający po raz czwarty: farbowany klasycyzm. Ale zdaniem naszym tak nie jest. Poeci nasi nie po to sięgają w ów świat skryształizowany, aby wyprótemi z niego nitkami zabarwiać typy nowocześnie, jak to było w zwyczaju w wiekach humanizmu, za Ludwika XIV, lub w XVIII stóleciu.

Bynajmniej... w obecném skierowaniu pewnej części sił artystycznych ku starożytności, zadaniem jest: odszukanie w niej pierwiastku *dzisiejszego*.

Tym zaś pierwiastkiem jest wygłaszane obecnie i popierane niekłamane stanowisko powszechnie ludzkie, prawda, piękność i dobro, w takim duchu kształtujące się i pielęgnowane. Dumna wyłączość Greków, zaprzeczanie wszystkiego dokoła po za sobą, streszczone fatalnie w wyrazie „barbarzyńca“, te wadliwe znamiona, rzadko kiedy kaziły ich filozofią, a jeszcze rzadziej ich sztukę. W sztuce i filozofii spotykamy się tam z *człowiekiem* — normą. Rzymianie mniej teoretyczni w myśleniu, mniej twórczy w sztuce, ideję *człowieka* przeprowadzali w dziedzinie praktycznej, wypracowali obywatelskość.

Oto jest główna treść, której poszukują współcześni poeci i dająmy: poszukiwać powinni, w świecie klasycznym. Im wydatniej w ich obrazach, z pod wyjątkowych form, przesądów i dziwactw starożytności wydzieli się postać *człowieka*, tęg godniej wywiążą się z zadania, tęg wymowniej usprawiedliwią swój kierunek, mający pozory wsteczności. Będzie tu w swoim rodzaju *oddziaływanie* na starożytność, za tylokrotne jęg wpływy na cywilizacyę i sztukę ludów nowożytnych.

W ścisłym stosunku z dziełami utworzonymi na tle ducha starożytności, zostają przekłady jej pomników piśmienniczych. Po Homerze, który zdumiewa ogromem planu i obrazowaniem powszechnie ludzkiego typu Grecyi, Sofokles jest bez wątpienia wielkością pierwszego rzędu. W jego trajedyach bohaterowie, nawpół już otrząśnięci z mitu, w *działaniach i słowach* przeprowadzają to, co duch helłeński miał w sobie normalnie ludzkiego. Sofokles w tém rozumieniu jest może najważniejszą postacią. Przekłady Sofoklesa, dokonane wzorowo przez współczesnych nam mistrzów słowa, pomnożone zostały pracą p. Z. Węclewskiego.

Zasługi literackie p. Węclewskiego znanymi są powszechnie. Należy on do rzędu pracowników, obeznanych wszechstronnie z duchem i formą literatury starożytniej.

We wstępie tłumacz podaje mit zasadniczy o Ajaksie, o jego rozpacz, z powodu, że nie otrzymał zbroi po Achillesie, o szaleństwo i czynach, które spełnione w szaleństwie w obec Greków i we własnych oczach okryły go zniewagą, o samobójstwie Ajaksa. Dalej tłumacz przedstawia rozkład i rozwinięcie przedmiotu, jest to wstęp zapoznawający z zewnętrznym układem dramatu greckiego. W końcu mamy ogólny przegląd charakterów: Ajaksa, Odyseusza, Tekmesy.

Szczególne objaśnienia do dramatu (od str. 69—84) są również pouczającemi. Żałujemy szczerze, iż p. W. w objaśnieniach, lub na wstępie pominął najżywotniejszy nerw dramatu greckiego: fatum, że go zastąpił wskazaniem mechanicznej interwencji bogini Aleny. I jeżeli kiedyś p. W. pomyśli o dalszych pracach w tym kierunku, albo wreszcie o nowém wydaniu Ajasa, zamawiamy sobie to dopełnienie. Podług naszego zdania, będzie to nawet więcej, jak liczebny przyczynek. Filozoficzne uzasadnienie pojęcia „Fatum”, jest prawdziwym kluczem tajemnicy, ile razy idzie o zetknięcie się człowieka starożytnego, jako jednostki, z obiektywném jej otoczeniem.

Więc też równocześnie z upadkiem tego pojęcia, wpływ bogów na rzeczy ludzkie wygląda jako śmieszna intryga koteryi olimpijskich, nie zaś (jak było pierwotnie), jako poważne, religijnością popierane, przekonanie, o zawisłości wszelkiej jednostki, (nie wyłączając i bogów) od jakiejś niepojętej, bezwzględnej, a nieosobistej wszechwładzy. Kiedy pierwotny panteizm, w najrozmaitszych odcieniach, począł się stopniowo rozwiązywać na religią osobową, kiedy, mówiąc słowami Herodota, zaczęto bogom rozdawać imiona; wtedy, jako ostatnia pamiątka po panteizmie, pozostało jeszcze fatum. Innym sposobem niepodobna sobie wytłumaczyć sprężyny tak sztywniej, i tak oderwaniej w zakresie ducha greckiego, który jest nawskroś konkretnym, pogodnym i przezroczym.

Co do wierności, przekład p. W. służyć może za wzór i zastąpić sam pierwotwór pod względem filologicznym. Nie powiemy, aby ta ścisłość archeologa nie krępowała w wielu razach ręki artysty; ale przyznać trzeba, że trudność leży tu w samej naturze języka i skła-

dni greckiej; gdzie w inny zupełnie sposób dusza mowy zrośniętą jest z ciałem, aniżeli w językach nowożytnych. W naszym języku, jeżeli przekład poety greckiego ma być artystycznie prawdziwym, należy sięgać nie po pierwiastek wyrazu, lecz po pierwiastek myśli pierwotnego.

Uganiając się za wyrazową tożsamością, mieszamy mnóstwo części i foremek greckich, których organicznej potrzeby nasz język nie uznaje. I tak w najpierwszej scenie, Atena mówi do Odysseusa, który jeszcze w *Iljadzie* dał się poznać z chytrości, przypominającej spryt myśliwca dybiącego na zwierzę.

„Zawsze Laerta synu, widzę cię, jak wrogów praktyką jaką chytrą myślisz upolować.“ Wyraz „jaką“ jest poprostu mechanicznym zastąpieniem gr. *tis*, które tu odnieść możemy do grupy przedimkowej. Nasz język przecież nie jest przedimkowym. Romańskie np. albo germańskie: *jeden* może i da się usprawiedliwić naturą języka tych plemion; ale u nas ono niepotrzebnym współczynnikiem wyrazu.

„Praktyką upolować“ przypomina tu greckie *peiran harpasai*, ale przypomina ją tylko wyrazowo, nie pojęciowo. „Praktyka, wyraz na poezję zanadto oderwany, dałby się zastąpić pierwszym lepszym dźwiękiem z terminologii łowczej, tak bogatej w naszym języku.

Przeciwnie, gdzie tłumacz wpatrywał się raczej w rdzeń myśli, niż w krój wyrazowy, tam czujemy Sofoklesa, przemawiającego dźwiękami polskimi.

I tak (w. 51), Atena mówi do ulubionego Odysseusa, że zesłała obłąd na Ajasa:

„Ja snując przed oczyma obrazy kłamliwe, ujęłam w kręgi żądę okrutną.“ Wyrażenie energiczne i *pojęciowo ściśle*. I dobrze się stało, że tłumacz wyminął grecki pierwiastek *ballo* (rzucam na oczy), bo „snucie kłamliwych obrazów“ przed oczyma szalonego, dobitnie maluje wyobrażenie starożytnych, podług których bogowie, dla wprowadzenia człowieka w stan szaleństwa rozsnuwali obłok przed oczyma ofiary, skazanę na obłąd, tak aby świat przedstawiał im się w świetle fałszywym¹⁾.

Wiersz w przekładzie p. W. w wielu miejscach płynie gładko, działają liryczne oddane są rymem wcale udatnym. Tak np. od wiersza 382—393 w antystrofie 2-jej, rzewnie wynurza się ze swoich boleści w obec otaczającej natury. Jest to niejako preludjum „pożegnalnego monologu“ *Dziewicy Orleańskiej*:

„Gaju! i groty nadbrzeżne i strugi,
Szumiących morza fal—długi, ach długi
Czas mię na niwach Ilionu więzicie;
Lecz wkrótce, wkrótce wyzionę już życie...“

¹⁾ G. Wolf Sophocl. Ajas, komentarz do wiersza 51.

Musimy jednak wytknąć szanownemu tłumaczowi przesadzoną przekładnią, wyszłą już dziś z użycia, jako niewłaściwą naszej składni. Usterki podobne dość często napotykamy; i tak:

1321. Grób, wygrzebiecie wy żwawo, głęboki!

1330. Więc ktokolwiek z przytomnych *się chlubi* być druchem
 Ajasowym, niech kwapi się duchem;
 Niechaj czyniąc posługi dzielnemu się trudzi,
Najlepszemu, dopóki żył, z *ludzi*.

300. Tekmesa, opisując upadek ducha w Ajasie, mówi do przewodnika chóru:

Tak nigdy nie słyszałam, ile zapamiętam,
 Dawniej *go* płaczącego, bo mawiał, że ducha
 Słabego człekli szlocha tak, lub niedołęga.“

Szczególniej zaimki słabszej formy szczerbią rytmiczność, że już zamilczę o czysto gramatycznej niewłaściwości ich użycia.

Tak w wierszu 6—10, Atena mówi o Ajasie:

.....Snać o to ci chodzi,
 Aby wiedzieć, czy wyszedł, czy też jest w namiocie.
Węch dobry, by psa z Sparty, *wiedz, prowadzi ciebie*
 Do celu, bo wszedł właśnie mąż, a pot mu z czoła
Się leje....

Język tłumacza jest w ogóle jędrny, zwroty to dosadne, to rzeźwne, to lotne, to poważne, stosownie do tonu sytuacji, pokazują że pan Węclewski wczuł się i wmyślał w autora. Na pewne jednak wyrazy i formy nie pisalibyśmy się, zwłaszcza w poezji. Tak np. pan Węclewski naśladuje szerzącą się u nas, nie wiadomo na jakiej zasadzie modę używania osobowej formy w drugim przypadku liczby mnogiej imion zwierzęcych:

w 278. ...Prowadząc spętane pospołu,
 Buhaje, *psów*, pasterzy i wełniste łupy?

Nie zgadzamy się na wyrazy: „włodarz, szatry, kawać (kapać), użyte przez tłumacza tam, gdzie daną myślą usprawiedliwić nie można wprowadzenia archaizmu, bo archaizm jest postacią stylową, więc bez wydalnej potrzeby posługiwać się nim nie wypada.

Teraz, dla wykazania zalet przekładu przytaczamy z niego dwa ustępy, dołączając obok dla porównania tłumaczenie dosłowne.

Epejzodion drugie.

AJAS. Niestety! któżby kiedyś pomyślał, że imię to (Ajas) tak przypadnie do klęsk moich! a wszakże dziś przystoi mi dwakroć i trzykroć odezwać się krzykiem: aj! Takimto ja nieszczęściom uległem. Ja, którego ojciec, niegdyś zdobywszy sobie najpiękniejszą pal-

mę wojownika, wrócił do domu, unosząc z sobą wszechsławę, ja więc syn owego (męża), który zszedłszy na tę ziemię trojańską, nie mniejsze spełniłem czyny obrońcą prawicą: ja ginę tak zniesławiony w obliczu Argiwów.

Acz, zda mi się, wyrozumiałem, że gdyby żył Achilles i wyrokował o przyznaniu komukolwiek tej zbroi za dzielność, nie ująłby jej nikt inny, prócz mnie samego...

Otóż dziś Achiwowie oddali zbroję człowiekowi nikczemnego ducha....

Tekmesa odwodzi Ajaksa od zamysłu samobójstwa.

Ajaksie, władzco mój, niema większego nieszczęścia dla ludzi nad dolę służebniczą. Jam się urodziła z ojca swobodnego, podobno najbogatszego z Frygijczyków, a teraz niewolnicą jestem, tak się bowiem bogom podobało—i przedewszystkiém z twojej ręki. Ponieważ podzieliłam z tobą łożę, więc jesteś mi na sercu. Błagam cię przeto na Zeusa, ochrońcę ogniska domowego, nie spraw, abym poszła na złośliwe języki twoich wrogów.

Tak piérwszy jak i drugi ustęp poszedł tłumaczowi wcale udatnie.

AJAS. Aj! i któż mógłby przewidywać kiedy,
 Że tak stosowne będzie do mojej niedoli,
 Imię moje? Bo teraz dwa i trzykroć trzeba
 Mi jęczyć: „Aj“ tak wielka biéda mię obsiada.
 Ot ja, którego rodzic ztąd, z idajskiej ziemi,
 Zaszczycony za męztwo palmą najszczytniejszą,
 Do domu wrócił, sławą ze wszechmiar okryty;
 Ja syn owego, com się do Troi wyprawił...
 Przez lud Argeów ginę tak, ze czci wyzuty...

TEKMESA. Ajasié, panie! niema nad jarzmo niewoli,
 Nieszczęścia, coby większy ból sprawiało ludziom;
 Otóż córka wolnego męża z urodzenia,
 Który przechodził wszystkich Frygów zamożnością,
 W niewoli teraz jestem....
To téż zaklinam ciebie na Zeusa ognisko,
 Na łożę twoje, które złączyło mię z tobą,
 Nie dozwól, abym poszła na języki ostre
 Wrogów twoich.

Szczególniej pięknie oddana jest rozpaczliwa troska Tekmesy, kiedy stawia siebie w groźacém położeniu wdowieństwa i niewoli. Miejsce to, w zupełności przypominające głos Andromachy do Hektora, w chwili gdy go żegnała na śmierć niepochybną, tłumacz zrozumiał, uczuł i wypowiedział prawdziwie mową Sofoklesa:

Nie jeden z przyszłych moich panów odezwie z przekąsem:

Przypatrzcie się wdowie
 Po Ajasié, co w wojsku celował dzielnością,

Jakie szczęście, na jaką niedolę zamienia!
Miejże wzgląd na ojca,
 Nie opuszczaj samego w starości zgrzybiałój;
 Miej wzgląd na matkę: tylu lat już uczestnica,
 Częstokroć bogów błaga, abys zdrow powrócił.
 Ty miasto (moje) ojczyste zburzyłeś,
 Matkę, ojca, zabrały mi inne wyroki...
 Jakaż mi więc prócz ciebie zostaje ojczyzna.

Streszczając się ogólnie: przekład Ajasa uważamy za pracę, która pomimo pewnych usterek w kroju zewnętrznym, i przewagi jaką ma w niej naukowość nad sztuką, może zapewnić czytelnikom pożytek a pracownikowi szczerę z ich strony uznanie. F. J.

Pieśni Ossyana, przekład nowy z angielskiego. W Krakowie.
 Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1875, (w 12, str. 723).

Mija lat sto jedenaście, kiedy w roku 1764 Macpherson wydał w przekładzie na język angielski poemata Ossyana, które zebrał z ust ludu w języku galickim. Polem zdarzeń opiewanych jest północna Szkocya, mianowicie *Morwen* z sąsiednimi wyspami, oraz Irlandya i Lochlin, tak zwany półwysep Jutlandyi.

Macpherson jako rodowity Gal, przywiązany do ojczystych wspomnień i pamiątek, troskliwie zgromadzał z nie małą pracą, drogie zabytki poematów Ossyana, syna Fingala króla Morwenu, który jest też głównym bohaterem tych pieśni. Jeżeli imię jego brzmi w nich ciągle, zarazem przechowało się imię *Malwiny*, córki *Toskara*, która była stałą towarzyszką ociemniałego Ossyana, i sędziwemu starcowi czułą opieką i pomocą, ośladzała bolesne kalectwo. Tak w poemacie *Oina-Morul* cały początkowy wstęp, tej dziewicy poświęca; podajemy go w tym *nowym* przekładzie.

„Jak po górzystej *Larmonu* zieleni,
 Niestate słońca światło przelatuje;
 Tak się w méj duszy podczas nocy cieni,
 Pasma czasów dawnych snuje.
 Gdy na spoczynek idzie bardów grono,
 Na ścianach *Selmy* arfy ich zawisną;
 Wtedy się głosy w ucho moje cisną,
 I budzą duszę uśpioną.
 Głosy zapadłych w przeszłości odměcie
 I lat i czynów minionych szeregu;
 O nich powieści chwytam w ich przebiegu,
 I rzucam w pieśni objęcie.

A pieśń co z piersi wypływa królewskiej,
 To nie szum wody, co ciszę przerywa;
 Podobna dźwiękom muzyki niebieskiej,
 Gdy wielostrunna *Luta* się odzywa.
 Nie milczą wtedy skały potoczyste,
 Kiedy strun dotknie biała dłoń *Malwiny*;
 Ty! co oświecisz zamroczone czyny,
 Twoje światło promieniste
 Nawskroś przenika mą duszę ponurą,
 Dziewico Luty! Toskarowo córo,
 Ubiegłe lata chcę zbudzić z uspienia:
 Chciéj mego posłuchać pienia!''

W pieśniach Ossyana widzimy wierny obraz pierwotnych Galów, sposób ich życia, zwyczaje, sposoby wojowania, rodzaj broni i wiele szczegółów, których żaden badacz, przedwiekowych dziejów narodu nie byłby w stanie wydożyć z tak odległej przeszłości, bez pomocy, jaką mu niosą pieśni współczesnego śpiewaka.

Uważać je téż można jako historyczne poemata z drugiej połowy III stulecia naszej ery. Utwory w języku nielicznego narodu Galów, którzy pomimo upływu XV wieków, mimo ucisku obcych rządów, i prawie zupełnego zatarcia śladów dawnych swych obyczajów, zdołał dotąd dochować najdroższy zabytek swój przeszłości, to jest pierwotny język jakim przemawiali praojcowie jego i w jakim sława ich przez bardów głoszona, doszły do naszej wiedzy.

Cóż mamy mówić o ich wartości poetycznej? Zaledwie Macpherson ogłosił pieśni Ossyana w przekładzie angielskim, zaczęto je chciwie tłumaczyć na obce języki w całej Europie: wszędzie wywoływały zachwyt i podziwienie. Przekładali te poemata w okresie Stanisława Augusta *Krasicki* i *Kniaźnin*, o ile się zdaje z francuzkiego tłumaczenia; w czasach księstwa Warszawskiego z angielskiego przetłumaczył większą ich połowę *Konstanty Tymieniecki*, po nim *Kazimierz Brodziński* z niemieckiego; ale całości nie mieliśmy.

Pierwszy dopiero Seweryn Goszczyński, podług Macphersona przetłumaczył prozą wszystkie poemata Ossyana. Wyszły one we Lwowie 1838 r. w zbiorze p. n. „Pisma Seweryna Goszczyńskiego,“ w którym tomy drugi i trzeci zajmują. Ostatnim tłumaczem także z oryginału angielskiego jest *Marya Ilnicka*, której wybór przekład wierszem rymowym drukowała *Biblioteka Warszawska*. W niemieckiej literaturze najlepsze jest tłumaczenie *Rhodego*: przekłady francuzkie mniej mają dokładności.

Pomiędzy pierwszymi wielbicielami pieśni Ossyana był Napoleon Wielki. Wziął on w biblioteczkę obozową, obok Juliusza Cezara, i Ossyana, którego z wielkiem upodobaniem po wielekroć odczytywał. Po chwilach wszakże uwielbienia, przyszła doba zwątpienia. Zaczęto wątpić o autentyczności pieśni Ossyana, i Macphersona obwiniać,

o niegodne podejście, o fałszerstwo. W lat czterdzieści trzy dopiero po śmierci jego wyszły w Londynie 1807 roku, w galickim Ossyana oryginalne, w trzech tomach p. n. „*The poems of Ossian in the original Gaelic.*“¹⁾

Gdyby to wydanie galickie poprzedziło angielski przekład Macphersona, zarzuty te nie miałyby miejsca, i autentyczność poematów Ossyana nie uległaby najmniejszym zarzutom.

W zbiorze o którym mówimy, jest część tylko przełożona utworów Ossyana *Katloda* w trzech pieśniach. (Dowolny przekład z francuzkiego, drukowany w tomie XIV Pamiętnika Warszawskiego z 1819 roku); *Karton* (i ten poemat w wolnym tłumaczeniu drukował Pamiętnik Warszawski w latach 1816 i 1817); *Oina-Morul* i *Kolnadona*.

Tłumacz nie tai trudności, jakie spotkać musiał żeby oddać myśli i wyrażenia galickiego poety z całą wiernością. Trudności te widzimy że szczęśliwie potrafił przewyciężyć, i oddać je wierszem gładkim i potoczystym, jak tego próbkę małą powyżej przywiedliśmy. Wydanie całe składa się ze stu tylko egzemplarzy: wkrótce więc stanie się rzadkością bibliograficzną. R.

Z podróży Oświecima. Turcja—Francya—Niemcy—Włochy. Wydał z rękopismu Klemens Kantecki. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875. (W 12-ce str. XI, 203).

W zbiorze drogocennych rękopismów jaki posiada Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich we Lwowie, niepoślednie miejsce zajmuje pamiętnik *Stanisława z Kunowy Oświecima*, dworzanina Władysława IV, którego imię pozyskało wielki rozgłos w całym kraju, jakoby ku własnej siostrze, przedwcześnie zgasłej Annie, nie braterskim zapłonął uczuciem. Żegota Pauli w dziele swoim: *Starożytności Galicyjskie* (Lwów 1840 r.), na czele podał szczegóły o tój miłośnej parze, dołączając wizerunki w całej postaci, tak Stanisława, jak i Anny. Niebrakło i powieści osnutych na tém podaniu. W czternaście lat dopiero Karol Szajnocha w *Szkicach historycznych*, (Lwów 1854 roku) oparty na pomienionym pamiętniku samego Stanisława Oświecima, rzecz tę krytycznie i należycie wyjaśnił, oznaczając i okres, w której baśń podobna powstać mogła.

Rękopism Oświecima jest księgą nie tylko poważną swoją objętością, lecz i treścią wielkiej wagi. Z nagromadzonych tu wszakże materiałów, korzystano dotąd bardzo mało. Czerpało z niej dwóch

¹⁾ Poemata to z galickiego, dokładnie przełożył na język niemiecki Ahlwardt.

tylko pisarzy, osiadłych we Lwowie, a przez to mogących korzystać łatwiej, jak Szajnocha i Kubala.

Pierwszy znalazł w pomienionym rękopiśmie wiele zasobu, do swoich: „Dwóch lat z dziejów Polski,“ których znaczną część Biblioteka Warszawska drukowała, oraz do szkiców historycznych: „Domna Rozanda, Krzysztof Opaliński, i Anna Oświecimówna.“

Drugi Kubala, czerpał ztąd szczegóły do pięknej rozprawy: o *Kostce Napierskim*.

Pan Klemens Kantecki we wstępie do wydanych *Podróży Oświecima*, mówi o wysokiej wartości jego pamiętnika, dodając, że gdy nie może ogłosić obecnie całego rękopismu, małą zaledwie jego cząstkę podaje.

Przyznajemy otwarcie, że wydana *podróż* nie tak bogaty stanowi przyczynek do wspomnień przeszłości z tamtego okresu, a wskazana część ich przez wydawcę, jako najciekawsza, podróży królowej Maryi Ludwiki z Paryża do Warszawy, już nam oddawna daleko dokładniej jest znaną z *Pamiętników o dawniej polsce* J. U. Niemcewicza.

Nie możemy wszelako zaprzeczyć, że znajdujemy w tém dziele niemało szczegółów, które zawsze są cenne dla historyka. Rozpatrzmy bliżej ten nieznaný dotąd materyał.

Pierwszą część stanowi podróż Oświecima do Turcyi. Władystaw IV wysłał w poselstwie do Stambułu Jerzego Krasińskiego podstolego podolskiego, ażeby upomniawszy się o naruszenie dawnych traktatów, stosunki przyjaźniejsze z Portą Otomańską zawiązał. Stanisław Oświecim towarzyszy mu w tój podróży.

Dnia 16 marca wyrusza orszak poselski. Droga z Kamieńca Podolskiego wiedzie przez *Zwaniec* do Chocimia. Wszystko to miejsca pełne wspomnień historycznych, a Chocim szczególnie wielką walką z całą potęgą Otomańską w roku 1621, którą uwiecznił poematem bohaterским Wacław Potocki. Oświecim widzi jeszcze z owego roku wały i okopy obozowe Jana Karola Chodkiewicza i Lubomirskiego, przypomina téż z rzewnym uczuciem o bojach krwawych które tu stoczono.

Hospodar wołoski *Wasili Lupul* tchnący nienawiścią dla Polski, nie umie jój zataić, i widome daje oznaki jakby z umysłu swojej niechęci. Ostrożnie a zbrojno opuszczają Jassy, gdzie święta Wielkanocne przebyli, ostrzeżeni, że straż honorowa przydana poselstwu polskiemu, gotowa była z poduszczenia hospodara, do napadu i wymordowania wszystkich przy zdarzonej sposobności.

Odetchnęli dopiero swobodnie, kiedy wjechali w gościnną ziemię *Multan*. Przybyli do stolicy *Bakaresztu*. Ponieważ poseł zachorzał, Oświecim w jego miejsce odwiedził hospodara multanńskiego. Gorący wielbiciel Rzeczypospolitej, pragnął sędziwy starzec za jój pomocą, rzucić ohydne jarzmo tureckie, gniojące ludy chrześcijańskie. Oświadczył z zapalem, że chętnieby ofiarował skarby swoje, a ma ich wielkie, na kosztą wyprawy. Mówił więc do Oświecima: że gdyby usłyszał o prze-

chodzącym wojsku polskiem przez Dniestr w tym celu, „zarazbym dla ukontentowania onego postać stotysięcy czerwonych złotych i drugie, a skoroby nad Dunajem stanęło, jużby się panom Polakom nie trzeba o żołd żołnierzowi frasować (o co wiem że im bardziej gra idzie), gdyż-by im ta moja siwa broda (ująwszy się za brodę) płaciła.“

„Jakoż niezawiodłoby się na tém, gdyż niemając potomka żadnego, na nic bardziej nie życzyłby sobie skarbow, które ma niezliczone, obrócić, jak na wyswobodzenie chrześcijan.“

Uderzyła Oświecima postać cała poważna, sędziwa, jak oblicze szlachetne i otwarte, które szczerość i prawdę każdego słowa potwierdzało.

Gdy sam poseł zacnego wojewodę odwiedził, wyruszają do Sylistryi. Tu w drodze Oświecim śledząc pilnie kraj i ludzi zbiera swoje spostrzeżenia i spisuje. Chwali Turków pobożność i gorliwą modlitwę; opisuje meczety, nabożeństwa, łaźnie, mieszkania i stajnie.

Przebywają szczęśliwie Bałkany, i Oświecim kończy swój dziennik w miasteczku *Kuciugciencedzi* o dwie mile od Konstantynopola.

Część druga obejmuje podróż do Niderlandów i Francji w roku 1645. Nasz autor wybrał się dla towarzyszenia orszakowi posłów polskich do Paryża, którzy mieli narzeczoną Maryę Ludwikę królowi Władysławowi IV przywieźć. Zajmującymi są tu opisy (str. 74) wspaniałego wjazdu posłów do Paryża, szczegółowego ubioru każdego ze znacniejszych dworzan, jako też i licznego orszaku, wraz z postami; przyjęcia u królestwa, i u kardynała Mazariniego, ceremonii ślubu, oraz wyjazdu Maryi Ludwiki wraz z panią de Guebriant wdową po marszałku Francji.

Nadszedł styczeń 1646 roku przeznaczony do wyjazdu, a zima była mroźna. Król Władysław IV, przez koniuszego swego nadesłał karety i futra: „alec (dodaje Oświecim) miasto pociechy, nie małego żalu królowej JMci, były te suknie przyczyną, dla niedozoru tych, którzy te suknie wyprawowali, z téj okazji. Mało co przed śmiercią królowej świętej pamięci (Cecylii Renaty pierwszej małżonki Władysława IV) porobione były te szaty w Litwie dla dam i fraucymeru dworskiego, na których dla znaku lepszego, poprzyszywane były kartki, która szata, której damie należała. Lecz gdy królowa umarła, szaty te zostały w skarbie, które gdy na tę okazję posłano, na szacie królowej JMci naznaczonej, nie odpruto kartki z imieniem panny *Ekienberg*, o której królowa JMci z cudzej, lubo podobno płonnéj wiedząc dawno powieści, żeby miała mieć prywatne z królem porozumienia, a szatę jej sobie naznaczoną widząc, w niemały ztąd wpadła żal, rozumiejąc to być sobie na obelgę uczynione, albo też onę sobie być zrównaną: lubo to potem różnemi wybijano królowej JMci racyami, od téj odwołując ją imaginacyi.“ Wspaniałe spotkało ją przyjęcie w Gdańsku, ale cały przepych i radość z jakim została przez mieszkańców tego grodu podejmowaną, zatruta była nadbiegającymi wieściami to o słabym zdrowiu króla Władysława, to nawet o jego śmierci. Truła się tą

myśla, że zostanie pozbawioną tronu i panowania, a nie miała po co wracać do Francji, gdzie ją nienawidząc stryj królewski książę Orleanu, zarówno jak wiele rodów najbliższych dworu, radzi byli odjazdu jej do Polski. Przyspieszano rychły wyjazd do Warszawy, gdy pociesniejsza wiadomość nadeszła o polepszonym stanie króla.

Równie okazałe czekało przyjęcie królowej w murach jej stolicy, ale zarazem wcale nie wesołe. Władysław IV pedogrą dręczony witał ją w krześle niesiony w katedralnym kościele św. Jana i nie tań przykrego zawodu jakiego doznał, gdy w nowej małżonce nie znalazł ani piękności, ani powabu o których go uprzedzono i jak ją przedstawiały miniatury nadsyłane z Paryża. Dotknęło to boleśnie Maryę Ludwikę, widząc że król stracił do niej serce. Na dworze przypisywano tę oziębłość to czarom, to nawykniom do kobiet więcej zbliżonych w czasie jego wdowieństwa.

Władysław był smutny i ponury w dzień potwierdzenia swego ślubu u Fary. Nazajutrz król niemniejszą okazał *melancholię*, z powodu snu jaki miał z soboty na niedzielę.

„Śniło mu się (pisze Oświecim) jakoby list pewny czytając przez okulary, spadły mu okulary z nosa, a za niemi lewe oko wypłynęło; czém bardzo poturbowany, obawiając się aby to wypłynienie lewego oka, nie było znakiem śmierci królowej JMci, albo syna jedynego, albo jakiej inszej znacznej szkody. Wybijali tę melancholiczną *apprehensyę* królowi JMci panowie senatorowie różni, z powinniemi tego aktu *gratulacyami* przychodzący, niepewność takowych snów i wiarę w nie ganiąc, a dobrą myśl przy tak wesołym akcie perswadując, której jednak wmówić w niego nie mogli, bo i nabożeństwo kościelne i bankiet publiczny nie wesoło odprawił i cały ten dzień i insze po nim następujące, w niezwycajnój, pierwój wesoły zawsze pan, trawił melancholii.“

Sen ten wszelako w części się wyśnił, bo teje nocy umarł Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, jeden z najświetniejszych tego okresu wodzów, który godnie piastował Buławę po Zamoyskim, Żółkiewskim i Chodkiewiczu.

Oświecim wyjeżdża na jego pogrzeb, który się odbył ze zwykłą okazałością tego rodzaju obchodu.

Po skończeniu nabożeństwa i składaniu do grobu ciała, gdy znak hetmański kruszyć miano w kościele podług dawnego zwyczaju, wjechał konno w pełnej zbroi, Bartłomiej Brodnicki, który ten znak niósł; gdy rumak zestraszony czy tłumem zebranych, czy mnóstwem światła, wzięwszy na kieł, jezdca swego tak uniósł, że i drzewce przed czasem złamał o belkę i sam mało z siodła nie wypadł, aż go szczęśliwie pohamowano, nabawiwszy zgromadzonych w kościele niemałego przestachu.

Oświecim wraca do Krakowa, gdzie jest obecnym koronacyi Maryi Ludwiki. W lutym 1650 r. wybiera się w podróż do Włoch. Po drodze umyślnie wstępuje do wsi Ossie, gdzie opactwo św. Benedykta. Tu opisuje szczegółowo grobowiec Bolesława Śmiałego, który w tym

klasztorze pokutował i tu zakończył życie. Podaje zarazem napisy jakie znalazł zachowane. Krytyka już dawno wyjaśniła, że napisy te były położone daleko później po śmierci Bolesława Śmiałego i żadnego poważnego świadectwa dawać nie mogą. Przybywa wreszcie do Wenecyi i na tém zamyka ostatni swój dziennik podróży.

Z tego przeglądu *podróży* Oświęcima, widzimy jak ta część rękopismu jego, który się przechował w Zakładzie Narodowym Imienia Ossolińskich we Lwowie, drobnym jest przyczynkiem dla wspomnień przeszłości; pożądać tém więcej możemy, ażeby cały pamiętnik Stanisława Oświęcima został jak najrychlej ogłoszony drukiem, przekonani o jego ważności dla dziejów, wiedząc ile Szajnosze był pomocnym w jego szkicach i ostatniem dziele. I ta część wówczas będzie wyższej ceny, bo zaokrągli nam całość rękopismu, dla ogółu dotychczas nieprzystępnego.

Wydanie staranne, po wstępie są podane przypiski i poprawki objaśniające, a pod tekstem tłumaczenie wyrażen i wyrazów łacińskich, któremi często Oświęcim przeplata swoją opowieść. W.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1875.—Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły: *Skarb Watażki*, powieść z końca XVIII wieku, przez Władysława Łozińskiego. *Sumienny Konkurent* studjum karnawałowe przez Jana Zacharyasiewicza. *Roboty i Prace. Sceny i charaktery współczesne*, przez J. I. Kraszewskiego.

— Nakładem nowej firmy księgarskiej *Stoppelle i Stan* wyszła powieść przez Z. K. p. n. *Zwycięstwo Heleny* i przekład z niemieckiego, powieści Konrada Bolandena: „Nieomylni.“ Księgarnia pomieniona zaczyna druk dzieła: *Monografie historyczno genealogiczne rodzin polskich*, przez Stanisława hr. Kossakowskiego, w których brał udział znany heraldyk Julian Błeszczyński, i wydaje w czterech tomach w poprawnej i powiększonej edycji.

— Nakładem J. Ungra wydane zostały *Przygody panów Mar-ka i Agapita* podczas wystawy rolniczej w Warszawie. Opisał Jordad autor „Wędrowek delegata.“ Dwie części w jednym tomie. (Warszawa w 12-ce, 1875).

— Nakładem i drukiem S. Lewentala wyszła powieść *Córka Mo-rza*, przez Michała Jezierskiego, (w 8-ce str. 153).

— Redakcyja *Niwy*, jako odbitkę ze swego pisma oddzielnie wydała Nowellę Fryderyka Spielhagena p. n. *Ultimo*, w przekładzie Aleksandry Callier, (w 8-ce 1875 r. str. 91).

— W Lublinie z drukarni rządu gubernialnego, wyszło: *Roczne posiedzenie Towarzystwa Lekarzy gubernii Lubelskiej, 5 lipca 1875 roku. Rok pierwszy*, z godłem: *viribus unitis*, (w 4-ce str. 10). Daje dokładny obraz prac dokonanych i zamierzonych przez pomienione Towarzystwo, skreślone piórem dr. Józefa Talko.

— Wystawa prac uczniów szkoły sztuk pięknych w Krakowie otwarta od d. 1 b. m. wypadła nader świetnie. Dobór studyów w różnych gałęziach świadczy z jednéj strony o postępie uczniów, z drugiéj o usilności kierowników. Akademia sztuk monachijska niewątpliwie przyznałaby się do tak znakomych rezultatów, a znakomitych tém, że okoliczności nie bardzo szkole krakowskiej sprzyjały, albowiem liczba uczniów w porównaniu z poprzednimi latami niesłychanie wzrosła, a odpowiedniego pomieszczenia zabrakło. Troskliwość dyrektora i profesorów starała się oczywiście, o ile możności wszelkim niedostatkom zapobiedz i w ten sposób doszła szkoła do tak pięknych rezultatów, o jakich przekonywa obecna wystawa. Zawdzięczać takowe należy profesorom: Łuszczkiewiczowi, Szynalewskiemu i Grabiańskiemu, a przedewszystkiem dyrektorowi Janowi Matejce, który z poświęconą gorliwością sam pracami uczniów kieruje. W oddziale rzeźb, zastępował chorego prof. Kosowskiego, p. Gujski, znany rzeźbiarz.

— Na kongres geograficzny w Paryżu, Rossya dostarczyła mapę Królestwa Polskiego, sporządzoną przez sztab generalny w r. 1839 i pisaną po polsku, oraz dwie karty Infant w rękopiśmie, zrobione z rozkazu króla Stefana Batorego.

— Wiadomo że we Lwowie utworzył się komitet w celu zakupu obrazu *Unii Matejki*, pragnąc ażeby to arcydzieło nie poszło zagranicę. Składki zebrane dotąd wynoszą z górą złp. 80,000 (20,000 złr.), brakuje jeszcze dziesięciu tysięcy złotych reńskich do umówionéj ceny. Matejko jakkolwiek całkowitéj summy nie otrzymał, oddał obraz komitetowi, który tymczasowo umieścił go w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Obraz pozostanie tam dopóki nowy gmach dla zebrań sejmowych nie stanie i będzie zdobił salę obrad.

— We Lwowie ruch wydawniczy coraz szersze przybiera rozmiary: nakładem księgarni T. H. Richtera wyszła powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego p. n. *Serce i ręka* (1875 r. w 8-ce). Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta ukazało się nowe wydanie pism Zygmunta Krasińskiego, wydanie nader poprawne, krytyczne i kompletne, a poprzedza je przedmowa pióra Stanisława hrabiego Tarnowskiego. Nakładem téj firmy wyszły: *Syn Znajdy*, po

wieś ukraińska w dwóch częściach, przez Piotra Jaxę Bykowskiego, (w 8-ce, 1875 r.). *Król i Bondarywna*, powieść historyczna przez B. B.

— Wychodzące we Lwowie czasopismo „Szkoła,” drukuje bardzo dobrze napisaną rozprawę p. t.: „Kilka uwag w sprawie nauczania śpiewu w szkołach i seminariach nauczycielskich,” przez Stefana Grzywińskiego.

— Nakładem Karola Wilda wyszła druga połowa dzieła „Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminariów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych,” przez Lucyana Tatomira. Jestto praca samodzielna, napisana wybornie, wiadomości w niej dokładne, a metoda jakiej się autor trzymał, umiejętna, tak iż słusznie nazwać ją można najlepszą geografją Galicyi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek były napisane.

— Właściciele Wsi Wierzchowca w Galicyi pp. Ciaputowiczowie, wzbronili p. Janowi Zawiszy z Warszawy robić dalsze poszukiwania w jaskiniach, jakie w ich majątności się znajdują, utrzymując, że co wynalezione zostało w tych jaskiniach staraniem i kosztem badaczów, do właścicieli należć powinno.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszedł tom drugi dzieła p. n. „Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim, od najdawniejszych czasów, aż po rok 1794, przez Józefa Łukaszewicza. Obwód Borecki i Krotoszyński. Dzieło pośmiertne. Tom II (w 8-ce, 1875 str. 263). Dodany jest portret nadzwyczaj podobny zgasłego historyka i jego życiorys. Nakładem tegoż księgarza ukazały się pierwsze zeszyty powieści Bodzantowicza (Kajetana Suffczyńskiego) w przepyszném wydaniu z ilustracyami Juliusza Kossaka.—Professor Nehring, znany autor: „Dziejów literatury polskiej,” wybrany został na rok 1875/6, na dziekana wydziału filozoficznego w Uniwersytecie wrocławskim.

— W miejskiem archiwum w Gdańsku, wykryto trzy dokumenty dotyczące Kopernika. Są to zapisy stanowiące legaty dla dzieci po siostrzenicy słynnego astronoma, która miała być z Klemensem Mollerem w Starogardzie. Uwierzytelniony odpis tych dokumentów, nadeszło miejskie archiwum toruńskiemu niemieckiemu stowarzyszeniu Kopernika.

— W Gnieźnie drukiem J. B. Langiego, wychodzi: „Herbarz“ podług Niesieckiego treściwie ułożony i wypisami z późniejszych autorów, z akt grodzkich, poznańskich, z ksiąg i akt kościelnych, oraz z dokumentów familijnych powiększony i wydany przez K. Łodzia Czarnieckiego. 1872—1874 (w 8-ce str. XXXV, 222). Dzieła tego wyszło dwie części. Część *pierwsza* obejmuje krótką rozprawę o herbach i ich rysunki; część *druga* wyczerpujące wyliczenie chronologiczne monarchów polskich, książąt litewskich i dostojników państwa duchownych i świeckich; część *trzecia* ma zawierać właściwy herbarz i genealogią rozmaitych rodów w porządku abecadłowym.

— W pobliżu *Lublany* odkryto budowlę nawodne. Przy dalszych badaniach pod warstwą torfuna przestrzeni około 18 sążni długoj, znaleziono okruchy urn i naczyń glinianych, łupiny owoców, po największej części orzechów laskowych, pestki czereśni, kości ryb i zwierząt ssących, głównie jeleni, kóz i nierogacizny, a nawet szczękę bobra; dalej strzały kościane i młotki toporkowe z rogów jelenich, oraz kilka ostrych strzałek z krzemienia i okrągłych wielkości pięści kamieni, które służyły do rozcierania. Znaleziono wreszcie i większe, starte kamienie kwarcowe, któremi zapewne kruszono ziarna jak w żarnach dzisiejszych. Zabytki te dostarczyły Kraińskiemu muzeum narodowemu cennych przedmiotów z czasów przedhistorycznych.

— Akademia węgierska wyznaczyła 200 dukatów nagrody konkursowej za napisanie najlepszego dzieła: „O stosunkach międzynarodowych Węgrów do Polaków, pod względem historycznym i filozoficznym.“

— Wyszło dzieło w Paryżu, przez p. Karola de Mony p. n. *Correspondance inedite du roi Stanislas Auguste Poniatowski et de Mme Geoffrin (1764—1777).* Pani Geoffrin, słynna w Paryżu ze swego salonu w czasach przedrewolucyjnych, opiekowała się była nader troskliwie a nawet surowo Stanisławem Poniatowskim, kiedy bardzo jeszcze młodym będąc, bawił w Paryżu. Zostawszy królem, Poniatowski zaprosił swą opiekunkę na mieszkanie do Warszawy, gdzie jój kazał urządzić pokoje na wzór tych, jakie zajmowała w Paryżu. Nie ustały i później przyjacielskie między niemi stosunki, których właśnie wyrazem jest wydana świeżo korespondencya, jacyj dostarczyło archiwum domowe księcia Stanisława Poniatowskiego, ożenionego z hrabiną Ludwiką Le Hon, syna znanego senatora cesarstwa, a wnuka brata królewskiego Kazimierza, znanego pod nazwą „księcia podkomorzego.“

— *Spicker, Kant, Hume i Berkeley, krytyka teoryi poznania.* (K. H. und Berk. Eine kritik der Erkenntnisstheorie). Tamże 1875 (str. 211, 8). Autor nie podaje tu wprawdzie widoku na cały systemat Kanta, ale za to wyczerpująco przedstawia jego teoryę poznania, wykazuje chwiejność pojęcia „czyste” tak wielką grającego rolę u Kanta (czysty rozum i t. p.), występuje przeciwko rozróżnieniu sądów analitycznych od syntetycznych, uznaje brak dostatecznego uprawomocnienia kategorii; dowodzi przytém, że zasady Kanta w teoryi poznania w ostatecznym wyniku, prowadzą niepotrzebnie do berkeleyzmu. Nader udatnie dotyka autor kantowskich kwestyi „czasu i przestrzeni,” stanowiącój jak wiadomo, główną zawiąsę systemu Kanta. W ogóle jest to dzieło pierwszorzędnój wartości.

— *Gerland.* Przyczynki do antropologii: 1) Ważność i zadanie antropologii, 2) Dzieje ludzkości pierwotnej i jój rozwoju. Halla 1875 (str. V i 424, w 8-ce). Antropologische Beiträge: 1) Werth und Aufga-

be der Anthropologie, 2) Betrachtungen ueber die Entwickelungs und Urgeschichte der Menschheit.

Nie pierwszy raz spotykamy się z tém imieniem, Gerland zyskał sobie uznanie w zakresie antropologii. Obecna praca, obszerna, pokazuje krańcowego stronnika darwinizmu, czyli innemi słowy: Tetchnerowskiej teorii *przeobrażenia*. Przypuszcza on nawet genetyczną łączność pomiędzy bytem organicznym a nieorganicznym. Stanowczo decentralizuje proces stworzenia, uznając „tylko pojedynczo rozrzucone punkta wytwarzania istot, ale żadnych grup.” Wyrobienie się wyższych typów organicznych przypisuje materyałowi spożywczemu. Za klasyczną ziemię ukształtowania się typu ludzkiego uważa przypuszczalnie południo-zachód Himalaj, to jest krainę przecięcia się trzech charakterów roślinnych: stepu, Sahary i Monsunu. Zasadę klasyfikowania typów ludzkich podług włosów (a zasadę Haeckla) zbija stanowczo.

— Z innych dzieł filozoficznych niemieckich, szczególnież ważnemi są: *Teleologia Kanta i jej znaczenie w teorii poznania* (Kant's Teleologie und ihre erkenntniss-theoretische Bedeutung) p. Stadlera Aug., Berlin, 1874. Upowszechniło się zdanie pomiędzy myślicielami, że „krytyka władzy sądzenia i krytyka czystego rozumu“ dwie wiekopomne budowy wzniesione przez Kanta, nie łączą się z sobą tym organicznym węzłem, jakiby łączyć powinny członki jednolitego systemu. Stadler przeciewnie uznaje bezwarunkowy związek i organiczną ciągłość pomiędzy jednem a drugim. Dowodzi on, iż Kant wykazał krytycznie źródło pojęcia celu; że momenta tego pojęcia, w obudwu częściach systematu, zupełnie sobie odpowiadają. Po dziele C. Fischera (Historja filozofii tom III i IV), praca Stadlera zdaje się nam utworem pierwszego rzędu w téj dziedzinie, jakkolwiek ustępuje tamtéj co do zakresu.

— *Bastyan Adolf: Stworzenie, czy tworzenie się?— Aforyzmy o rozwoju życia organicznego.* (Schöpfung, oder Entstehung— Aphorismen zur Entwicklung des organischen Lebens. 1875, Berlin). Autor znany z wielostronnej nauki, tak w dziedzinie filozofii jak i w przyrodoictwie, w dziele tém występuje przeciw darwinowskiej teorii descendencji. Dowodzi on, że rozrost istot organicznych odbywa się stale w ramach typowych, że darwiński zbyt wielkie przywiązują znaczenie do *form pośrednich* ¹⁾, że fizjologia komórkowa wcale nie prowadzi do potwierdzenia hipotezy Darwina o wytworzeniu się człowieka z pierwozwierza jednokomórkowego; słowem teorią descendencji nazywa fantastyczną, opartą na nadużyciu indukcji. Życzyćby należało, aby dzieło Bastyana przyswojone zostało naszemu piśmiennictwu.

— *Hartmann: Wyjaśnienia do metafizyki bezwiedności ze szczególnym względem na panlogizm.* (Erläuterungen zur metaphysik des

¹⁾ Rassy krzyżowane tracą z czasem siłę produkcyjną.

Unbewussten, mit besonderer Rücksicht auf den Panlogismus). Berlin 1874. Znany czytelnikom twórca systemu bezwiedności, zwraca się tu przeciwko Volkeltowi, hegliście, który w dziele swoim: „Bezwiedność i pesymizm“ zarzuca Hartmannowi brak samodzielności i dowodzi, że jego system jak w ogóle pesymizm, nie jest nowym, że tkwił jakoby zaskórnie (im zustande des „Ansich“ — aluzya do jednego ze znanych momentów logicznych w filozofii Hegła) w nauce Hegła.

W obronie tedy samoistności swojego systemu, Hartman wypowiada zasadniczy dogmat Hegła, podług którego „pojęcie mocą własnego ruchu (swoją naturą, swoim obiektywnym popędem) całą treść wysnuwa z *siebie* samego, a świadomość jest tylko biernym widzem tego procesu,” co wcale z duchem systemu Hartmana nie licuje.

Wprawdzie, pragnąc odnowić i odświeżyć system Hegła, Volkelt przyznaje, że cała treść filozofii ducha i natury nie jest pochodzenia apriorycznego, lecz tworzy się w drodze *indukcyjnej* z *doświadczenia*, ale to następstwo zrobione na korzyść indukcji, wcale nie jest w duchu Hegła, Volkelt przeto przekroczył granice pełnomocnictwa. Panlogizm heglowski, sprowadzając wszystko do *pojecia*, oddając byt cały pod władzę mechanizmu logicznego, zapomniał że pomiędzy myślą a rzeczywistością ziele przepaść bezdennea.

Broni też Hartmann samodzielności systemu i na polu eudemonizmu. (O ile jest prawdy w téj obronie, powiemy obszerniej na innym miejscu).

— *Karol Grün* wydał (w Lipsku 1874) drugi tom dzieła p. n. *Ludwik Feuerbach in seinem Briefwechsel und Nachlass sowie in seiner philosophischen Charakterentwicklung*.

Głośny w swoim czasie myśliciel przedstawionym tu został w dwóch ostatnich okresach życia: od r. 1850—60, i od 1860—72 (to jest do roku śmierci).

Filozofia religii Feuerbacha, w ostatecznych wynikach swoich znana jest powszechnie. Historia rozwijania się myśli i charakteru filozofii może mieć ważność dla pewnego kółka wielbicieli, dla ogółu zaś jedynie zajmującym może być obraz smutnej walki Feuerbacha z losem i kolejami życia. Wyjazd z Brukbergu, gdzie spędził lat dziesięć w zupełnym osamotnieniu, Feuerbach nazywa „rozstaniem się duszy z ciałem.” Dalsze koleje życia Feuerbacha były nader smutne, położenie graniczyło niekiedy prawie z niedostatkiem.

— *Hartmann* Die Selbstersezung des Christenthums und die Religion der zukunft. (Rozkład Chrystyanizmu i religia przyszłości), wydanie 2-e, Berlin 1874!



Dnia 15 lipca r. b. w Szczawnicy zakończył życie *Włodzimierz Jelski*, syn Ludwika, pierwszego prezesa banku polskiego. Zmarły, znanym był z prac literackich zarówno, jak z zacności charakteru. Przed zgonem pełnił obowiązki bibliotekarza zbiorów willanowskich.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyja w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym związku swego pisma i pierwszych założycielach, a zarazem o powiększonym gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swój pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jej praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznaję za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierzące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajowej, najstarsze w dzisiejszej rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnej pracy i talentu.”

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki**.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1875.

stron.

Historya.

Dawna Rzeczpospolita Dubrownicka. Zarys jój dziejów, urzędzenia i piśmiennictwa. Przez Kazimierza Pułaskiego.	1,—256
Akademia umiejętności w Krakowie.	286
Spółeczność Warszawy w początkach naszego stólecia (1800—1830). Przez K. Wł. Wójcickiego.	382

Filozofia.

Religia pozytywna, czyli nowa powszechna religia ludzkości. Rozbiór drugiej połowy działalności umysłowej Comte'a, z powodu nowego wydania jego katechizmu. Przez Seweryna Smolikowskiego.	60
--	----

Literatura.

Obrazy ze współczesnej literatury angielskiej. Przez F. Jezierskiego.	22
Wspomnienie o ś. p. Tomaszu Dziekońskim. Przez Adama Goltza. .	84
Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Nerbuttównę. .	88, 420

KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

--Literatura Malajczyków, odkryta przez filologów holenderskich. Bidasari, poemat malajski przekładu Ludwika Backer. Pieśni liryczne.—Rozwój idei demokratycznych w stosunku do sztuk pięknych.—Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym. Szkoła realistyczna: Respha odganiająca sępa od powieszonych synów Saulowych, Beckera.—Spisek za Tarkwiniusów, p. Glaize.—Malarze różnonarodowi: Amerykanie, Szwajcarzy i t. d.—Prace

trzystu czterestu kobiet na wystawie.—Piekło Dantowskie, Dorego.—Obrazy religijne: Chrystus w pośród dzieci, Michela.—Śmierć św. Józefa, p. Landelle.—Chrystus w grobie, p. Sellier.—Sceny biblijne: Thamar Cabanela.—Samson p. Lehoux.—Prześladowanie za Dyoklecjana p. Sansay.—Obrazy historyczne: Julia siostra Cezara Lucylliusza, Ziera.—Śmierć Seneki i Sylwestra.—Neron, Schutzenbergera. Radegunda p. Pavis de Chavainus.—Obląkany Van der Goes, Wantersa.—Zawieszenie dzwo-
nu Zygmunta, Matejki.—Rycerze krzyżowi, Wojciecha Gersona.—Obrazy mitologiczne: Pyram i Thisbe p. Delobbe.—Porwanie Ganimeda p. Ferrier.—Śmierć króla Rawany, Cormona.—Ofiara Eskulapowi p. Geudron.—Bella matribus detestata, Morsona.—Juliusz Cezar, Ywona.—Portret hrabiny Caen: testa-
ment jój na rzecz młodych artystów.—Portret pani Pasca, Bonnata.—Portrety Carolusa Duran, Rodakowskiego i t. d.—Portret pędzla panny Izydory Mikulskiej, Uspiona Prządka.—Krajo-
brazy Corota: wystawa jego dzieł w Akademii Sztuk Pięknych.—Obrazy wojenne: Bitwa pod Villersexel, Neuville.—Utarzcza tyralierów w Malmaison, p. Boerne-Belleacur.—Pułk maszerują-
cy, Detaille'a.—Obrazy rodzajowe: Ognie świętojańskie Juliusza Breton. Zbiór poezji Bretona: Pola i Morza, Wiersz Sobótka. Do rodzinnej doliny.—Posąg młodości, p. Chapu, nagrodzony wielkim medalem.—Pomnik na cześć Krzysztofa Kolumba, p. Cordier.—Zmarły Fryderyk Eichhoff: jego prace lingwistyczne i literackie.—Uroczystość w Orleanie.—Archeologia językowa.—Pomnik Liwingtona w Westminsterze.—Podpisy na pomnik dla Byrona.—Nowo odkryte dzieła sztuki: Portret Rafaela, św. Jan Chrzciciel, Michała Anioła.

104

Wilhelm Machaut, Truwer XIV wieku: Księga Voir-Dit, wierszowany jego pamiętnik.—Wystawa rzeźb: Młodość, Gloria Victis, Dziewica Orleańska.—Rzeźby religijne i rodzajowe. Wprowadzony żywiol galicki: Brennus z winogrodem.—Młody Gal z gałązką jemioli.—Nasi rzeźbiarze. Pomnik Teofila Gautier, dłuta Cypryana Godebskiego.—Zbiór prawnych zwyczajów u południowych Słowian, p. Bogisioza.—Studia słowiańskie p. Leger.—Rozbiór „Zemsty za mur graniczny.“—Hortensya Cornu.—Rodzina alzackich emigrantów, na stałym lądzie Australii.—Teatr berliński w ciągu dwóch lat ostatnich. Dramat, „Miłość za miłość.“—Teatr francuzki: „Babunia,” komedia p. Cadol.—„Wieża Babel” oratorium Rubinstaina.—„Las” symfonia muzyczna pani Granval.—„Miłość afrykańska,” opera komieczna p. Paladithe, libretto Legouvego.—Literatura i Historya p. Littré.—„Andresina, Kobieta bez Boga,” powieść p. des Essarta.—Młody Brown, powieść Murraya.

226

Kongres geograficzny w Paryżu. Wystawa geograficzna w odbudowanej części pałacu Tuilleryjskiego: charakter jej międzynarodowy:— Cesarstwo Rosyjskie—Szwecya i Dania—Holandya—Belgia—Anglia i Indye Wschodnie—Niemcy—Austria i Węgry—Włochy—Szwajcarya—Hiszpania—Brazylia—Tureya—Rumunia—Egipt—Japonia—Stany-Zjednoczone—Chili i Argentyna—dział francuzki. Missye naukowe: sekoya szkoły języków wschodnich.— Wyprawa do Sahary.—Publikacye geograficzne.—Dziela wspólnych podróżników.—Monografia miast i miasteczek.—Wystawa archeologiczna w pałacu Biblioteki Narodowej.—Wspomnienia mego życia artystycznego, przez Karolinę Bauer.—Poczyze Juliusza Bretona.—Felicjano Castello, uczony Portugalczyk.—Szkoła archeologiczna w Atenach, inaugurowana przez Niemców w rocznicę śmierci Winkelmana.—Dramat muzyczny, przez p. Schuré.—Opery Ryszarda Wagnera.—Les convoitises: powieść Tony Revillon. Voyage au pays des chimères, Antoniego Rondelet.	437
Stoletnia rocznica urodzin ks. Jakóba Falkowskiego. Przez K. Wł. Wójcickiego.	135
Łukasz Górnicki. Przez Zygmunta Glogera.	139
Przyczynek do studyów nad podaniem o Twardowskim. Napisał Ernest Swieżawski.	205
Ułamek tragedyi zebraczej z 1552 roku. Przez ks. Wł. Siarkowskiego.	289

Bijografia.

Filip Kallimach, przez Zeissberga. Z niemieckiego przełożył Kazimierz Pułaski.	271, 397
--	----------

Sztuki piękne.

Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie, (1818 do 1873). Skreslił Władysław Łuszczkiewicz.	181
--	-----

Podróże.

Wycieczka do Mongolii. Przez Ludwika Niemojowskiego.	333
--	-----

Powieść.

Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Tom II).	42, 348
---	---------

Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszelkiej treści, tak krajowych jak zagranicznych.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom I, Kraków 1874. Napisał L. Szczerbiewicz-Wieczór.	144
--	-----

Przegląd Krytyczny. Kraków 1874—1875. (Od numeru 1-o do 7-go). Przez F. J.	159
Die menschliche Sprache, ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau von Paulin Świącieki. Leipzig. In Commission bei E. L. Kasprowicz 1875. Druck von O. Rogosz in Lemberg. Przez M. W. Dębickiego.	162
Podobizna pisma (fao-simile) Św. Wojoiecha. Przez R.	163
Pisma Towarzystwa ekonomistów austriackich. Kwestya waluty. Referat D-ra Teodora Hertzki. Wioleń, u Manza, 1875, str. 60. Przez F. Z.	295
Ostatnie ohwile księcia wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał J. I. Kraszewski. Warszawa 1875. Nakład Gebethnera i Wolffa. W drukarni J. Jaworskiego, (w 12-oc str. 195). Przez K. Wł. W.	303
Jedlnia, w niej kościół i akta obelnego prawa, przez ks. Józefa Gackiego. Radom. W drukarni Jana Kantego Trzebińskiego, 1874 r. (w 8-oc str. 278). Przez R.	310
Grammatyka języka francuzkiego, na podstawie języka polskiego, opracował J. A. M. Borski, nauczyciel języka francuzkiego w o. k. Akademii technicznój, lektor tegoz języka w Uniwersytecie lwowskim. Lwów, nakład Gubrynowicza 1875 r. Przez F.	313
Bibliografia Polska XV—XVI stolecia. Zestawienie chronologiczne 7200 druków w kształcie rejestru do bibliografii, tudzież spis abecadłowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich. Przez K. Estreichera. Wydanie Akademii Umiejętności, staraniem komissyi bibliograficznój. Kraków, czcionkami drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875 r. (w 8-oc str. XVI—226). Przez K. Wł. W.	314
Historya powszechna konia, przez Maryana hr. Czapskiego. Poznań, Nakładem księgarni I. K. Żupańskiego. 1874 rok, trzy tomy.	465
Ajas. Tragedya Sofoklesa przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875.	491
Pieśni Ossyjana przekład nowy z angielskiego. W Krakowie. Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1875, (w 12 str. 222).	496
Z podróży Oświecima. Turcyja—Francyja—Niemcy—Włochy. Wydał z rękopismu Klemens Kantecki. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875. (W 12 str. XI, 203).	498
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	169, 317, 502
KORRESPONDENCYA.	294
NEKROLOGIA.	178, 331, 508
OD REDAKCYI. Sprostowanie.	180, 332